

Sarah Kate Lynch

DOM CÓREK

Wiosna

Clementine

W trzecią środę wiosny przed popołudniową herbatą Clementine wiedziała już, że zbliża się przymrozek.

Wskazywały na to jej włosy. Fatalnie obcięte, wściekle skręcone, długie, rude kosmyki bez połysku. Za każdym razem gdy bogowie pogody kradli ciepło z powietrza, zamierzając zesłać mróz, jej włosy wiedziały o tym pierwsze.

Niosła właśnie do ust grubą kromkę *pain au levain* z marynatą z gruszek i kawałkiem dojrzałego brie Meaux, kiedy tuż przy lewym uchu usłyszała przenikliwe trzaśnięcie. Był to pojedynczy dźwięk; ostry szelest, który rozległ się nagle w chłodnym, suchym powietrzu. Tak głośny, że Clementine zerwała się przerażona, niemal przewracając butelkę szampana Peine, którym zamierzała się uraczyć.

W kolejnych sekundach, gdy starała się pochwycić rozkołysaną butelkę, by nie uronić ani jednej kropli, włosy zaczęły szeleścić i trzaskać, lok po loku, aż do chwili, gdy cała głowa zadrżała, a czupryna stała się krótsza o pięć centymetrów.

Nie było to porażenie prądem, a raczej wyjątkowo nieprzyjemne uświadomienie sobie ponurej prawdy, że skoro ten dzień zaczął się od pękniętej gumki w figach i czerstwego rogalika, to dalszy ciąg mógł być już tylko gorszy, podobnie jak cały rok.

Włosy Clementine, do których w ogóle nie przywiązywała wagi, w tej chwili zdecydowanie wydawały się najmniejszym z jej problemów.

Przymrozek w Saint-Vincent-sur-Marne w trzecią środę wiosny zwiastował klęskę Domu Peine, a bez tego mieli już wystarczająco wiele kłopotów.

– Tato! – zawołała Clementine, pospiesznie zlizując z palca serek brie i czując dziwne mrowienie na głowie. – Tato!

Jej ojciec, który niewątpliwie był jednym z owych kłopotów, nie będzie zadowolony, że przyniosła złe wieści, ale Clementine nie oczekiwała pochwały. Z westchnieniem dźwignęła się od

stołu. Miała wrażenie, że stan ojca ostatnio się pogorszył. Wprawdzie tata zawsze był apodyktycznym obrzydliwym zrzędą, dawniej jednak potrafił przepracować cały dzień, zanim wieczorem wymknął się do gospody Le Bois. Teraz zniknął coraz wcześniej, pozostawiając na głowie Clementine większość obowiązków związanych z wytwórną win i pielęgnowaniem cennych krzewów winorośli.

– Tato! – zawołała jeszcze raz, tym razem stając u podnóża zalanych słońcem schodów. – Tato! – Jednak pełen zakamarków dom Peine’ów wydawał się cichy i opuszczony – co ostatnimi czasy zdarzało się coraz częściej. Cóż, będzie musiała zmierzyć się z przymrozkiem bez pomocy ojca.

Ze strachu (i po zjedzeniu zbyt dużej ilości marynowanych gruszek) dostała czkawki; ale przecież był to kolejny, decydujący moment w życiu winnicy. W obudzonych z zimowego snu krzewach zaczynały krążyć soki; niebawem to, co umarło jesienią, odrodzi się w wiosennym słońcu. Ostatnie, czego teraz potrzebowali, to przymrozek ścinający krew w żyłach winorośli.

Któż mógłby zapomnieć bezlitosne wiosenne zimno sprzed dwóch lat, które zniszczyło jedną trzecią zbiorów? Tamtego roku nie było wina *vintage*, ani kropli. Szczerze powiedziawszy, mogli wtedy zrobić wyłącznie tradycyjne wino wytrawne, po którym dziwnie szczypał język – a i to mieli je wyłącznie dzięki słynnej szampańskiej sztuce mieszania, którą perfekcyjnie opanował Olivier.

Mieszanie? Na myśl o tym Clementine zaczęła pomrukiwać z niepokoju i pognęła jak szalona przez podwórze. Słyszając to, jej miniaturowy konik Świnek wierzgnął radośnie, szurając niepodkutymi kopytami po kocich łbach. W jego mniemaniu mruczenie oznaczało wycieczkę do kuchni i ciastka, a kucyk uwielbiał ciastka. Jednak tym razem Clementine nie miała czasu na łakocie; musiała zrobić wszystko, by ochronić pnąca. Przede wszystkim musiała znaleźć dwudziestoletnich bliźniaków – jedynych pozostałych u Peine’ów robotników, tak wymigujących się od pracy, że nie zasługiwali nawet na grosze, które im płacono.

Według Clementine bliźniacy mieli do spółki jeden mózg, do tego niewielki; nie brakło im jednak krzepy, a właśnie tego potrzebowała. Będą musieli się pospieszyć, aby na czas rozstawić kotły między rzędami winorośli i odegnać mróz.

– Ruszcie swoje grube tyłki, wy leniwi nicponie! – wrzasnęła do Jean-Claude’a i JeanLuca, potężnych, zwalistych półgłówków o rumianych twarzach i blond włosach, którzy ukryli się w ogródku, palili papierosy i hojnie pociągali z butelki. – Będzie przymrozek. Musimy wystawić wszystkie kotły.

Mówiąc to, czuła jak jej włosy coraz ciaśniej skręcają się na głowie niczym wciskające się do muszli ślimaki. Inni winiarze z pewnością nie przeczuwali nadchodzącej klęski i szykowali się na miły wieczór przed telewizorem lub partyjkę kart z przyjaciółmi. Clementine czuła nadciągający chłód nie tylko we włosach; również cierpki smak na języku uprzedzał o zbliżającej się katastrofie. Ta świadomość paliła jej policzki i zatykała pory, budząc drzemiące tuż pod skórą, głębokie pokłady rozdrażnienia.

– No dalej, przecież nie płacę wam za to, żebyście się objali i czekali, aż dostaniecie rozedmy płuc! – zbesztala niewzruszonych bliźniaków. – Płacimy wam za pracę!

Jean-Claude albo Jean-Luc – nigdy nie była w stanie ich rozróżnić – zerknął na brata, a chwilę później posłał jej pełne pogardy spojrzenie.

– Właśnie że nie – niezależnie od tego, jak miał na imię, przeciągał samogłoski i bezczelnie zaciągał się papierosem. – W ogóle nam nie płacie. Twój staruszek powinien nam dać forszę już dwa tygodnie temu. Jeśli więc nie masz pieniędzy, radź sobie sama z tymi cholernymi kotłami.

Clementine starała się ukryć przerażenie. Wiedziała, że ostatnio było u nich krucho z pieniędzmi. Pracujący na stacji benzynowej Renę skarżył się, że zalegają z płatnościami, i znowu odcięto im telefon. Już wcześniej mieli problemy z przepływem gotówki. Kto ich nie miał? Ale czy naprawdę są aż tak splukani, że nie stać ich na zapłacenie nędznych groszy tym dwóm ospałym nieudacznikom?

Taki stan rzeczy oznaczał kłopoty, bo w okolicy nie było nikogo, kogo mogłaby poprosić o pomoc. Olivier nie miał prawdziwych przyjaciół, a sąsiedzkie mosty zostały już dawno spalone.

Zerknęła ponad krzewami w kierunku domostwa Geoffroyów, czując jak na wspomnienie bezpowrotnie utraconego Benoit jej serce ściska się boleśnie. Nie, tam nie ma nikogo, kto okazałby się dla Peine'ów litościwym samarytaninem; jeśli chce, aby ktokolwiek im pomógł, musi zapłacić. Spojrzała na głupkowatych bliźniaków i przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna ich błagać, by rozstawili płonące kotły za darmo, jednak nie wiedziała, jak to zrobić. Zamiast tego tupnęła nogą i zaklęła ku ich uciesze.

– Jeśli pąki się nie rozwiną, nie będzie winogron; jeśli nie będzie winogron, nie zrobimy szampana, a jeśli nie będzie szampana, w ogóle nie będziecie mieli pracy. Pomyśleliście o tym?

Słyszając to Jean-Claude i Jean-Luc podnieśli się z ziemi i zgasili niedopałki o ścianę winiarni. Świnek zastukał kopytami i gniewnie machnął ogonem. Gdyby był nieco większy od przeciętnego psa, mógłby wzbudzić lęk. Jednak teraz tylko jeszcze bardziej rozbawił bliźniaków.

– Co za różnica? – wysapał jeden z nich, kiedy opanował już chichot. – Za rok to wszystko i tak będzie prawdopodobnie własnością Moeta, Veuve'a Clicquot albo starego Jolietta. Opuść sobie! Idź jak Olivier do Le Bois na anyżówkę albo siódemkę, co? I koniecznie weź ze sobą swojego kurdupłowatego pieszczoszka.

Po tych słowach obaj zarżeli kretyńskim śmiechem, a zarumieniona z zimna Clementine jeszcze bardziej poczerwieniała z irytacji. Nawet Świnek wyczuł jej gniew i zatańczył z radości za plecami swojej pani. Uwielbiał złość Clementine jeszcze bardziej niż mruczenie pod nosem. (Bo złość też często oznaczała ciastka).

– W takim razie spadajcie, durne pały! – wrzasnęła, przeganiając bliźniaków wściekłym machnięciem dłoni. – No już! I mam nadzieję, że w nocy odmrozicie sobie jaja!

– Nawzajem! – odkrzyknął jeden z braci, kiedy ruszyli objęci przez podwórze, chichocząc złośliwie. – To bardziej prawdopodobne. W końcu twoje są większe!

Wściekła Clementine jak burza wpadła do stodoły i pocąc się i dysząc, zaczęła ładować przyczepę. Kotły były niemal tak wysokie jak ona i z trudem je podnosiła, ale jakie miała wyjście? Po raz kolejny przeklęła gamoniowatych bliźniaków. Istnieje tylko jedna rzecz gorsza od kupy sadła, pomyślała, to dwie kupy sadła. Te leniwe, tłuste, paskudne, wstrętne, niewdzięczne bałwany! W jej furii pobrzmiwało jednak coś jeszcze, coś, co przenikało do szpiku kości, mroząc ją bardziej niż nadchodzące zimno.

Prawda była taka, że Olivier nie mógł zapłacić bliźniakom ich marnych pensji, a ci dwaj mieli rację. Ziemia Peine'ów naprawdę mogła stać się własnością banku lub co gorsza wpaść w łapy starego Joliet. Bzdurą było tylko to, co ci lenie mówili o dużych wytwórniach win. Obowiązujące w Szampanii surowe przepisy prawne nie pozwalały tym największym, takim jak Veuve Clicquot czy Moet połykać mniejszych. Jednak stary Joliet stanowił zupełnie inny problem. Drobniejsi winiarze mogli wykupywać inne winnice, a ten stary łobuz, pośledni producent, lecz wytrawny biznesmen, od wielu lat miał na oku ceną, szampańską ziemię, na której pracowały całe pokolenia Peine'ów.

– Po moim trupie – poprzysięgła sobie Clementine, ciągnąc załadowaną kotłami przyczepę w kierunku rozklekotanego ciągnika.

Wolałaby umrzeć niż zobaczyć, jak choćby centymetr ukochanej kredowej ziemi Peine'ów przechodzi w ręce starego Joliet. A co z Olivierem? Na samą myśl o ojcu poczuła, jak resztki popołudniowej herbaty podchodzą jej do gardła. Nie była już pewna, czy w razie prawdziwego zagrożenia mogła liczyć na jego wsparcie i niezbędną determinację. Kiedyś z pewnością; w czasach, gdy zawartość własnych butelek interesowała go bardziej niż to, co znajdowało się w szklaneczce, którą stawiano przed nim w barze. Teraz Clementine nie miała nawet pewności, czy Olivier, wychodząc wieczorem z domu, miał na sobie spodnie. Raczej

wątpliwe więc, że byłby zdolny do stoczenia batalii w obronie rodzinnego prawa do tej ziemi, niemal legendarnego, przysługującego Peine'om z tytułu urodzenia. Teraz wszystko pozostało na jej głowie.

To na jej ramionach spoczywało trzysta lat tradycji Domu Peine, która ciążyła tym bardziej, że Clementine zdała sobie sprawę, jak bardzo jest samotna.

– Nie mam nikogo – szepnęła.

Słyszając to, poirytowany Świnek wydał z siebie dźwięk przywodzący na myśl odległy pisk czajnika. Clementine wyprostowała nieco ramiona. Doceniła ów protest. Świnek był jej wiernym, nieodłącznym towarzyszem. Przywiązała się do niego bardziej niż do jakiegokolwiek innego stworzenia, jednak jego widok bezlitośnie przypominał jej o nieprzewidywalności Oliviera. Ojciec po pijanemu wygrał kucyka w karty w czasie fali upałów kilka lat temu. Pewnej nocy zrana potem Clementine zbudziła się pełna niepokoju i znalazła w sypialni kwilącego żrebaka. Zaskoczenie było tym większe, że następnego dnia ojciec rzucił od niechcienia:

– Znalazłaś świnię?

– Świnię?

– Wczoraj wieczorem zostawiłem ci małą świnię. Wygrałem ją od tego gnojka Maranta. Przecież zawsze mówiłaś, że chciałaś mieć świnię?

– Świnię?

– Kiedy miałaś trzy czy cztery lata i byłaś głupkowskim dzieciakiem, mówiłaś, że chciałabyś mieć małego prosiaka. Więc teraz masz. Wygrałem go i to bezdyskusyjnie. To wszystko.

Clementine spędziła resztę dnia, szukając świni, a miniaturowy kucyk dreptał za nią krok w krok na swoich filigranowych, drżących nóżkach. W końcu zrozumiała, że ojciec nie widział różnicy pomiędzy koniem a świnią i chodziło o jedno i to samo stworzenie. Jednak nie wspomniała o tym ani słowem. Prawda była taka, że w dzieciństwie rozpaczliwie marzyła o piesku. Prosiła, płakała, wręcz błagała o ciepłe i kudłate szczeniátko, do

którego mogłaby się przytulić nocą, gdy leżała samotnie w łóżeczku. Jednak Olivier nie spełnił jej prośby. W ogóle nie lubił spełniać niczyich prośb. Ale już samo to, że jakieś tam maleńkie echo błagań córki wciąż jeszcze kołatało się w jego zapitym umyśle, było niebywale wzruszające. Tak więc Clementine nazwała kucyka Świnkiem i zapomniała o całej sprawie.

Prawdę powiedziawszy, Olivier nie był jedyną osobą, która nie do końca wiedziała, czym właściwie jest Świnek. Kucyk miał wielkie, kasztanowe łaty i krótką, puszystą grzywę; był nie tylko miniaturą konia, lecz prawdziwym karzełkiem, nawet w swoim gatunku, jako że osiągnął wysokość niespełna osiemdziesięciu centymetrów. Bezustannie mylono go z włochatą poduszką lub dużą, podróżną torbą z kosmatej skóry. Dla Clementine był doskonałym towarzyszem i – z wyjątkiem okresu, kiedy z wielkim samozaparciem starała się nauczyć go czystości – nie sprawiał żadnych kłopotów. Oczywiście nie potrafił pomóc jej butelkować szampana ani poustawiać kotłów, a w dni takie jak ten, kiedy samotność i lęk mieszały się w jej sercu z bezsilnością i przygnębieniem, tworząc gorzki koktajl, z kucyka nie było żadnego pożytku.

Co gorsza, nie chodziło tu jedynie o miniony, ciężki dzień, długą noc czy fatalny tydzień. Chodziło o przyszłość. Clementine czuła, jak rozgoryczenie staje się coraz silniejsze. Obawiała się, że jeśli zatrzyma się tam, gdzie jest, i nic nie zrobi, ta wszechobecna gorycz ją udusi. Zniszczy ducha walki, który w niej jeszcze pozostał.

Chwilę później odsunęła na bok obawy i przygnębienie, po czym wdrapała się na wiekowy ciągnik, paskudną, prychającą maszynę, której temperament odpowiadał temperamentowi Oliviera. Całą noc jeździła pośród winorośli, ściągając kotły z przyczepy, podpalała ich zawartość, szepcząc słowa otuchy, ostrzegając młode pędy przed mrozem i błagając je, by znalazły w sobie siłę.

Przed północą wiadomość o nadchodzącym zimnie rozeszła się po okolicy, a ciche, chłodne powietrze w Dolinie Marny

rozbrzmiało głosami okolicznych winiarzy, szykujących się do walki z wrogiem. Tej nocy nikt nie zmrużył oka – ani leciwa babuleńka, ani zasmarkany dzieciak. Każda para rąk w każdym domu została wyciągnięta z łóżka i zagoniona do pracy. Tak samo byłoby też u Peine'ów, gdyby Clementine miała kogo zbudzić. Niestety, wiedziała, że jej ojciec leży spity do nieprzytomności pod stolikiem w Le Bois. Nawet Świnek okazał się zdrajcą i porzucił ją dla ciepłej kryjówki pomiędzy stojącymi w stodole podgniętymi belami siana. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu Clementine dziękowała Bogu za to, że obdarzył ją kędzierzawymi rudymi włosami, dzięki którym zyskiwała przewagę nad nieprzychylnymi żywiołami.

O szóstej rano zmieniła jednak zdanie i zamiast dziękować Bogu, przeklinała go i każde z jego bezcelowych dzieł. Bolała ją każda najdrobniejsza kosteczka, skóra na twarzy zdawała się pękać od zimna, a gardło pełne było gryzącego dymu, który spowijał rzędy krzaków winorośli i leniwie unosił się ponad doliną, przywodząc na myśl pełzającą tuż nad ziemią mgłę i sprawiając, że światła mijających się ciągników i ulatujące z kotłów bursztynowe płomienie wydawały się upiornymi widmami.

Mróz otaczał winnice ze wszystkich stron, szron skrzył się niczym wymyślny lukier na pretensjonalnym torcie ślubnym. Clementine zrobiła wszystko, co mogła. Czas pokaże, czy noc okazała się zabójcza dla krzewów, czy też nie. Intuicja (i włosy) podpowiadały, że winnice bywały już w gorszych tarapatach, kto jednak wiedział, jak wiele mogły znieść delikatne pąki?

Wykończona Clementine zawróciła gderliwy ciągnik w kierunku domu. Zjeżdżając z porośniętego drzewami wzgórza i wlokąc za sobą pustą przyczepę, która podskakiwała na wyboistej drodze, żałowała, że mimo kosztów nie zostawiła zapalonych świateł. Dom stał mroczny i ponury, wyzierając zza kłębow dymu, które unosiły się nad ziemią niczym płachty najprzedniejszego perłowego jedwabiu. Ta nigdyś okazała budowla przez wieki była podziwiana przez innych winiarzy. Niestety, owe czasy

bezpowrotnie minęły, a to, co kiedyś było obiektem westchnień i zazdrości, wyglądało teraz jak groźne, opuszczone nawiedzone dworzyszczce. Patrząc na nie, Clementine mimowolnie zadrżała.

Istniał tylko jeden sposób na odegnanie zimna, z którym zmagala się przez ostatnich kilka godzin, i na samą myśl o nim Clementine poczuła rozlewające się w jej żyłach ciepło; jak gdyby ktoś dotknął jej serca i nacisnął niewidzialny włącznik.

Odstawiła ciągnik do stodoły, budząc przy tym kucyka, który nawet nie ruszył kopytem, podczas gdy jego pani walczyła z przymrozkiem. Chwilę później pomaszerowała do winiarni, wślizgnęła się do środka, minęła prasę i podniosła klapę, za którą znajdowały się wąskie, spiralne schody prowadzące do piwnicy. Setki lat temu poprzednie pokolenia Peine'ów, podobnie jak inni winiarze, wykopały ją w chłodnej, kredowej ziemi. Pomieszczenie przypominało czteropalczystą dłoń. Pośrodku, w dużej okrągłej izbie przechowywano beczki, a w czterech podobnych do kredowych palców korytarzykach spoczywały butelki.

Oszołomiony Świnek, który w półśnie podążał za swoją panią, zatrzymał się u wejścia i zerknął w dół schodów. Dla karłowatych miniaturowych kucyków wąskie, spiralne schody stanowiły niemal zabójcze wyzwanie, o czym miał okazję przekonać się dwukrotnie w czasach swojej młodości. W dodatku stała temperatura dziesięciu stopni, tak idealna dla szampana, dla niego była zdecydowanie zbyt niska. Clementine ruszyła w kierunku najdalszego korytarzyka i z zakurzonego stojaka na końcu wyciągnęła butelkę rocznika 88.

Wróciwszy do środkowej izdebki, zajrzała do maleńkiego biura Oliviera, wzięła wąski, wysoki kieliszek i przetarła go rąbkiem koszuli. (Kieliszki do szampana nigdy nie powinny być zbyt czyste, jako że szkodziło to bąbelkom; dowiedziała się o tym w wieku dwóch lat). Chwilę później przysiadła u stóp schodów i przy świetle pokrytej pajęczyną latarni delikatnie zerwała folię i odkręciła druczany koszyczek. Trzymając butelkę od dołu, powolutku obróciła ją w dłoniach, przyciskając korek do chwili, gdy poczuła lekki opór. Wówczas cofnęła palce pozwalając, by

korek wyslizgnął się z wąskiej szyjki z delikatnym westchnieniem ulgi, jak gdyby przez długie lata czekał na pojawienie się Clementine, która wreszcie go uwolniła.

Ten dźwięk sprawił, że znikły lęk i napięcie, które kłębiły się w niej tyle godzin, gdy owej mroźnej nocy walczyła o swoje winogrona.

Stojący u szczytu schodów Świnek zastukał kopytami, wydając z siebie pełne niechęci parsknięcie. Kiedy w grę wchodziła otwarta butelka rocznika 88, nie było mowy o mruczeniu czy ciasteczkach.

Clementine wlała odrobinę szampana do kieliszka i uniosła go do światła, by lepiej przyrzeć się zawartości. Barwa przywodziła na myśl idealne, głębokie złoto atlasowych sukni noszonych niegdyś przez francuskie królowe. Słowo „luksusowy” było jedynym, które w pełni oddawało to, co widziała. Napęła kieliszek i obracając go w palcach, przyjrzała się bąbelkom. Pędziły ku górze nieprzerwanym strumieniem niczym filigranowe, magiczne perełki, unosząc się w pośpiechu, jednak z gracją współmierną do ich wieku i wartości.

Po chwili Clementine zbliżyła kieliszek do ucha i wsłuchiwała się w szmer pędzących radośnie bąbelków. Jakiż był słodki! Mogła słuchać go całymi dniami. Następnie przysunęła nos do krawędzi szkła i głęboko, z radością wdychała aromat szampana. O tak, były się w nim róże – mogła je niemal zobaczyć – a także dębowy dym i woń krągłych świeżo upieczonych, maślanych magdalenek. Czyżby czuła też zapach owoców cytrusowych z domieszką świeżej ziemi?

Zamknęła oczy i pociągnęła głęboki łyk. Poczwała kremowy, gładki smak i chłodne szczypanie bąbelków na podniebieniu. Smak owoców na języku z nutą marakui przywodził na myśl wszystkie parne popołudnia, których nie spędziła na piaszczystych plażach Tahiti. Ale komu potrzebne wakacje na drugim końcu świata? W tym kieliszku Clementine mogła znaleźć wszystko. No, prawie wszystko.

Na tę myśl cmoknęła z zadowoleniem, a na jej wargach pojawił

się szeroki uśmiech. Dostrzegły go wyłącznie pająki mieszkające w latarni, ale o dziwo nawet one były pod wrażeniem. Uśmiech dodawał bowiem twarzy Clementine piękna i uroku.

Jednak w tej samej chwili, gdy objawiło się owo wewnętrzne ciepło, rzadki stan zadowolenia nagle zniknął. Świnek pierwszy usłyszał stukanie i niezdarnie skoczył na równe nogi. Tymczasem Clementine przysiadła na najniższym stopniu, nasłuchując, czy to kroki ojca, który nie wypił wystarczająco dużo lub – co gorsza – chciał na nią nakrzyczeć.

Jednak owe dźwięki brzmiały zbyt pewnie i zdecydowanie jak na Oliviera. Jeśli ojciec był o tej porze na nogach, zazwyczaj wracał do domu kompletnie pijany. Ale któż inny mógłby teraz wybrać się do winiarni? Nikt nigdy nie odwiedzał Peine'ów bez uprzedzenia. W ogóle nikt ich nie odwiedzał. Clementine była pewna, że za chwilę ogłuchnie od oszalałego dudnienia serca, którego stukot bezlitośnie odbijał się echem od kredowych ścian. Wstrzymała oddech. Kroki stały się bardziej stanowcze, głośniejsze i szybsze. Chwilę później u szczytu schodów zamajaczył długi, mroczny cień, a jaskrawe światło latarki na chwilę oślepiło Clementine, uderzając w jej przerażone oczy.

– Kto tam? – szepnęła przerażona. – Kim jesteś? Czego chcesz?

– Wreszcie cię znalazłem. – Głos należał do Marca Debasque'a, miejscowego żandarma.

Clementine poczuła ulgę, która niczym ciepła krew rozlała się po jej ciele. Wiedziała, że Marc Debasque do czternastego roku życia moczył się w nocy i z pewnością nie mógłby nikogo przerazić.

– Przez ciebie, głupku, mało nie umarłam ze strachu – parsknęła, osłaniając oczy i spoglądając na mężczyznę. – Czego chcesz, do cholery?

– Bardzo mi przykro, Clementine – odparł, zdejmując czapkę i zaglądając z góry do piwnicy – ale zdarzył się wypadek.

Pączkowanie

Typowe, pomyślała posepnie Clementine, kiedy trzy dni później ostry chłód z szaleńczą zjadłością kąsał trumnę ojca. Za życia pogoda drwiła z Oliviera swoimi kaprysmi i nie przestała nawet wówczas, gdy już go nie było. Zima uczepiła się nadchodzącej wiosny po to tylko, by po raz ostatni go pogiębić, by udręczyć bólem zreumatyzowanego niezdarnego grabarza Gastona i zmrozić samotną łzę spływającą po policzku Clementine. Od dnia, w którym Olivier połączył się ze swym Stwórcą, nie było mrozu; ale nie pojawiły się też oznaki nadchodzącej wiosny. Ziemia dotąd pozostała zmarznięta, a powietrze było ostre od chłodu.

– Tak mi przykro, Clementine – mruknął nerwowo młody proboszcz, ojciec Philippe, kiedy szli przez cmentarz. – Dobrze wiem, jak skomplikowanym człowiekiem był Olivier.

Clementine wiedziała wszystko o skomplikowanej naturze swego ojca i z pewnością nie musiała dowiadywać się o tym z ust kapłana. Wzruszeniem ramion odegnąwszy od siebie współczucie proboszcza, burknęła krótkie „do widzenia” i ruszyła trawiastą alejką pomiędzy grobami w kierunku cmentarnych bram, gdzie czekał Świnek, który z niecierpliwością wciskał swój mały łeb pomiędzy pręty z kutego żelaza.

Płaszcz nie leżał na niej najlepiej, najlepsze niedzielne buty były nieco znoszone, Clementine miała jednak piękne kostki. Ksiądz Philippe i Gaston zauważyli to, kiedy pokaszując z zakłopotaniem, patrzyli za oddalającą się kobietą. Prawdę powiedziawszy, gdyby nie jej smutek, tak naturalny w zaistniałej sytuacji, a także kilka dodatkowych centymetrów w pasie, Clementine byłaby naprawdę atrakcyjna.

Naturalnie ona sama miała w nosie swój wygląd, zwłaszcza w tym momencie. Jedyne, czego chciała, to jak najszybciej oddalić się od grobu, który przypominał ziejącą w poświęconej ziemi dziurę. W pośpiechu chwyciła oparty o cmentarny żywopłot rower, przełożyła nogę ponad siodełkiem, przeklinając obwisłe

uda, i zaczęła pedałowac. Świnek pobiegł za nią galopem.

Ponad stukotem końskich kopyt i chrzęstem żwiru, który sypał się spod kół, Clementine wciąż słyszała jęk szarpanej przez chłód sosnowej trumny. Ceremonia była krótka, a nieliczne grono żałobników składało się wyłącznie z córki zmarłego, księdza i grabarza, którzy przybyli na miejsce jedynie dlatego, że należało to do ich obowiązków. Nie, z całą pewnością nie można by powiedzieć, że mieszkańcy wioski oplakiwali odejście Oliviera Peine'a. Ale też dlaczego mieliby to robić? Przez te wszystkie lata odwrócił się od dawnych przyjaciół, toczył spory z sąsiadami i odrzucał z gniewem każdy przejaw życzliwości; nawet okazywanej mu przez własną córkę.

Czy jednak naprawdę nie ma nikogo, myślała Clementine, spoglądając na wystawioną w oknie ciastkarni rabarbarową tarte, kogo by obchodziło, że została na świecie zupełnie sama? Przecież w jej żyłach wciąż płynie krew. Nie zamarzyła jak Olivier trzy dni temu pod sklepikiem z filmami wideo. Czy naprawdę nie było nikogo, kto – nie żądając za to pieniędzy – zechciałby stanąć u jej boku, kiedy żegnała się z ojcem na zawsze? Nacisnęła mocniej na pedały, czując jak rozgoryczenie, o które oskarżała Oliviera, rozlewa się w jej sercu niczym śmietanka w gorącej czekoladzie. Co jest we mnie takiego, pytała siebie w milczeniu, co powoduje, że nikt nie chce okazać mi współczucia?

Nawet niezbyt mądry ojciec Philippe nie potrafił znaleźć odpowiednich słów pocieszenia, a zamiast tego gadał coś o prawniku Christophe, tłumacząc, że powinna niezwłocznie się z nim skontaktować. Po co? Po to, aby podstępem namówił ją do sprzedaży ziemi staremu Jolietowi? Nigdy. Ziemia, winorośl, szampan – to wszystko, co jej zostało. Wszystko, czego potrzebowała. Ludzie niech sobie idą do diabła, uznała i czując, jak rozczarowanie przechodzi w gniew, przemknęła przez rynek. Pedałując wściekle, przejechała obok ratusza, minęła Le Bois i pognęła dalej, na koniec wioski, a potem skręciła za ostatnim domem należącym do Laure Laborde. Ona pierwsza powinna spłonąć w piekle, pomyślała Clementine, patrząc na żonkile, które

ta podła kobieta zasadziła w skrzynkach. Ubrania niewychowanych bachorów Laurę powiewały wesoło na wietrze. Najstarsze z jej dzieci miało dziewiętnaście lat i studiowało na uniwersytecie w Paryżu; najmłodsze dopiero wyrosło z pieluch. To hańba wydać na świat taką liczbę diabelskich pomiotów, pomyślała Clementine i poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Hańba. Wszystkie te dzieciaki, małe i duże! Zaczęła gorączkowo mrużyć pod nosem. Ów nawyk pojawił się wiele lat temu jako bezgłówna ekspresja bolesnych myśli, jednak gdzieś po drodze ukradkiem prześlizgnął się do świata dźwięków, chociaż nigdy tego nie chciała. Na nieszczęście nie znalazł się nikt, kto powiedziałby Clementine, że powinna się go pozbyć, tak więc stał się odruchem, nad którym właściwie nie miała już kontroli.

Mruczenie zabrzmiało głośniejsze, kiedy na progu pojawiła się najmłodsza latorośl Laurę. Malutka dziewczynka upadła na pulchne kolanka, a złote kędziorki rozsypały się wokół jej ramion.

Problem polegał na tym, że było zbyt wiele rzeczy, o których Clementine nie mogła spokojnie myśleć.

Od zakrętu droga stawała się prosta, a stojąca przy niej figura świętego Wincentego, patrona winiarzy, stanowiła wystarczający powód, by Clementine przestała mrużyć; jeśli w ogóle istniał ku temu jakikolwiek powód. Wykuta w kamieniu, współczująca uśmiechnięta twarz świętego wznosiła się nad głową Clementine, a ramiona dobrotliwie obejmowały dolinę. Nie czuła szczególnej sympatii do świętego Wincentego, jednak za każdym razem gdy mijała figurę, zastygłe w bezruchu ramiona zdawały się pochylać i przeganiać złość niczym wirująca w powietrzu płachta matadora. Nie było to zbyt religijne doznanie; dla Clementine święty Wincenty był wyłącznie punktem granicznym na drodze. Po jego jednej stronie mieszkała zżyta społeczność, do której córka Oliviera Peine'a nie należała; pełna przyjaciół, których nie miała, i dobrych czasów, których nigdy nie przeżyła. Za nim, na prawo od Clementine, mieszkali jej prawdziwi przyjaciele; pięli się po zboczach, równo niczym długie szeregi posłusznych, brązowych żołnierzy. Jej krzaki winorośli. A konkretnie zdrowe, silne i

soczyste pinot meunier. Czy to nagie i pokryte śniegiem, bezlistne i pełne nadziei, jak teraz, czy zielone i uginające się od owoców, rodzinne winnice zawsze budziły w niej poczucie dumy.

Zapewne inni winiarze, zwłaszcza w Szampanii, odczuwali na widok swoich krzewów podobną radość. Byli przecież producentami najślawniejszych w świecie win musujących. Jednak mimo że Clementine przez całe swoje życie robiła i – tak – popijała ten cudowny, musujący eliksir, który napełniał resztę ludzkości życzliwością i weselem; chociaż bez wątpienia kochała swoją winnicę bardziej niż cokolwiek na świecie, nie była w stanie wykrzesać z siebie odrobiny optymizmu – podobnie, jak nie dostrzegała żadnych radosnych momentów w całym dotychczasowym życiu. Z powodów, które sięgały daleko w przeszłość, wydawała się równie chłodna i beznamiętna, jak wody Marny. Cichy pomruk był tu jak najbardziej na miejscu; Clementine po prostu nie potrafiła zareagować inaczej.

Przestała pedałowac, pozwalając, by koła roweru niespiesznie toczyły się po żwirze, podczas gdy ona podziwiała efekty swojej pracy. Mróz nie wyrządził większych szkód rosnącym na wzgórzu krzewom; poza tym pinot meunier były silne, niełatwo je zniszczyć. Nie martwiła się o te krzaki. Co jednak z pozostałą częścią winnicy, tą na dnie doliny? Poczwała ukłucie strachu. Sadzonki pinot noir nie miały odporności swoich kuzynów, były delikatne i niezwykle cenne. Ową delikatność czuło się zresztą w produkcie końcowym. Dlatego właśnie dokładano wszelkich starań, by je rozpieszczac; były tego warte. A pielęgnowanie ich nie było zajęciem dla ludzi słabego ducha. Clementine nie miała czasu guzdrać się, obijać czy nawet zbyt długo mruzczyć pod nosem. Winiarze byli jak rolnicy; nieustannie walczyli z kaprysmi pogody, zwłaszcza tu, na północy. Oto podstawowy powód, dla którego nikt inny na świecie (z wyjątkiem garstki Niemców, kilku angielskich głupków i grupki parweniuszy z Danii) nie uprawiał winorośli na tej szerokości geograficznej. Jeśli człowiek nie wiedział, co tak naprawdę należy robić, była to robota głupiego. A nawet jeśli znał się doskonale na swojej pracy,

potrzebował wiele szczęścia. Nie można powiedzieć, że Olivier Peine miał za wiele szczęścia. Cóż, prawda była taka, że niezwykle rzadko trafiał mu się dobry sezon.

Czując lekki ból mięśni, Clementine przyspieszyła, zerkając na lewo, w kierunku rzeki, na kolejną parcelę należącą do rodziny Peine'ów.

Ta część zbocza Saint-Vincent-sur-Marne mogła uchodzić w oczach obcego przybysza za jednolity, falujący, brązowy łąn winorośli, oddzielonych od siebie dziwaczными, kredowymi ścieżkami. Nic bardziej mylącego. W istocie była to monochromatyczna mozaika różnych odmian krzewów, należących do rozmaitych winiarzy. Gdyby ów przybysz przyjrzał się dokładnie terenowi, zauważyłby, że każda kolejna parcela różniła się od poprzedniej odcieniem, wielkością i wbitymi w ziemię palikami. Dostrzegłby, że pomiędzy niektórymi krzewami rośnie trawa, między innymi splecione chwasty, a tu i ówdzie leżą sterty ściętego zielska, natomiast w niektórych innych miejscach ziemia pomiędzy pnączami jest naga i jałowa. Taka też była Szampania. Człowiek mógł tu uprawiać swoich dwadzieścia rzędów w określony sposób, podczas gdy jego sąsiad robił to zupełnie inaczej, a następny sąsiad jeszcze inaczej.

Peine'owie mieli dziewiętnaście oddzielnych parceli porozrzucanych wzdłuż zbocza i na dnie doliny. Używali metalowych słupków granicznych, a trawa, którą zostawiali pośród winorośli, miała pomóc krzakom zapuścić głębiej korzenie, by mogły czerpać z ziemi to, co najlepsze. Larbordes'owie mieli tuzin parceli, podobnie jak Feneuilowie. Geoffroyowie (nazwisko tłukło się w jej myślach niczym ćma – czy nadejdzie taki dzień, w którym słysząc je, nie poczuje zawrotów głowy?) uprawiali siedemnaście poletek, a w okolicy było wielu winiarzy, którzy nie wytwarzali własnego szampana, tylko sprzedawali winogrona firmom Moeta, Veuve Clicquota, czy też – serce Clementine zamarło na chwilę – Krugowi, królowi szampana.

Ach, jakże marzyła, by choć raz w życiu udało jej się stworzyć

szlachetne wino, które mogłoby stanąć w szranki z Cios du Mesnil Kruga – szampanem, o którym mówili niemal wszyscy, chociaż piło go tak niewielu. Ona sama skosztowała tego rarytasu tylko raz, wiele lat temu, na degustacji w Epernay, kiedy wraz z Olivierem brali jeszcze udział w podobnych spotkaniach. Czasem budziła się, czując na języku smak bąbelków tego niezwykłego chardonnay. Był jeszcze Vieilles Vignes Francaises Bollingera, prawdziwy majstersztyk szampana z czasów, zanim filoksera zniszczyła większość winnic Francji. Tego *blanc de noirs* również spróbowała raz w życiu, ale teraz donośne mruczenie zatarło wszelkie wspomnienia, a Clementine powróciła myślami do swej jedynej wielkiej pasji.

Chodziło o to, że szampan z Domu Peine był dobry. Czuła to. Wiedziała o tym tak samo, jak Francois Peine, gdy po raz pierwszy posadził winorośl i zabutelkował sok w 1697 roku, w czasach gdy bąbelki wciąż były postrzegane jako poważny błąd. Wiedziała, że obecnie szampan pochodzący z ich winnic jest równie dobry, jeśli nie lepszy od najbardziej znanych marek. Mieszkańcy wioski Saint-Vincent-sur-Marne od pokoleń wytwarzali szampana; tu każda butelka była bliska ideału.

To oczywiste, że nigdy nie osiągną prestiżu Kruga czy Bollingera, jednak obie te firmy produkowały swoje szampany z winogron skupowanych od niezależnych hodowców. Żaden z wielkich domów nie posiadał wystarczająco dużo ziemi, by korzystać wyłącznie z własnych owoców. Co więcej, niektóre z nich w ogóle nie nastawiały się na uprawę winorośli, a jedynie skupowały owoce! W Domu Peine każda kropla w każdej butelce pochodziła z winorośli uprawianych przez Clementine. Znała nazwę każdego rzędu i charakter niemal każdego krzewu. Pomagała zrywać i wyciskać winogrona. Wlewała ich sok do beczek, a wino do butelek. Opracowywała choreografię niemal każdego bąbelka. Być może nigdy nie osiągnie renomy swych słynnych konkurentów, szczerze jednak wierzyła, że szampan pochodzący z winnic Peine'ów jest równie dobry, jeśli nie lepszy.

Naturalnie jej słynni konkurenci dbali o to, by świat dowiedział

się o ich doskonałym produkcie, czego Dom Peine nigdy nie robił. Zamiast tego, Olivier siedział cicho w swej podziemnej piwnicy, kryjąc się tam ze swoim dziełem. Tym sposobem świat nigdy się nie dowiedział o doskonałej, orzechowej nucie rocznika 98, czy truskawkowym posmaku ostatniego rosę. Nie gdy u steru był Olivier. W tej kwestii Krugowie i Bollingerowie wyprzedzili Dom Peine o wiele, wiele lat i Clementine wiedziała, że nigdy nie uda jej się nadrobić owych zaległości. Jednak teraz, kiedy to ona stała się właścicielką winnicy, mogła przynajmniej spróbować.

Nabrała pewności siebie, zwłaszcza po owej mroźnej nocy, kiedy samotność osaczyła ją niczym upiorna mgła. W ciągu kilku dni po śmierci Oliviera Clementine zrozumiała, że teraz przyszłość Domu Peine rysuje się znacznie bardziej optymistycznie. Rankiem nie słyszała już skacowanych pomruków i opryskliwych rozkazów, popołudnia nie oznaczały publicznych upokorzeń i obaw, że któraś ze spadających beczek przygniecie ojca.

Powoli do niej dotarło, że bez zrzędlivej przeszkody, jaką niewątpliwie stanowił Olivier, mogła robić, co tylko chciała. A jedyne, czego chciała, to przywrócić Domowi Peine jego dawną świetność; by powróciły dni, kiedy rosyjscy carowie błagali o ich szampana, angielscy królowie wznosili nim toasty, a przodkowie Peine'ów chodzili ulicami Szampanii z dumnie uniesioną głową.

Właściwie na to tylko czekała całe swoje długie i samotne życie. To dlatego jej czas na tej ponurej i okaleczonej ziemi nie był stracony. Po to codziennie wstawała wczesnym rankiem.

– Żegnaj, ojcze! – krzyknęła w rześkie, spokojne powietrze, czując, jak łzy wysychają na jej policzkach, zanim zdołała je otrzeć. – Krzyż na drogę! Ponury władca Domu Peine zmarł, niech żyje królowa!

Mówiąc to, łagodnie skręciła kierownicą, zmierzając ku rosnącym w pobliżu rzeki krzakom; ku maleńkim, nienarodzonym jeszcze winogronom. Chwilę później pozwoliła, by rower poprowadził ją tam, gdzie chciał, na drugą stronę drogi, w dół po zboczach, w kierunku najbliższej parceli pinot noir. Czy to

możliwe? Czują, jak dudni jej serce. Czyżby miała przywidzenia, czy też na zdrewniałych, nagich gałązkach pojawił się delikatny ślad zieleni?

Serce biło jej teraz jak szalone, gdy skręciwszy z asfaltowej drogi, wjeżdżała pomiędzy krzewy. Rower mknął jak oszalały po wyboistej ścieżce pomiędzy dwoma rzędami czerwonej winorośli należącej do rodziny Feneuilów, a Clementine podskakiwała i podrygiwała na siodelku. Łagodny wietrzyk, działając w zмовie z zawrotną prędkością, poderwał do góry jej rude loki, sprawiając, że wyglądała niczym podskakująca wśród krzaków bohaterka kreskówek, której rozpięty płaszcz flirtował niebezpiecznie z naoliwionym łańcuchem.

W pośpiechu zapomniała o kamieniach, ułożonych przez Oliviera po kompletnie niepotrzebnej kłótni z Henrim Feneuilem, by zaznaczyć miejsce, gdzie kończyła się parcela sąsiada, a zaczynało królestwo Peine'ów. Przednie koło wpadło na jeden z nich i rower, jak zatrzymany gwałtownie rumak, stanął w miejscu. Clementine miała znacznie mniej szczęścia. Wystrzeliła w powietrze niczym wielka granatowa piłka do żonglerki i wylądowała na plecach z odgłosem, całkiem przypominającym syk wypełnionego ciepłym powietrzem balona, z którego gwałtownie ucieka powietrze.

Przez chwilę leżała na ziemi, zastanawiając się, czy przypadkiem nie umarła. Wszystko ją bolało, była jednak prawie pewna, że śmierć polega na tym, iż człowieka kompletnie nic już nie boli. Powoli, wciąż jeszcze zamroczone, spróbowała usiąść i spojrzała na rzędy pinot noir. Na chwilę zabrakło jej tchu; ból jednak minął, a na twarzy Clementine pojawił się radosny uśmiech.

Dla swoich winorośli wyglądała pięknie.

W jej oczach one również były piękne. I wzrok jej nie mylił – na zdrewniałych gałęziach rzeczywiście pojawiła się nieśmiała nuta zieleni. *Debourrement!* Pączkowanie! W każdym, najmniejszym nawet zgrubieniu budziło się życie. Nie wszystko stracone. Mróz nie zabił niczego poza Olivierem. A teraz, w dniu

kiedy jego ciało zostało złożone w ziemi, winnice na nowo budziły się do życia.

Clementine opadła z powrotem na trawę i roześmiała się radośnie. Ach, jakże się śmiała!

Był to dźwięk nieczęsto słyszany przez krzaki winorośli. Dźwięk, który ogrzał je niczym cudowne, wiosenne słońce, które w tym właśnie momencie postanowiło po raz pierwszy odważnie wyjrzeć zza chmur.

Mathilde

Kiedy wiosna na dobre wyrwała się już ze szponów zimy, wszystko w dolinie zmieniło się nie do poznania.

W chłodniejszych miesiącach było to raczej ponure miejsce. Przyciągało wielu turystów o wąskich, zaciśniętych wargach, którzy nie odrobili pracy domowej, toteż nie przestawali zrzędzić. Nie dbali o to, jak cudownie smakował szampan, a Prowansja była według nich znacznie przyjemniejsza o tej porze roku.

Jednak już w połowie maja Dolina Marny pulsowała nadzieją. Suche, ciemne gałęzie winorośli, jeszcze do niedawna śpiące pod śnieżną pierzyną, przeżyły przymrozki i dały życie milionom maleńkich pączków, które posyłały teraz w świat giętkie, zielone pędy, zmieniając krajobraz w prawdziwy kalejdoskop jaskrawych jadeitów i szmaragdów.

Clementine krzątała się w piwnicy: podnosiła i obracała leżakujące butelki szampana, tak aby zalegający na dnie sfermentowany osad powędrował do szyjek, skąd później zostanie usunięty. W dawnych czasach wstrząsanie – zwane fachowo *remuage* – było prawdziwą sztuką przekazywaną z ojca na syna; lecz podobnie jak inne tradycyjne metody, ta również odeszła w zapomnienie dawno, dawno temu. Dziś większość ojców nie żyła lub cierpiała na artretyzm, a ich synowie pracowali w Paryżu jako informatycy.

Oczywiście byli jeszcze ludzie pokroju Nicolasa Beteau z Hautvillers, ten jednak miał tak powykrzywiane ręce, iż z ledwością podawał butelki patrzącym nań z obawą gościom. Jego szampan, jak większość tutejszych gatunków, był wstrząsany w mechanicznej skrzynce obrotowej należącej do lokalnych producentów, która w osiem dni mogła zrobić to, co ludziom zajmowało osiem tygodni.

Clementine nie ufała jednak owej diabelskiej maszynie. Wierząc w siłę tradycji, sama obracała butelki i w przeciwieństwie do innych winiarzy, których nie stać było na automatyzację procesu, naprawdę to lubiła. Czowała, że dzięki temu ma

niepowtarzalną szansę odnowić znajomość z winem, które latami leżakowało w piwnicy, samotne, zapomniane i skupione wyłącznie na wytwarzaniu bąbelków. Coś takiego z pewnością zasługiwało na odrobinę uwagi.

Kiedy tak stała przed półkami pełnymi butelek, jej rozłożone ramiona śmigły w prawo i w lewo, do góry i w dół, a nadgarstki pracowały w idealnej harmonii. Czowała się niczym natchniony dyrygent, prowadzący ukochaną orkiestrę przez nadzwyczaj ważne i piękne dzieło.

Jednak po przeszło trzech godzinach pracy nawet Clementine miała dość brzęku obracanych butelek i zdecydowała, że w tak wyjątkowo piękny, wiosenny dzień potrzebuje czegoś wyjątkowego. Słyszając jeszcze w głowie ostrą melodię podzwaniającego szkła, zatrzymała się na dziedzińcu, by odetchnąć świeżym powietrzem i poczuć na twarzy ciepły dotyk słońca, po czym wskoczyła na rower i pomknęła w kierunku ciastkarni i słodkich pokus Bernadette. Słyszając, jak rower hałaśliwie podskakuje na koleinach, Świnek wygramolił się spod kuchennego stołu i posłusznie ruszył za swoją panią.

Przy podjeździe czekała ich jednak niemiła niespodzianka. Niegdyś wspaniałe wrota Domu Peine odmówiły posłuszeństwa i za nic w świecie nie chciały się otworzyć. Poirytowana Clementine zsiadła z roweru i klnąc niczym szewc, szarpała i potrząsała bramą. To zupełnie rozbudziło Świnka – kucyk uwielbiał napady złości swojej pani – jednak gdy Clementine pogodziła się już z myślą, że będzie zmuszona wrócić do kuchni i zadowolić się czerstwą bagietką i odrobiną miodu z tymiankiem, wrota niechętnie ustąpiły i otworzyły się na świat.

Kiedy już wyszła i zatrzasnęła za sobą ciężkie wierzaje, położyła rower na ziemi i spojrzała na bramę krytycznym okiem. Świnek, który sam miał ochotę na odrobinę ciasta, z obrażoną miną rozgrzebywał ziemię kopytem, spoglądając ukradkiem na swoją panią. Jego zdaniem były to te same, stare wrota, jednak dla Clementine oznaczały one nowe możliwości i zapowiedź zmian. Teraz widziała wszystko w zupełnie nowym świetle.

Wejście do domu przypomina okładkę książki, pomyślała, opierając spocone dłonie na szerokich biodrach; niezależnie od tego, co mówili ludzie, patrząc na nią, człowiek wiedział, co znajdzie w środku. A patrząc na bramę do Domu Peine... cóż, prawdę powiedziawszy, zapowiadała smutną książkę o równie smutnym tytule „Czasy świetności ma już za sobą”. Absurdalnie zdobione wrota miały z pięć metrów wysokości, a fantazyjne zawijasy pięły się wysoko ponad głową Clementine. Spod niegdyś niebieskiej farby, teraz spękanej i łuszczącej się, wyzierały brązowe plamy rdzy. Co więcej, stalowe ogrodzenie ciągnęło się z pięć metrów po obu stronach bramy, a potem zastępował je anemiczny żywopłot, niegdyś gęsty i wysoki, teraz skarłowaciały i przeredzony do tego stopnia, że mógł go przeskoczyć dosłownie każdy (choć oczywiście nikt nie miał ochoty).

Wznoszący się pół kilometra dalej budynek przedstawiał sobą smętny widok, na którego temat można by powiedzieć tysiące słów, jednak żadnego pozytywnego. Clementine, mrużąc oczy, zerknęła przez pręty na ruinę, która od czterdziestu czterech lat była jej domem. Zbudowany ze złotej cegły, budynek miał trzy piętra oraz poddasze, a także radosną gromadę kominów i mansardowych okien. Z daleka całość wyglądała zdrowo i solidnie, z bliska jednak widok był znacznie mniej imponujący. Prawie połowę wyższych okien zabito deskami, jako że stłuczone szyby nie mogły liczyć na szybkie wstawienie. Wiele okiennic zwisało krzywo z zawiasów, w zatkanych rynnach rosły chwasty. Oryginalne frontowe drzwi od dziesiątek lat były w opłakanym stanie. Przybite tu i ówdzie, wyrwane z drewnianych skrzynek listwy, chroniły drzwi przed pęknięciem na pół i prowadziły nierówną wojnę z przeciągami. Po bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec, że brakuje klamki, którą zastępował stary, pokrzywiony śrubokręt wbity w doniczkę po geranium. Nie było dzwonka ani kołatki, choć Olivier już dawno wystraszył wszystkich śmiazków, którzy nosili się z zamiarem wizyty, a których Clementine nie miała ochoty przeproszać za grzechy ojca.

Wszystkie te mankamenty umknęłyby jednak uwagi pełnego

entuzjazmu turysty, gdyby tylko ktoś taki znalazł się w tej okolicy. Z daleka bowiem dom wyglądał jak francuski zamek z bajki: ogromny gmach otoczony soczystą zielenią winnic. Patrząc nań, turysta z pewnością zapomniałby o ogólnym rozczarowaniu krajobrazem tej części Francji i zjechałby na pobocze, przysięgając, że zobaczył coś, co wyglądało jak dom, który widział w magazynie „New York Times”. Może nawet zrobiłby zdjęcie przez zamkniętą bramę, chcąc uchwycić wyjątkowy kolor okiennic, aby po powrocie do londyńskiego mieszkania pomalować meble ogrodowe tym samym odcieniem.

Z miejsca, w którym stała Clementine, budynek przypominał porzucony statek złupiony przez piratów, pełen duchów, zapomniany i unieruchomiony na bezkresnych, zielonych wodach.

Ale wciąż jeszcze utrzymuje się na powierzchni, pomyślała z dumą. Wizja przyszłych sukcesów sprawiła, że uśmiechnęła się i chwyciła kierownicę roweru. Widząc to, Świnek z gracją poderwał się na nogi. Jeszcze wypłyną na szerokie wody, uznała Clementine. Może nawet postawi tabliczkę z informacją dla świata, że oto po latach nieobecności wraca do gry. Najpierw jednak musiała znieść do piwniczki cały świeżo zabutelkowany szampan, obrócić zasoby z ubiegłych lat, oczyścić szyjki z osadu, kiedy nadejdzie czas; znowu przenieść wino do piwnicy, przejrzeć zapasy Oliviera, zerknąć na księgowość – o której nie wiedziała kompletnie nic – i znaleźć jakąś pomoc na miejsce rozleniwionych bliźniaków. Po chwili stwierdziła, że tabliczka będzie musiała poczekać. Do końca września miała jeszcze mnóstwo roboty, nie wspominając o *vendange* – winobranii.

Nic dziwnego, że umieram z głodu, pomyślała, oblizując usta. Jednak zanim zdążyła przełożyć nogę nad siodełkiem i ruszyć do cukierni Bernadette, zza zakrętu wyskoczył wściekle czerwony renault Christophe’a Paillarda. Chwilę później samochód zatrzymał się, zasypując Clementine i Świnka gradem żwiru i spowijając ich gryzącą chmurą kurzu.

– Uważaj, co robisz, niezdaro – warknęła, kiedy wyłączył silnik.

Wiele razy zdarzyło jej się rozmawiać z prawnikiem rodziny. Jak na jej gust miał zbyt zarośniętą klatkę piersiową; poskręcane włosy wystawały znad kołnierzyka koszuli niczym niestrzyżona trawa. Co gorsza, Paillard był sługusem starego Jolieta, który od czasu do czasu wysyłał go, by powęszył po okolicy i dowiedział się, czy ktoś przypadkiem nie sprzedaje ziemi.

– I powtarzam ci to ostatni raz, odpowiedź brzmi „nie”. – Pełna złości otrzepała ubrania i kaszląc, usłyszała, jak mężczyzna otwiera i zamyka drzwi samochodu. – Nie, nie i po tysiackroć nie. Ile razy mam powtarzać, zanim dotrze to do twojej tępej głowy?

Drugie drzwi otworzyły się i zamknęły, tym razem z ostrym trzaskiem.

– Proszę, proszę – rozległ się aksamitny kobiecy głos. – Co my tu mamy? Tyle lat, Clementine, a ty wciąż wyglądasz jak coś, co kot przywłókł do domu.

Dźwięk tego głosu zmroził krew w żyłach Clementine. Przestała otrzepywać ubranie i bezradnie opuściła ręce. Nie, to nie może być... Nie. To niemożliwe. Zdawało jej się tylko. Ale ten głos, ten ton i wyczuwalne w powietrzu napięcie... Zerknęła ponad kłębami kurzu i wbiła ogłupiały wzrok w młodą kobietę, uosobienie elegancji i dobrego smaku, która wysiadła z samochodu i stanęła tuż obok. Wysoka, szczupła blondynka w szpilkach koloru karmelu i kremowym trenczu ściśniętym paskiem, by podkreślić smukłą talię, skrzyżowała ręce na piersi, ukazując czerwone paznokcie, a równie czerwone wargi ułożyły się w pełen pogardy, złośliwy uśmiezek.

Nie było wątpliwości.

– Matbilde! – jęknęła Clementine. Nie widziała jej od osiemnastu lat, a dokładnie od czasu, gdy ta wstrętna dziwka zrujnowała jej życie na milion różnych sposobów. Nawet jeśli rany się zablizniły i przestały boleć, Clementine czuła, że otwierają się znowu; jak gdyby nigdy się nie zagoiły, chociaż upłynęły prawie dwie dekady. – Cokolwiek ode mnie chcesz – wykrzyknęła – nie dostaniesz tego! Odejdź!

– Chryste, a to co? – Mathilde zignorowała ją i wskazała

długim, wypielegnowanym paznokciem kucyka, który niczym prosię rozgarniał pyskiem ziemię. – Panie Paillard, nie wspomniał pan o potomstwie.

Clementine poczuła, jak w jej gardle narasta spanikowane mruczenie, zdołała jednak nad nim zapanować.

– Wynoś się! – wrzasnęła. – Odejdź. No już, zejdź mi z oczu, zanim zawołam policję i każę cię aresztować za, za...

– Proszę, drogie panie – błagał Christophe. – Czy to naprawdę konieczne?

– Za co właściwie każesz mnie aresztować? – Mathilde uśmiechnęła się leniwie, z uwagą podziwiając duży pierścionek z brylantem, który nosiła na smukłym palcu serdecznym.

– Za to, że jesteś podłą dziwką, złodziejką, intruzem, oto za co! – wrzasnęła Clementine. – Jesteś tylko...

– Wystarczy już, Clementine – przerwał stanowczym tonem Christophe. Mówiąc to, podszedł ku niej i uniósł pulchną dłoń, jak gdyby próbował zatrzymać ruch uliczny. Niewzruszona Mathilde wybuchnęła piskliwym śmiechem.

– Proszę się nie przejmować – odparła uspokajająco. – Jeśli dobrze pamiętam, Clementine co pięć, sześć minut musi wypuścić trochę pary. Wie pan, zupełnie jak wielki, tłusty, czarny, stary czajnik.

Nawet po osiemnastu latach bez trudu wiedziała, jak doprowadzić Clementine do łez – łez, które ta wcześniej skrzętnie ukrywała pośród brzęku butelek, szczęku sekatora i sykania roztańczonych bąbelków.

– Dziwka – mruknęła, odwracając twarz, tak by Mathilde nie miała okazji napawać się zwycięstwem. – Złodziejka.

Mathilde była niczym wampirzyca; nawet jeśli wiedziała, ile krwi wyssała już ze swojej ofiary, nie przestawała pić aż do ostatniej kropli. Rezygnując z wyprawy do cukierni, Clementine podniosła rower i niezdarnie powlokła się w kierunku bramy, czując gorący nos Świnka, który szturchał ją w udo.

– Nie chcę cię widzieć, Mathilde – oświadczyła, drżącymi rękami starając się otworzyć bramę. – Nie wiem, co tu robisz, ale

nie jesteś mile widziana w moim domu. Miałaś już swoją szansę i jej nie wykorzystałaś. Odrzuciłaś ją. Odrzuciłaś ją wiele lat temu i od tamtej pory nic się nie zmieniło. Nic się już nie zmieni. Po prostu odejdz i zostaw mnie w spokoju!

Jednak brama nie miała zamiaru ułatwić jej pełnego godności odwrotu. Pozostała uparcie zamknięta, a im bardziej Clementine szarpała klamkę, tym niżej osuwał się oparty o biodro rower. Jakby tego było mało, Świnek bezustannie szturchał ją w pośladki, co tylko potęgowało uczucie poniżenia.

Chwilę później do walki z krnąbrnymi wrotami dołączył się Christophe, który natarł na nie całą siłą potężnego, owłosionego cielska.

– Obawiam się, że to nie takie proste, Clementine – szepnął łagodnie. – Musisz wiedzieć, że nie chodzi tu o wykorzystywanie szansy czy odrzucenie czegośkolwiek. Twoja siostra i ja...

– Przyrodnia siostra! – sprostowała Clementine, obracając twarz i niemal wciskając ją pod spoconą pachę prawnika. – Przyrodnia!

– Dobrze już, dobrze – przytaknął cierpliwie, mocując się z bramą, która w końcu ustąpiła pod naporem jego ciała. – Twoja przyrodnia siostra i ja musimy wejść i z tobą porozmawiać. To znaczy, ja muszę wejść i porozmawiać z wami obiema. Przykro mi, Clementine; naprawdę mi przykro. Myślałem, że może ojciec Philippe przygotowuje cię na tę wiadomość. Rozmawiałem z nim zaraz po tym, jak skontaktowałem się z Mathilde, ale...

– Ojciec Philippe? Co chcesz przez to powiedzieć? – wycodziła Clementine, szcękając zębami. Nawet nie próbowała już ukryć lęku. – Przygotuje mnie? Na co?

– Przykro mi – powtórzył Christophe – ale próbowałem się z tobą skontaktować. Dzwoniłem, wysyłałem listy. – Mówiąc to, zauważył leżącą na trawie, tuż za zardzewiałymi wrotami, rozmiękłą kupkę kopert. Najwyraźniej listonosz wołał przerzucić korespondencję przez płot niż walczyć z bramą, czy – co gorsza – z Clementine. – Naprawdę to wcale nie musi być takie okropne.

Trzy czwarte

W życiu Clementine zdarzyło się zaledwie kilka sytuacji, które skutecznie pozbawiły ją apetytu, jednak wiadomość, że będzie zmuszona podzielić się Domem Peine z dawno niewidzianą (i od dawna znienawidzoną) przyrodnią siostrą, Mathilde, była z pewnością jedną z nich.

Pełne kremu tarty i słodkie ciastka, które jeszcze przed chwilą tańczyły w jej głowie, zmieniły się w oślizłą papkę, równie uroczą, jak wciąż jeszcze parujący krowi placek.

– Nie wierzę – rzuciła głuchym tonem, tuż po tym, jak siedzący w kuchni Christophe wyjawiał jej rewelacje, równie bolesne jak siarczasty policzek wymierzony ręką zmarłego, gnijącego w grobie ojca. – Po prostu nie wierzę.

Mathilde, która przycupnęła niezgrabnie na kuchennym krześle, jak gdyby jej napięte pośladki wzdrygały się na samą myśl o tym, jakie obrzydliwości znajdowały się tam przed nią, przewróciła oczami.

– Twój ojciec nigdy nie rozmawiał z tobą o tym, co stanie się z domem w razie jego śmierci? – zagadnął Christophe. – Nigdy nie rozmawialiście o takiej sytuacji?

– Ojciec prawie w ogóle ze mną nie rozmawiał – odparła oszołomiona Clementine. – W życiu niczego nie omawialiśmy.

– Tak, ale wiedziałaś przecież, że Mathilde zawsze będzie miała prawo do... – zaczął Christophe, jednak dźwięk znienawidzonego imienia natychmiast wyrwał Clementine z odrętwienia.

– Prawo? – powtórzyła. – Prawo? Jak śmiesz mówić mi o prawach? Jakie ona ma prawo do którejkolwiek części winnicy? Co? No powiedz! Jakie? To ja wraz z Olivierem pracowałam tu przez wszystkie te lata. Nie Mathilde. Ani nikt inny. Tylko on i ja. A ostatnio właściwie tylko ja. Kto obrywał liście i próbował winogron? Kto godzinami siedział w piwnicy, obracając butelki i obliczając dozowanie? Kto płukał beczki, przycinał pędy i zwalczał te przekłete szkodniki, co? Ja, Christophe, ja. To ja

mieszkałam tu z ojcem przez cały ten czas. Ja musiałam znosić jego humory, pijaństwo i walczyć z demonami, które nawiedzały go nocą, jeśli wcześniej nie stracił przytomności na kuchennej podłodze. Ja musiałam znosić jego skąpstwo, ja dla winogron i szampana poświęciłam przyjaciół i szansę na normalne życie. Ja! Tak, ja! – Widząc, że nie ma sensu jej przerywać, Christophe milczał. – Nawet nie wymawiał jej imienia – ciągnęła Clementine, wskazując palcem Mathilde. – Nie wspomniał o niej od czasu, gdy była tu po raz ostatni. A ty mi mówisz o jej prawach? To nie do pomyślenia, że ona... nie, jeszcze gorzej, to karygodne, że ona w ogóle ma jakieś prawa! Czym sobie na nie zasłużyła? Przecież musi istnieć jakiś przepis, który zabrania takich rzeczy! Musi! Jeśli Bóg istnieje, Dom Peine powinien być mój. Wiem to ja, ty to wiesz, wszyscy to wiedzą. Jesteś ekspertem, powiedz mi więc, co mam zrobić? Powiedz mi! Nie siedź tak i nie gap się, tylko mi powiedz!

Christophe otworzył usta, jednak nie był wystarczająco szybki.

– Ależ nie awanturuj się tak, Clementine – wtrąciła Mathilde.

– Ja też nie skaczę z radości na myśl, że będę musiała dzielić się z tobą swoim dziedzictwem, ale jak widzisz, nie robię wokół tego tyle szumu.

Clementine wstała tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedziała chwilę wcześniej, runęło na podłogę.

– Nie odzywaj się do mnie! – ryknęła, podnosząc do oczu drżącą dłoń, jak gdyby za wszelką cenę chciała uniknąć wzroku siostry.

– Nawet nie waż się do mnie odzywać! – W tej samej chwili spod stołu wypadł przerażony Świnek, który – choć zwykle nie stronił od wszelkiego rodzaju awantur – poślizgnął się na gładkiej, kamiennej podłodze.

– Trzymasz tego cudaka w domu? – jęknęła Mathilde, patrząc na kucyka z odrazą. – Czemu nie hodujesz kotów jak normalna wariatka?

Jednak Clementine była zbyt zrozpaczona, by się odgryźć. Zamiast tego z niezwykłą sobie desperacją zwróciła się do

prawnika.

– Przecież coś da się zrobić – jęknęła żałośnie. – Cokolwiek! Proszę, Christophe, cokolwiek. Musisz mi pomóc. To nie w porządku.

– Daj spokój, Clementine – odrzekł ze współczuciem. – Czy naprawdę tak cię to dziwi?

– Powinna rzec się swoich praw! – wrzasnęła Clementine. – Oto co powinna zrobić. Każdy by tak zrobił. Czego ona chce od szampana, Christophe? Od Saint-Vincentsur-Marne? Ode mnie? To nie fair!

Przez moment Christophe naprawdę jej współczuł. Clementine miała rację. Życie nie obeszło się z nią sprawiedliwie. Umieściło ją w tej dziurze, w towarzystwie Oliviera Peine'a, dla którego rozsądek był pojęciem obcym, a racjonalne myślenie największym wrogiem. Ten człowiek nie zmieniał się, odkąd Christophe sięgał pamięcią. Prawdę powiedziawszy, siostry Peine powinny być wdzięczne, że prawo broniło takich jak one, inaczej ten uparty zgryźliwiec zrobiłby córkom na złość i już dawno oddał swój żaloszny interes staremu Jolietowi albo przepisał wszystko na schronisko w Oeuilly.

– No nie siedź tak, ty tłusty wałkoniu! – Krótkotrwała desperacja Clementine przerodziła się w typową dla Peine'ów złość, musującą niczym wino, którego Christophe kosztował już wcześniej. Jej smak niemal natychmiast zabił nową, nieznaną dotąd nutę współczucia.

– Cóż, może to i karygodne, ale jak najbardziej zgodne z prawem – odparł szorstko. – Twoja siostra – przepraszam, przyrodnia siostra – dała jasno do zrozumienia, że nie zamierza rzec się praw do majątku i ani ty, ani nikt inny nie może tu nic zrobić. Poza tym, jest jeszcze...

– Dlaczego ten żaloszny sukinsyn to zrobił? – ryknęła Clementine, zaciskając pięści i tupiąc w zimną, łupkową podłogę. – Ta zapijaczona, egoistyczna świnią! Namiastka człowieka. Ten debil!

– A on wyrażał się o tobie tak ciepło – rzuciła złośliwie

Mathilde, przeciągając samogłoski. Opatulona w swój elegancki trencz wlepiała pełne pogardy spojrzenie w pozostałe po śniadaniu okruchy rogalika.

– Właściwie nie jest to wina twojego ojca – wyjaśnił Christophe, hałaśliwie rozkładając papiery na blacie stołu. – To prawo nakazuje, by większość majątku zostawić dzieciom, czyli...

– Wcale nie wyrażał się o mnie ciepło. – Clementine wbiła wzrok w siostrę; głos miała niski i schrypnięty. – o nikim nie wyrażał się ciepło. Ani o mnie, ani o tobie, ani o swoim prawniku, ani nawet o sąsiadach, zwierzętach czy rzeczach, o nikim.

– Cóż, nie mam żadnych zwierząt, a jeśli chodzi o sąsiadów, pewnie miał rację, więc w ogóle mnie to nie obchodzi. Jestem tu, żeby odebrać swoją część spadku.

– Proszę, Mathilde – zaczął Christophe – naprawdę nie powinnaś...

– Swoją część spadku? – wrzasnęła Clementine, przerywając mu. – Całe życie poświęciłam temu miejscu, a teraz mam je oddać jakiejś miastowej zdzirze, która nie ma pojęcia o winogronach, winie ani nawet...

– Wiedziałam wystarczająco dużo, żeby w ciągu jednego miesiąca dostać to wszystko, o czym ty marzyłaś przez całe swoje żałosne życie – odgryzła się Mathilde. – I o czym prawdopodobnie wciąż marzysz, ty głupia, tłusta krowo.

– Ależ drogie panie!

Christophe, sam będąc ojcem dwóch niezwykle impulsywnych młodych dam, z których jedna miała cztery, a druga siedem lat, bezbłędnie wyczuł nadciągającą awanturę. Widząc, co się święci, zerwał się na równe nogi w chwili, w której Clementine zamierzała zdzielić Mathilde deską do krojenia chleba.

– Ty podła wiedźmo! – wrzasnęła Clementine. Łzy wściekłości trysnęły jej z oczu, a deska do krojenia upadła z hałasem na podłogę. Przerażony Świnek, skulony przy piecu kuchennym, ponuro łypnął okiem w kierunku Mathilde, co do której miał jak najgorsze przeczucia. – Po co wróciłaś? Mało złego wyrządziłaś, kiedy byłaś tu ostatnim razem? Czemu mi to robisz?

– Niczego ci nie robię, ty żałosna kreaturo – odparła ze spokojem Mathilde. Jej idealna fryzura nie drgnęła nawet wówczas, gdy Christophe siłą próbował powstrzymać Clementine. – Oszczędzaj się i nerwy na walkę z tętniakiem i pogódź się z myślą, że jestem tu, żeby odebrać to, co mi się prawnie należy: połowę tego popadającego w ruinę, starego domu, połowę tych cholernych winorośli i połowę tego, co znajdę w piwnicach Oliviera.

– Ależ, madame – zaprotestował Christophe, popychając Clementine w kierunku krzesła i starając się odzyskać kontrolę nad sytuacją – właśnie to chciałem wytłumaczyć. – Mathilde wyprostowała swe długie nogi w jedwabnych pończochach, by chwilę później znowu założyć jedną na drugą, czym kompletnie zdekoncentrowała prawnika.

Widząc to, uśmiechnęła się do siebie. Ach, ci mężczyźni. Byli tacy niedorzeczni.

– Wytłumaczyć co, panie Paillard? – zachęciła go jedwabistym głosem.

– Że nie chodzi o połowę – odparł, czując nad górną wargą strużkę potu, która bynajmniej nie miała nic wspólnego z tym, co – jak przypuszczał – obiecywały niekończące się nogi Mathilde. Już wcześniej powinien był załatwić tę kwestię. Co on sobie myślał? Kobiety! Czy kiedykolwiek je zrozumie?

– Nie o połowę? Ha! – wykrzyknęła Clementine, czując kiełkującą pośród rozpaczyny nadzieję. Francuskie przepisy spadkowe były tak skomplikowane. Wprawdzie nigdy nie starała się ich zgłębić, jednak miała nadzieję, że nawet w obecnej sytuacji uda się znaleźć jakąś lukę prawną. Była tego pewna. – Dzięki Bogu! – Po tych słowach opadła na krzesło, czując jak opuszcza ją wściekłość. – A jednak pomyślał o mnie – szepnęła, zbierając ze stołu okruchy ciasta. – Troszczył się. Wiedziałam to. Chciał coś dla mnie zrobić.

Opanowanie Mathilde zniknęło z sekundy na sekundę, a na widok stalowego błysku w jej oczach Christophe poczuł mdłości. Mimo wszystkich wad Clementine, w tym gburowatości i

kompletnego braku gustu, starsza Peine'ówna nie była tak drapieżna i niebezpieczna, jak jej szykowna siostra. Z pewnością na chwilę uległ urokowi tych długich, amerykańskich nóg. Już wcześniej, w samochodzie, porównywał je z krótkimi, masywnymi nogami swojej żony, marząc, by jego połowica ubierała się jak wytworna Paryżanka, a nie prowincjuszka z dwójką dzieci. Ale jego żona przygarniała zbłąkane kocięta, a po ciężkim dniu w pracy przyrządzała na kolację pstrąga (miał nadzieję, że dziś także go zrobi). Jego żona zanosila sąsiadom malinowy dżem własnej roboty, dobierała mu krawaty i prasowała koszule. Kochała go ponad wszelką miarę i okazywała to przy każdej nadarzającej się okazji. Przypuszczał, że Mathilde nie byłaby zdolna do żadnej z tych rzeczy. Czegoś jej brakowało.

Peine'owie w ogóle byli żalosalną rodziną, pomyślał. Ukarani nazwiskiem i całym życiem. Christophe mógł tylko przypuszczać, że niebawem przestanie być tu potrzebny i wycofa się niezauważony. Dlatego też postanowił wziąć się w garść i wracając do sprawy, spróbował przybrać wystudiowany, profesjonalny ton.

– Obawiam się, że to, co mam do powiedzenia, może być zaskoczeniem dla obu pań – oznajmił śmiało. – Nie wiem, jak najlepiej wam to przekazać, więc nie będę owijał w bawełnę.

Dwie pary oczu dosłownie przewiercały go na wylot.

– Wasz ojciec miał jeszcze jedną córkę. Usłyszał westchnienie.

– Nazywa się Sophie Laroche. Urodziła się w Paryżu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, jako córka Josephine Laroche, znanej również jako Fifi. Możliwe nawet, że ją pamiętasz, Clementine. Pracowała w Le Bois, tu, w Saint-Vincentsur-Mame, przez mniej więcej rok, do czasu gdy... cóż, mniejsza z tym. Po narodzinach dziecka wasz ojciec miał z nią dość ograniczony kontakt i nie wiadomo, gdzie obecnie przebywa mademoiselle Laroche. Moi koledzy z Paryża starają się odnaleźć waszą najmłodszą siostrę. Oczekuję, że mademoiselle Sophie niebawem skontaktuje się ze mną i radzę wam przygotować się na to samo.

Wiadomość oszołomiła Clementine, ale nie Mathilde.

– Co to za pieprzone brednie, ty bełkoczący idioto? – warknęła, niemal całkowicie tracąc swój dotychczasowy urok.

Ach, jakże tramie Christophe wyczuł niebezpieczeństwo!

– Mówię tylko, że wasz ojciec nie zostawił całego spadku wyłącznie wam dwóm – odparł pospiesznie. – Zostawił go waszej trójce.

W języku francuskim *peine* oznacza m. in. karę – przyp. tłum.

Ostatnie słowo odbiło się od ścian niczym dźwięk kopyt na bruku. Po raz pierwszy od prawie dwudziestu lat Clementine i Mathilde wymieniły spojrzenia, które wyrażały coś innego niż czystą nienawiść.

– Sophie również otrzyma swoją część – ciągnął Christophe z udawanym spokojem.

– Cholerny drań – jęknęła Mathilde.

– Niech gnije w piekle – dodała Clementine.

– Przez długi, długi czas.

– Przez całą wieczność!

– Nie, nawet wieczność byłaby zbyt krótka. Powinien gnić po wsze czasy. Przez dwie wieczności!

Christophe uznał, że powinien jak najszybciej wrócić do domu i nie szczędzić swym córkom miłości i troski. Człowiek zbiera to, co zasiał: dowodem były te dwie siedzące naprzeciw niego harpie. Wiedział, że to nie ich wina. Olivier był przysłowiową jabłonią, a one jabłkami, które nie padły za daleko. Mimo to nie chciał ani minuty dłużej przebywać w ich towarzystwie. Owoce domu Peine pozostawiały w jego ustach smak zgnilizny.

– Ćwierć jego królestwa – rzekł, wstając od stołu i klepiąc się po kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków do samochodu – dla każdej z trzech uroczych córek. Tak postanowił wasz ojciec.

– Chwileczkę – wtrąciła Mathilde głosem, który w niczym nie przypominał już gładkiego jedwabiu. – Ćwierć jego królestwa? Dla każdej z trzech córek? Co z pozostałą ćwiartką? Kto ją dostanie? Nie mów tylko, że ta mała kreatura – mówiąc to, wskazała głową kuczka – bo urwę ci łeb i kopnę go aż do

Epernay.

– Zgodnie z francuskim prawem – wyjaśnił Christophe, cofając się przezornie w stronę holu i przygotowując do pospiesznej ewakuacji – wasz ojciec miał prawo oddać pozostałą część, komukolwiek zechciał.

– A któż jest tym szczęśliwcem, ty głupi pacanie?

– Pan Olivier wybrał swoje wnuki – odparł Christophe, mając szczerą nadzieję, że nigdy nie będzie żadnych wnuków. I zanim harpie zdążyły się na niego rzucić, wyszedł z domu.

Clementine i Mathilde stały teraz po przeciwnych stronach kuchennego stołu, każda z nich zatopiona we własnych myślach. Przyszłość Clementine, która jeszcze przed kwadransem zdawała się usłana różami, wyglądała teraz jak jej przeszłość – mroczna i wyboista. Była chyba nawet mroczniejsza niż przeszłość. I zdecydowanie bardziej pokryta kamieniami. Musiała dzielić swój świat nie tylko zjedną, podłą Mathilde, ale jeszcze z jakąś zupełnie obcą osobą. I w dodatku ich dziećmi? Zaczęła mruzczyć; z początku cichutko później coraz głośniej.

Mathilde, tak pewna, gdy czuła, że ma nad kimś przewagę, była wyraźnie wstrząśnięta wiadomością o siostrze, która pojawiła się w jej życiu niczym wyciągnięty z rękawa as. Możliwość powrotu do Saint-Vincent-sur-Marne zapewniała jej poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo potrzebowała, jednak nie spodziewała się dodatkowych komplikacji związanych z istnieniem tajemniczej trzeciej siostry Peine. Co do dzieci, gdyby Mathilde miała skłonności do mruczenia, z pewnością dołączyłaby do Clementine.

Zamiast tego wstała od stołu i podeszła do jednej z szafek.

– Masz tu coś do picia? – warknęła, otwierając i zamykając drzwiczki. Świnek wymknął się z kuchni, byle jak najdalej od tej koszmarnej istoty.

Clementine zignorowała ich oboje. Apetyt, który straciła po tym, jak dowiedziała się, że jej dziedzictwo zostało pocięte na kawałki, wrócił ze zdwojoną siłą, kiedy sobie uświadomiła, że oto otrzymała w spadku mizerne ochłapy. Przestała mruzczyć, podeszła

do przedpotopowej lodówki, skąd wyciągnęła kawałek spleśniałego koziego sera i nędzne resztki tarty cytrynowej, które zamierzała zastąpić czymś znacznie smaczniejszym, zanim jej życie obróciło się w ruinę. Tymczasem Mathilde znalazła butelkę anyżówki i naląła sobie sporą porcję do szklanki. Pociągnęła solidny łyk i naląła sobie jeszcze.

– Jak możesz jeść w takiej chwili? – spytała. Wykrzywiła się, obserwując, jak ser i tarta znikają w ustach siostry.

– Mówiłam, że masz się do mnie nie odzywać – odparła Clementine. – Ale skoro mowa o czasie – wskazała na zegar; nie było jeszcze południa – tylko obiboki i dziwki piją przed lunchem.

– Nie zapomniałaś o swoim ojcu?

– Twoim ojcu – sprostowała Clementine. Mathilde wychyliła kolejną szklankę.

– Tak – przyznała kwaśno. – Naszym ojcu. Który jest w niebie.

Korzenie

Olivier Peine był wszystkim, co łączyło Clementine i Mathilde, czyli niczym, jeśli chodzi o wzajemne porozumienie, zwłaszcza że miały o nim zupełnie inne zdanie.

Mathilde w ciągu trzydziestu pięciu lat życia spędziła z ojcem wyłącznie cztery tygodnie, natomiast Clementine była skazana na przebywanie z nim od wczesnego dzieciństwa, kiedy to zmarła jej matka. Okoliczności tragicznej śmierci mamy były owiane tajemnicą; właściwie Olivier zabronił wymawiać jej imię (Marie-France), nie pozostawił też żadnych zdjęć zmarłej żony. Dla Clementine było to coś więcej niż tylko sekret i z rzadka powtarzane słowo *maman*; był to zamglony obraz kolibra, który trzepotał skrzydełkami w najmroczniejszych czeluściach jej umysłu.

Jak przez mgłę pamiętała inne, tętniące życiem postaci: babcię, która pachniała lawendą i mokrymi skarpetami, a której nagła śmierć pogrzyżyła dom Peine'ów w jeszcze głębszym mroku; brodatego, starego księdza, który wiecznie coś szeptał, uprzejmą sąsiadkę, do której tuliła się jako mały szkrab.

Przede wszystkim jednak pamiętała samotność i przerażające dźwięki, dochodzące nocą z sypialni ojca; ale głównie chłód, mrok i samotność.

Kiedy miała siedem lat, Olivier – ku zdziwieniu jej i wszystkich dookoła – ożenił się ponownie, tym razem z młodą absolwentką amerykańskiego college'u, która przyjechała do Szampanii, by pomagać przy winobraniu. Clementine zapamiętała Ann Macintyre jako ładną, tyczkowatą, pełną życia blondynkę. Podziwiała ją, choć tamta była intruzem, który nagle włamał się do jej bezpiecznego świata. Kimś obcym, kogo Clementine chciała zatrzymać przy sobie. Zdawało się, że wraz z nią powróciły do domu Peine'ów światło i radość. Powieszono zasłony w oknach, załatano narzuty, a na czystych, odkurzonych meblach pojawiły się bukietki kwiatów. Dla poważnej i skrytej Clementine była to miła odmiana, jednak dziewczynka

zastanawiała się, co takiego Ann – słodka, wesola Ann – dostrzegła w oschłym, humorzastym i ponurym Olivierze. Ale cokolwiek to było, niebawem Ann przestała to widzieć. Po dwóch deszczowych i mglistych zimach w Saint-Vincentsur-Marne, jej radość wsiąkała w kredową glebę, na której nic nie rosło lepiej od depresji potęgowanej przez wszechobecną wilgoć i mrok.

Dla Clementine było to niespodziewanie miłe, jako że w swojej niedoli Ann szukała ciepła, którego odmawiał jej Olivier. Mogła siedzieć godzinami, tuląc pasierbicę do siebie, kołysząc ją i wypłakując się w jej rudą główkę. Dziewczynka, nieprzyzwyczajona do okazywania jej uczuć, w milczeniu chłonęła każdy przejaw czułości. Tak wielkie było jej szczęście, że w ciągu ostatnich miesięcy nie zauważyła nawet brzucha, który rósł pod swetrem Ann wprost proporcjonalnie do wylanych przez nią łez. Później, pewnego dnia, w domu pojawiła się para siwowłosych Amerykanów, którzy zabrali swą nieszczęśliwą ciężarną córkę z powrotem do Nowego Jorku. Wówczas Clementine i Olivier po raz ostatni widzieli Ann MacIntyre Peine.

Dziewczynka była niepokieszona, jej ojciec zbył jednak całą sytuację wzruszeniem ramion i zniknął w winnicy. Tak oto Ann stała się kolejnym zakazanym imieniem.

Niespełna pół roku po tym, jak zniknęła ze sceny, do domu Peine'ów przyszło zdjęcie tłuściutkiej, uśmiechniętej, rudowłosej dziewczynki: Mathilde. Clementine znalazła zdjęcie pod butelką leżącą obok kubła na śmieci i schowała je w szufladzie z bielizną. Przez długi, długi czas, w ponurych momentach życia, wyciągała fotografię i gapiała się na dziecięcą buźkę, wyobrażając sobie, jak szczęśliwa byłaby, mając przy sobie małą siostrzyczkę.

Jednak nie było jej dane doświadczyć radości zarówno w latach szkolnych, jak i wówczas, gdy stała się nastolatką. Odrobinę pulchna, ale ładna, z oczami koloru owoców szczepu chardonnay, Clementine była nieśmiałą dziewczyną i ukrywała swoje uczucia pod pancerzem szorstkości. Przyjaciele stanowili luksus, na który nie mogła sobie pozwolić. Czegóż graniczącego z radością doznawała wyłącznie w chwilach, gdy samotnie błąkała się pośród

winorośli, czując na twarzy rozkoszne ciepło wiosennych promieni, wdychając łagodny zapach kwiatów, z których latem rodziły się owoce, zasłaniając oczy przed styczniowym śniegiem, który przykrywał nagie gałęzie grubym, skrzącym się kocem.

Wówczas, pewnego letniego poranka, niedługo po dwudziestych szóstych urodzinach Clementine, Olivier – który tego dnia był w wyjątkowo fatalnym humorze – oznajmił, że jej młodsza siostra przyjeżdża, by z nimi zamieszkać. Chociaż ta wiadomość kompletnie ją zaskoczyła, Clementine poczuła nagły dreszcz emocji. Czy to możliwe, aby malutka Mathilde, o której marzyła przez siedemnaście długich lat, ta pucółowata, uśmiechnięta dziewczuszka w końcu miała stać się częścią ich życia, jej życia?

Ale owa istota, która wysiadła z zardzewiałego citroena w kolorze moreli, nie była wcale pucółowata, ani uśmiechnięta. Chuda i wyjątkowo nadąsana pannica obrzuciła dom jednym, przelotnym spojrzeniem, stwierdzając po angielsku: „co za cholerna nora”, po czym oburzona wbiegła do środka, zostawiając bagaże oniemiałej Clementine. Jak się później okazało, doskonale mówiła po francusku i trzeba przyznać, że była w tym języku równie szczerą, jak w amerykańskiej angielszczyźnie.

Okazało się również, że za swoje wulgarne zachowanie Mathilde została wyrzucona z eleganckiej szkoły na Manhattanie, a zrozpaczona Ann spakowała ją i wysłała do Francji, by choć na chwilę uspokoić obecnego małżonka i pozbyć się problemu.

Nie było mowy, by siostry pojęły, że w istocie walczą przeciwko tym samym ograniczającym je regułom; że to, co zmieniało Clementine w nieśmiałą ciamajdę, budziło upór i agresję Mathilde. Clementine widziała w siostrze niewyobrażalną niewdzięcznicę, która świadomie odepchnęła ciepłe, pocieszające ramiona matki; Mathilde natomiast postrzegala Clementine, jako zaniedbaną starą pannę, która przemieniła jej ojca – wyśnionego księcia z bajki – w zgorzkniałego ponuraka.

Co gorsza, przyjechawszy do Saint-Vincent-sur-Marne, Mathilde dała jasno do zrozumienia, że nie interesują jej

winogrona, wino, szampan, a przede wszystkim Clementine, o której istnieniu, jak twierdziła, nie miała pojęcia, dopóki w dniu przyjazdu nie zobaczyła tej grubej, spoconej baby przed zrujnowanym domem.

Dorośli mógłby odebrać jej słowa jako utyskiwania rozżalonej nastolatki i zapomnieć o całej sprawie, jednak nadwrażliwą Clementine dotknęły one do żywego. W czasie chłodnych nocy wciąż czuła ciepło emanujące z ramion Ann. Dlaczego więc eksmacocha nie wspomniała o niej ani słowem? To normalne, zapewniła ją ze spokojem Mathilde. Jej matka bez przerwy kochała i porzucała coraz to nowe pasierbice. Coś takiego było w Ameryce na porządku dziennym.

Przez pierwsze tygodnie Clementine starała się nawiązać z siostrą jakąkolwiek nić porozumienia, Mathilde natomiast uparcie dbała o to, by nic takiego nie nastąpiło. Jediną rzeczą, która naprawdę ją interesowała, był seks. Tu też zaczynały się problemy, jako że seks był w Saint-Vincent-sur-Marne towarem deficytowym. Clementine wiedziała o tym najlepiej. Nigdy go nie doświadczyła. A pragnęła tego z całego serca. Namiętnie i potajemnie.

Chciała uprawiać seks z Benoit Geoffroyem, chłopakiem z sąsiedztwa.

Wywodzący się z sześciopokoleniowej rodziny winiarzy Benoit był jedynakiem, starszym od Clementine o dwa lata. Ten ciemnowłosy, dobrze zbudowany, poważny młodzieniec o pełnych uroku, ciemnych oczach uwielbiał winogrona i bąbelki szampana tak samo jak Clementine. Każdego dnia oboje pracowali w sąsiadujących ze sobą winnicach i na rozsianych po wzgórzach i dolinach parcelach. Powściągliwość i rezerwa nie pozwalały jednak na nic innego poza wymianą wstydliwych spojrzeń i uwagami typu: „przydałoby się więcej deszczu”, czy „znowu mamy przymrozek”. To jednak nie powstrzymało Clementine od marzeń o czymś więcej. Myślała o tym często, leżąc w skrzypiącym dębowym łóżku, przy otwartym oknie, kiedy jedynie chłodne powietrze i fantazje dzieliły ją od obiektu

pożądania.

Tuż przed przyjazdem siostry marzyła o swoim ukochanym znacznie częściej, czując, że oto nadchodzi chwila, gdy jej uczucie zostanie odwzajemnione. Ubiegłej niedzieli w kościele siedziała tylko pięć ławek dalej i zafascynowana obserwowwała go od tyłu; widziała, jak kołnierzyk jego koszuli układał się na marynarce, dostrzegła delikatny meszek poniżej linii włosów, zachwycała się jego szyją, a nawet koniuszkami uszu. Po mszy, kiedy wraz z resztą ludzi wyszła na zalane słońcem schody, poczuła emanujące gdzieś z za jej pleców ciepło, a gdy obróciła się w tę stronę, ujrzała mężczyznę swoich snów.

Policzki Benoit spłonęły rumieńcem i choć wytrzymał jej spojrzenie zaledwie przez sekundę, spytał – choć może raczej bąknął – czy Clementine wybiera się na doroczną procesję z okazji Dnia Świętego Wincentego.

Zwykłemu śmiertelnikowi pytanie to mogło się wydać nieistotne, należy jednak pamiętać, że Clementine nie należała do zwykłych śmiertelników. Jeszcze nigdy nie została nigdzie zaproszona, nie mówiąc już o tym, by zapraszającym był mężczyzna jej marzeń. Więc choć zdołała jedynie kiwnąć twierdząco głową, bo potem uciekła, wspomnienie jego zapachu, głosu i widocznej na wygolonym policzku maleńkiej kępki włosów rozgrzewało ją przez kolejne noce.

Tymczasem wyrafinowana Mathilde, przyzwyczajona do dręczenia rozpaczliwie zakochanych w niej młodzieńców, natychmiast wyczuła słabość przyrodniej siostry. I zdecydowała się wykorzystać swoją wiedzę pewnego słonecznego popołudnia, kiedy to z czystej nudy uruchomiła fatalny ciąg wydarzeń. Jak się okazało, echo ich następstw miało rozbrzmiewać przez długie lata.

– Sprawię, że za minutę będzie ssal palce u moich stóp – mruknęła Mathilde, widząc jak Clementine tęsknym wzrokiem spogląda na Benoit, ukrytego za kilkoma rzędami krzaków chardonnay. Leniwie patrzyła, jak siostra obrywa skarłowaciałe owoce, by te dorodniejsze mogły lepiej dojrzewać. Dla większości ludzi była to otępiająca praca, Clementine jednak uwielbiała

matkować swoim winogronom i zachęcać je, by troszczyły się o zdrowe, nabrziałe od soku, słodkie jagody i nie dbały o małych, twardych i zielonych spóźnialskich.

Mathilde, która miała jej pomagać, leżała na trawie pomiędzy krzakami, paląc papierosy i słuchając walkmana. Widząc, że coś wyraźnie rozprasza uwagę siostry, dźwignęła się z ziemi i podążając za jej tęsknym, gorącym spojrzeniem, dostrzegła Benoit, który na sąsiedniej działce obrywał niedojrzałe grona.

Clementine zignorowała niesmaczną uwagę siostry, lecz choć wciąż uwijała się pośród aksamitnych liści, poczuła w sercu niepokój.

Mathilde nie była pierwszym zawodem, jakiego doznała Clementine. Nie pierwszym i z pewnością nie ostatnim w życiu, ale różnica między wyobrażeniem o siostrze a rzeczywistością okazała się tak ogromna, że rozczarowanie Clementine osiągnęło zupełnie nowy wymiar. Mathilde nienawidziła jej bez żadnego wyraźnego powodu. Posługując się zabójczą kombinacją bystrego oka, ciętego języka i okrutnych czynów bez trudu potrafiła zmienić życie innych w prawdziwe piekło. W tym wypadku jej wybór padł na Clementine, która nie potrafiła się bronić, mimo że miała świadomość, co jej grozi.

– Nie stój tak! – warknęła tego dnia do młodszej siostry, nerwowo szarpiąc kiść niewydarzonych owoców.

– Ależ tu nie chodzi o stanie – odparła Mathilde, wciąż zerkając na Benoit. Przechyliła kokieteryjnie głowę i wydęła wargi, przesuwając po nich wilgotnym koniuszkiem różowego języka.

Clementine nie była ekspertem w dziedzinie uwodzenia, potrafiła jednak rozpoznać jawną zachętę.

– Nie będzie tobą zainteresowany – rzuciła, siląc się na swobodę i pewność siebie. – Jesteś za młoda.

Mathilde stanęła przed nią. Dłoń wsparła na biodrze, obnażyła szczupłe ramię, okrągłe piersi unosiły się i opadały pod cienkim materiałem, a na błyszczących ustach błąkał się prowokujący uśmiezek.

Clementine już wcześniej czuła się gorsza, ale teraz miała

ochotę zapaść się pod ziemię.

Wiedziała, że nigdy nie zostanie królową piękności, nie zwracała jednak na to uwagi aż do chwili, gdy Mathilde jej uświadomiła, jak zaniedbana i nieatrakcyjna mogła się wydawać. Mathilde nie wychodziła z domu bez idealnego makijażu. Clementine miała tylko jedną szminkę, której użyła zaledwie kilka razy w ciągu dziesięciu lat. Każdego ranka Mathilde suszyła włosy suszarką, podczas gdy Clementine myła swoje raz na tydzień i nawet wówczas nie była w stanie ich rozczesać. Mathilde perfekcyjnie dobierała swoje ubrania i wyglądała jak modelka; Clementine starała się dobierać swoje rzeczy, aby do siebie pasowały – mimo to zawsze wyglądała, jak gdyby ktoś inny robił to bez jej wiedzy.

Na chwilę zapominając o winogronach, zerknęła na workowatą, brązową spódnicę i za dużą, męską koszulę. Czy to dlatego Benoit przez te wszystkie lata jedynie mruczał coś pod nosem, gdy na nią spoglądał? Ta myśl obudziła w Clementine poczucie niedoskonałości. Czyżby okłamywała się myśląc, że pewnego dnia owe pomruki zmienią się w rozmowy, rozmowy wzbudzą uczucia, które zostaną uwieńczone małżeństwem, macierzyństwem i zupełnie nową odmianą szampana? Czy naprawdę chciał zaprosić ją na festyn w Dniu Świętego Wincentego czy też chciał jedynie wy badać sytuację? Była pewna, że istniało między nimi jakieś porozumienie, aż tu nagle... Czy aby na pewno to ona, Clementine, była obiektem zainteresowania Benoit?

Mathilde wypuściła ustami chmurę dymu i w milczeniu obserwowała, jak na twarzy siostry, niczym na mapie, pojawiają się kolejne bruzdy wątpliwości. Clementine nie zdobyła umiejętności maskowania swoich uczuć, Mathilde natomiast opanowała ową sztukę do perfekcji. Miała przecież trzech ojcymów, a każdy z nich przychodził i odchodził; widziała, jak porzucana raz za razem matka traci poczucie własnej wartości. Ona także za to płaciła. Miała niezliczoną ilość przyrodnych braci i sióstr (wcale nie przesadzała, choć musiała przyznać, że matka

okazywała tamtym zdecydowanie zbyt wiele uczucia). W jej życiu było więcej sypialni, niż mogła spać, prawie co roku zmieniała szkołę, a co kilka miesięcy odnawiała zestaw przyjaciół. Wiedziała, że nie ma sensu przywiązywać się do ludzi, ponieważ z chwilą, gdy człowiek zdobył wszystko, czego potrzebował do szczęścia, tracił to w ułamku sekundy, zanim pierwsza łza spłynęła po policzku, a filiżanka kawy przeleciała tuż koło ucha. Tak, zdecydowanie lepiej było nie otwierać się na świat, trzymać go na dystans i nie zdradzać się z tym, na czym nam zależy. Tak jest lepiej. Jej prawdziwy ojciec, Olivier, okazał się w tym prawdziwym ekspertem i to właśnie w nim lubiła. Natomiast Clementine, uznała Mathilde, patrząc na stojącą pośród krzewów winorośli siostrę, jej duże rozmarzone oczy i żalną postać – miała serce na dłoni, czyli właśnie tam, gdzie nie powinna go mieć. Jej zdaniem ta tępą wieśniaczka potrzebowała lekcji życia, która zahartuje ją do boju.

Mathilde wyrzuciła niedopałek i zgmiotła go pantofelkiem, wrzuciła walkmana do torebki i przesadnie kołysząc wąskimi biodrami, minęła Clementine. Chwilę później weszła między krzaki winorośli i zatrzymała się naprzeciw rzędu, gdzie Benoit przycinał gałęzie.

Tymczasem Clementine powróciła do obrywania skarłowaciałych owoców. Starła się zachować zimną krew i udawać, że niczego nie widzi, co wyglądało dość komicznie. Jak mogła nie zauważyć? Tyle razy marzyła o tym, by podejść do Benoit, nigdy jednak nie miała odwagi. Teraz, kiedy spoglądała na tę nad wiek rozwiniętą nastolatkę, wszystko wydawało się takie proste! Z pewnością jednak Benoit będzie miał wystarczająco oleju w głowie, by nie dać się zwieść tym kościstym ramionom i nadmiarowi cienia do powiek. Proszę, Boże, powtarzała w myślach Clementine, niech Benoit okaże się rozsądny.

Starła się skupić całą uwagę na winogronach, jednak nie mogła. Podniosła głowę, w chwili gdy Mathilde odrzuciła pukiel rudych włosów, a dźwięk jej kokieterijnego śmiechu wypełnił ciszę niczym szelest wyschniętych liści targanych zimnym,

północnym wiatrem. Mathilde tanecznym krokiem szła pomiędzy krzakami, a splecione na plecach dłonie przydawały jej niewinnego, dziewczęcego uroku. Widząc ją, Benoit zapomniał o pracy i ocierając spocone czoło, z głupkowskim uśmiechem wpatrywał się w dziewczynę.

– Au! – Nieuważna w swym cierpieniu Clementine ukłuła się sekatorem. Z jej palca spłynęła na drżący liść jasnoczerwona kropla krwi i leniwie opadła na ziemię. Gdzieś pośród gałęzi rozległ się radosny śmiech Mathilde. Zielone liście przemieniły się w kryształki, które rozprysnęły się u stóp Clementine. Wówczas wiatr przyniósł ze sobą kolejny odgłos, tym razem był to huczący dźwięk. Clementine oderwała wzrok od krwawiącego palca i spojrzała na Benoit. Jej ukochany odchylił głowę i wybuchnął radosnym śmiechem. Nigdy dotąd nie widziała go tak podekscytowanego.

Chmury, do tej pory sunące po niebie, zamarły w bezruchu; powietrze ochłodziło się, a śmiech mężczyzny, który nie odwzajemniał jej uczuć, stał się niczym więcej jak tylko szeptem. Słowa, uczucia, marzenia i pragnienia, które Clementine pielęgnowała przez tak długi czas, w jednej chwili wypłynęły z jej serca i znikły w głębokiej, czarnej otchłani. Nie mogła tego znieść. Skuliła się tuż przy ziemi, czując na policzkach rumieniec wstydu, a w oczach palące łzy upokorzenia. Dopiero teraz zauważyła dziurę w zakrwawionej spódnicy. Z rozdarcia wyzierała, blada, piegowata skóra pokryta szorstkimi złotawymi włoskami, lśniącymi w promieniach słońca. W tamtej chwili Clementine nie znosiła siebie prawie tak bardzo, jak nienawidziła Mathilde.

To było straszne.

Nikt nie wątpił, że Clementine wiodła ponure życie, aż do tej chwili jednak nie żywiła do nikogo nienawiści. To oczywiste, że użalała się nad sobą; nie miała przecież matki ani przyjaciół. Jej całym światem były mrukliwy ojciec i ciężka praca. Mimo to skrupulatnie tłumiała swoje uczucia. Czuła się nieszczęśliwa i samotna, ale tak długo, jak rzecz dotyczyła jej samej, była to

sprawa wyłącznie Clementine. W końcu miała przecież szampan – szampan, który od wieków płynął w żyłach Peine'ów. No i nadzieję. Pielęgnowała ją aż do tego popołudnia, gdy Mathilde Peine-Myer-Stephenson-Burroughs minęła ją z błyskiem w oku i sprawiła, że Benoit Geoffroy śmiał się na cały głos.

Siedziała skulona pośród winorośli aż do chwili, gdy nogi jej ścierpły, a dokoła zapanowała absolutna cisza. W jej głowie nie pozostało nawet wspomnienie owego dręczącego śmiechu. Kiedy podniosła się z ziemi, Mathilde i Benoit zniknęli i nic nie było już takie samo.

Sophie

Halka tygodni po tym, jak mecenas Paillard odstawił jedną toksyczną córkę Oliviera pod drzwi drugiej, obie nadal tkwiły w jego myślach, a ich głosy nieustannie dźwięczały mu w uszach. Każda z sióstr przystąpiła do indywidualnych działań mających na celu pogniębienie przeciwniczki. Na przemian odbywały z prawnikiem pełne emocji, niezwykle długie i nieprzyjemne konferencje telefoniczne, dzwoniąc do jego kancelarii w Epernay.

– Tak, tak, bardzo mi przykro, ale nie mogę nic zrobić. Proszę, Clementine, posłuchaj mnie. Proszę. – Nawet w tej chwili próbował uciec przed jednym z takich ataków, co było trudniejsze, niż mógł się tego spodziewać. – Tak, cóż – zdołał wtrącić pomiędzy gorącymi błaganiami i wiązką zjadliwych wymysłów – dziękuję, ty również. *Au revoir*. – Odłożył słuchawkę i poczuł się jeszcze bardziej podle.

Najgorsze było to, że tak naprawdę nie mógł odmówić Clementine prawa do złości. Naturalnie wcale mu się to nie podobało, bo kto byłby zadowolony, gdy nazywano go skarłowaciałym kołtunem o sumieniu rynsztokowego szczura? Jednak rozumiał jej rozzalenie. W głębi duszy naprawdę ją rozumiał. Osiem hektarów winorośli było całym jej życiem; prawdopodobnie знаła skład każdego centymetra kwadratowego tej ziemi, wiedziała, ile deszczu spadło tam w ciągu czterdziestu czterech lat jej życia i – znając ją – liczyła bąbelki w każdej butelce szampana. Dom Peine nie tylko był domem Clementine; był jej życiem i nawet jeśli perspektywa podzielenia się dziedzictwem z jedną siostrą nie była tak przerażająca, to istnienie trzeciej spadkobierczyni wywołało szok i niewątpliwie ją poraziło. Christophe rozumiał, że Clementine musiała dać wyraz swojej frustracji. Przypadek sprawił, że jego ucho było równie dobre, jak każde inne, choć nikt tak jak on nie przeklinał firmy telekomunikacyjnej za to, że na powrót podłączyła linię Peine'ów.

Inną kwestię stanowiła wściekłość Mathilde i trudno było określić jej źródło, podobnie jak trudno było określić charakter i

zamiary młodszej spadkobierczyni. Christophe czegoś w tym wszystkim nie rozumiał; przecież ta kobieta miała już dom, karierę i – z tego, co wiedział – ułożyła sobie życie w Nowym Jorku. Czemu w ogóle tak się przejęła wiadomością, że jej część spadku będzie mniejsza, niż oczekiwała? Połowa, jedna trzecia czy ćwierć, przecież to nieistotne, dla takich ludzi to jak premia. Gdyby wiedział, że Mathilde tak nerwowo zareaguje na wiadomość o Sophie, wbrew woli Oliviera poinformowałby ją odpowiednio wcześniej. Chciał jednak, aby Clementine i Mathilde dowiedziały się o tym jednocześnie. Przypuszczał nawet, że ucieszą się na wieść, że mają jeszcze jedną siostrę. Będąc jedynakiem, Christophe często sobie wyobrażał, jak cudownie byłoby się dowiedzieć, że gdzieś w świecie ma nieznaną tajemniczą siostrę. Oczywiście pod warunkiem, że nie byłaby taka jak tamte dwie. Już sama myśl o tym napawała go lękiem. A jeśli Sophie była ulepiona z tej samej gliny? Aż strach pomyśleć. Nawet czarownice z „Makbeta” nie dałyby rady tym trzem jędzom.

Wyjrzał przez okno swego maleńkiego, czystego gabinetu na jasne, wiosenne niebo i westchnął. Gdy zadzwonił telefon, próbował skupić się na akcie przeniesienia tytułu własności dla pewnej angielskiej pary z Montvoisin. Mimo potoku słów i epitetów, którymi uraczyła go Clementine, musiał przyznać, że i tak o niej myślał; zupełnie jak gdyby nie mógł zapomnieć o tej sprawie. Nie tylko z powodu telefonów; myślał o tym wszystkim, odkąd w pośpiechu opuścił dom Peine'ów; jak gdyby gonił go duch samego Oliviera.

Poniekąd Christophe czuł, że właśnie tak było. W tym tkwił cały problem. Tu nie chodziło wyłącznie o rozgoryczone siostry Peine. One znalazły się w tej sytuacji z winy swego zgorzkniałego ojca. Wszystkiemu był winien ów podły staruch, który zostawił Christophe'a na pastwę tych dwóch wstrętnych... mimo że był sam w pokoju, odchrząknął zażenowany. Tak, nie było żadnych wątpliwości, chodziło o poczucie winy. Christophe czuł się winny i nie potrafił zapomnieć o tej ponurej sprawie tak łatwo, jakby

tego chciał.

Wiedział, że jako prawnik nie miał obowiązku udzielać rad swojemu klientowi, zwłaszcza jeśli klientem był obrzydliwy stary zrzęda pokroju Oliviera. Dlaczego nie można zapytać takiego człowieka po prostu „Jak leci?”, nie narażając się na wymysły z powodu niesprzyjających warunków pogodowych, albo kłopotów tego czy innego kraju? Teraz Christophe żałował, że nie przyjrzał się baczniej testamentowi Oliviera i nie wyperswadował staremu uparciuchowi takiego pomysłu. A może powinien był zadać sobie więcej trudu i uprzedzić Clementine, co się święci; przygotować ją na wiadomość o istnieniu młodziutkiej Sophie. Nie należało to do jego obowiązków; nie była to także jego sprawa. Lecz jeśli własny ojciec nie zamierzał jej poinformować o tym, że zostanie odsunięta na boczny tor, to kto miał ją o tym zawiadomić?

Teraz, kiedy szanse na zgodę zostały już pogrzebane, Christophe miał ochotę zapytać swego trudnego klienta, co dobrego mogło wyniknąć ze sprowadzenia tych trzech obcych kobiet do popadającego w ruinę domu i doskonałej niegdyś winnicy, która dziś stała na skraju bankructwa. Wyrządzenie takiej krzywdy własnym córkom przeczyło wszelkim prawom natury. Jak gdyby tego było mało, ten stary piernik nie tylko sprowadził ową klęskę na swoje potomstwo, ale jeszcze ją wzmocnił, łącząc nieszczęsną trójcę na kolejne pokolenia. Doprawdy, to potworne!

Nieśmiałe stukanie do drzwi wyrwało Christophe'a z zadumy. Jego tak zwana sekretarka wzięła kolejny wolny tydzień, z powodu niekończącego się pasma problemów rodzinnych.

– Proszę! – zawołał zmęczonym głosem, szarpiąc kołnierzyk koszuli. Do pomieszczenia wsunął się niechlujny chłopak w tartanowych spodniach i ściskając w dłoni podniszczony plecak, stanął pod ścianą.

– Pan Paillard? – Dopiero wówczas dotarło do niego, że to nie chłopak, a dziewczyna, młoda kobieta. – Mam pańską wizytówkę – zaczęła nieśmiało, podnosząc kartonik. Była niebywale chuda, a jej krótkie, kruczoczarne włosy sterczały na głowie niczym strąki. Duże, fiołkowe oczy podkreślała gruba czarna kreska, a delikatna,

półprzezroczysta cera nadawała dziewczynie niewinny wygląd, kontrastując z bordową szminką i kolekcją kolczyków w jednym uchu. Ten punkowy kamuflaż wcale nie sprawiał jednak, że nieznajoma wyglądała wulgarnie, zauważył Christophe. Wręcz przeciwnie. Wydawała się delikatna niczym perła.

– W czym mogę pomóc? – spytał, zaintrygowany. – Chodzi o jakieś przestępstwo? – Miała na sobie podniszczoną, skórzaną kurtkę i buciory do jazdy motocyklem w najmniejszym z możliwych rozmiarów. Tak ubrani klienci rzadko trafiali do jego kancelarii, jeśli nie chodziło o jakieś przestępstwo.

– Nie – odparła nieśmiało. – Nie mam żadnych kłopotów. Nazywam się Sophie Laroche. Albo Peine. Prawnik w Paryżu opowiedział mi o... – Głos jej się załamał. – Chodzi o jedną z tutejszych wytwórni szampana. Powiedział, że powinnam się z panem zobaczyć.

Christophe stracił wszelki zapał. Dom Peine naprawdę go prześladował. Ten dziwny mały pisklak to Sophie? Przecież te żadne krwi gargulce z Saint-Vincent-sur-Marne schrupią ją natychmiast i wyplują kosteczki. Nawet jeśli starała się wyglądać na twardą sztukę, nie mogła się z nimi równać. Żadną miarą. Wystarczyło na nią spojrzeć.

– Naturalnie. Oczekiwałem pani – odparł uprzejmie, wstając i witając ją skinieniem głowy – już od jakiegoś czasu. Przyznam szczerze, że spodziewałem się telefonu, jednak miło mi panią poznać. Proszę, proszę wejść. – Dziewczyna przemknęła przez gabinet i przycupnęła na skórzanym krześle stojącym po drugiej stronie biurka.

– Cóż mogę pani powiedzieć? – spytał.

– Wszystko – odparła szczerze. – Chcę wiedzieć wszystko. Uśmiechnął się życzliwie.

– Dobrze. Zobaczmy zatem. Od czego mam zacząć? Rozmawiała pani z moim kolegą w Paryżu, tak więc wie pani, że odziedziczyła jedną czwartą Domu Peine, podobnie zresztą jak pani siostry.

Skinęła głową.

– Clementine i Mathilde. – Wypowiedziała te imiona wyraźnie, jak gdyby chciała się z nimi oswoić. Christophe nie spojrział na nią, nerwowo przerzucając dokumenty z Montvoisin.

– Tak, oczywiście. Czy wie pani, że Dom Peine to osiem hektarów ziemi obsadzonej winoroślą chardonnay, pinot noir, oraz pinot meunier; winiarnia, w której wyciska się owoce i produkuje wino, piwnice, gdzie przechowywane są zapasy szampana, a także budynek mieszkalny?

Znowu poważnie skinęła głową.

– A zatem wie pani wszystko, co trzeba – oznajmił Christophe z satysfakcją, w której próżno było dopatrywać się szczerości. – Niewiele jest do dodania. Chyba że jest coś szczególnego...

– Pan musiał go znać – przerwała mu nagle. – Mojego ojca. Oliviera. Chciałabym wiedzieć... cóż, może to trochę dziwne pytanie, ale... jaki on był?

To kompletnie go zaskoczyło. Przeklął w duchu swoje grubiańskie maniere i fakt, że nie przekazał wyrazów współczucia.

– Proszę przyjąć moje kondolencje. Bardzo pani współczuję – rzekł, szukając w pamięci czegoś miłego na temat Oliviera. – Pani ojciec był, hmm, niech no pomyślę... – W głowie miał pustkę, dopóki sobie nie przypomniał, że jego matka zawsze ciepło się wyrażała o zrzędlwym Olivierze.

– Miał piękne, gęste włosy – odparł, chwytając się pierwszej lepszej myśli.

Sophie czekała na coś więcej, później jednak nastąpiła już tylko niezręczna cisza. Christophe szarpnął kołnierz koszuli, czując że zaczyna się pocić. Upragniony wyjazd do Normandii wydał mu się nagle zbyt odległy i niemalże nierzeczywisty.

– Panie Paillard? – Nieśmiały głos dziewczyny sprowadził go z powrotem na ziemię.

– Tak, tak – odparł, prostując się w fotelu i siłąc na profesjonalny ton. – Proszę wybaczyć, Sophie. Właśnie myślałem o doskonałym szampanie, który wytwarzał pani ojciec. Był wyśmienity pod każdym względem. Pani ojciec potrafił doskonale

łączyć smaki. Niezależnie od tego, czy zbiory były dobre, czy też nie, potrafił sprawić, że wszystkie gatunki winogron komponowały się z sobą w idealnej harmonii. Wiele osób uważa, że w tej kwestii nie miał sobie równych. Weźmy jego rocznik osiemdziesiąty ósmy. Tylko raz miałem okazję go skosztować, na spotkaniu biznesowym w Les Crayeres. – Przypomniał sobie, że sprawa dotyczyła ugody rozwodowej w Reims, która poszła nadzwyczaj gładko. – Pamiętam ten smak aż do dziś – posmak, jaki pinot noir zostawiał na języku. Ach. Idealny do wołowiny.

Sophie pochyliła się na krzesło, chłonąc każde jego słowo, a Christophe zapragnął mówić rzeczy, które zatrzymałyby w jej oczach ów nieziemski blask. Pamiętał jednak palący żal, który czuł po tym, gdy zbyt długo zwlekał z przekazaniem informacji jej siostrze. Tym razem postanowił nie popełniać tego samego błędu.

– Proszę posłuchać – zaczął dziarsko – naturalnie byłem już w Saint-Vincent-sur-Marne, aby porozmawiać z Clementine i Mathilde na temat testamentu waszego ojca. – Czy ona w ogóle ma pojęcie o tym, co ją czeka? – zastanawiał się w duchu. – Sophie, muszę być z panią szczery. Obie siostry nie najlepiej przyjęły wiadomość o pani istnieniu. Widzi pani, Clementine całe życie pracowała z waszym ojcem i ciężko pogodzić się jej z faktem, że będzie zmuszona dzielić się z kimkolwiek Domem Peine. Co do Mathilde, cóż, być może nie jest tak emocjonalnie związana z całą sprawą, ale, hmm, jakby to powiedzieć... niemniej jednak jest silnie związana. – Widział, że się zaplątał; dziewczyna była wyraźnie oszołomiona. Przerwał więc i wziął głęboki oddech. – One nie miały pojęcia o pani istnieniu, więc wiadomość, że jest jeszcze ktoś, z kim będą musiały podzielić się spadkiem, była dla nich prawdziwym szokiem. Właściwie, jeśli mam być szczery, powinna się pani przygotować na wrogie powitanie. Nie chcę być niegrzeczny, jednak prawda jest taka, że wasz ojciec, pomimo naprawdę pięknych włosów i mistrzowskich umiejętności, gdy chodzi o wino, był pod koniec swego życia, a właściwie to już w wieku średnim albo nawet na samym początku, choć wówczas nie znałem go osobiście, dość trudnym człowiekiem, i śmiem

przypuszczać, że tę cechę charakteru odziedziczyły również jego córki. To znaczy dwie starsze. Twoje siostry.

Sophie wzdrygnęła się, a Christophe po raz kolejny zgromił się za brak taktu.

– Cóż, może są nie tyle trudne, ile skomplikowane – dodał pospiesznie. Było to poniekąd uniwersalne słowo, jeśli człowiek chciał opisać rodzinę Peine'ów. – Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem sprawić pani przykrości.

– Ależ nie o to chodzi – zapewniła go Sophie. – Po prostu również o nich nie wiedziałam. Nigdy wcześniej nie miałam siostr. Już samo to słowo wydaje się... – Szukała w pamięci odpowiedniego określenia. – Zabawne. Jak gdyby niezwiązane ze mną. – Najwyraźniej sama nie zrozumiała tej przedziwnej gry słów. – Z tego, co mi wiadomo, wszystkie siostry są wrogie, trudne i skomplikowane. Podobnie jak wszyscy ojcowie. – Mówiąc to, westchnęła. – To dziwne, kiedy człowiek pomyśli, że ojciec, którego nigdy się nie widziało, leży w trumnie przysypanej ziemią.

Nie wiesz nawet, jakie masz szczęście, pomyślał Christophe. Nie minie dzień, a już zaczniesz żałować, że nie zabrał ze sobą twoich siostr.

– Pewnie się pani tam wybiera – dodał na głos radośnie. – Do Saint-Vincent. Ma pani samochód?

Sophie się roześmiała.

– Nie, ale mam kciuk. – Uniosła go w geście wytrawnej autostopowiczki, co kompletnie zszokowało Christophe'a. Jakaż krzywda mogła się stać tej kruszynie, zanim dotarłaby do swoich siostr!

– Nie chcę o tym słyszeć – odparł. – Proszę zaczekać do czwartej, a dostarczę tam panią osobiście.

Oczekiwał telefonu od męża z Montvoisin; w przeciwnym razie zawiózłby ją od razu.

– Taka młoda dziewczyna sama na drodze nawet tu, w Szampanii, nie jest bezpieczna.

Sophie uśmiechnęła się i wstała.

– Dziękuję, ale chyba już pójdę – odparła. – Nie musi się pan o mnie martwić, mecenasie Paillard. Nie jestem małą dziewczynką; potrafię o siebie zadbać. Radzę sobie już od dłuższego czasu i jestem w tym całkiem dobra. – Nic w głosie Sophie nie wskazywało, że powinien jej współczuć. Właściwie jej ton był nadzwyczaj optymistyczny. Christophe pamiętał jednak deskę do krojenia chleba, która z oszalamiającą szybkością zbliżała się do głowy Mathilde i zastanawiał się, jak długo Sophie pozostanie w tak radosnym nastroju.

– Skoro nalegasz – odparł – ale obiecaj mi, że będziesz uważać. Jeśli coś jeszcze będę mógł dla ciebie zrobić, cóż, masz moją wizytówkę. Zadzwonisz?

Pokiwała głową.

– Jest jedna rzecz – dodała z zakłopotaniem. – Nie mam mapy, a nie ma sensu, żebym ją sobie kupowała, skoro mam tylko znaleźć drogę do Saint-Vincent-sur-Marne .

– Jest tu mnóstwo drogowskazów – odparł Christophe. – Kieruj się na Oeuilly, a kiedy miniesz miasteczko, zobaczysz stojącą na wzgórzu figurę świętego Wincentego. Skręć w lewo. Dom Peine’ów jest przy głównej drodze, tuż przed wsią. Ma trochę podniszczoną, ale wciąż okazałą niebieską bramę.

– Czyli mam iść na zachód? – spytała.

– Tak, tak, drogą N – trzy.

– I skręcić w lewo obok figury?

– Tak, jak mówiłem, ale proszę, Sophie, uważaj na siebie. Miło było cię poznać. Powodzenia i dbaj o siebie. No cóż, życzę ci dużo powodzenia.

Kwitnienie

Tego samego dnia, po południu, malarz pokojowy z Saint Thierry podrzucił Sophie pod samą masywną bramę domu Peine'ów. Zachwycona dziewczyna nie zauważyła rdzy ani też zniszczonego ogrodzenia, a tylko pięknie zdobioną metalową kratę oraz równe rzędy winorośli, porastającej łagodne zbocze, na którym zbudowano dom.

Z dudniącym sercem prześlizgnęła się przez bramę (wcale nie odpychającą, a w jej mniemaniu wręcz zachęcającą do wejścia) i ruszyła podjazdem do góry. Chwilę później stanęła przed odrapanymi drzwiami, wstrzymała oddech i zebrała myśli.

W końcu zapukała niepewnie w drewno. Kiedy stało się jasne, że nikt nie otworzy, pozwoliła sobie na serię odważniejszych stuknięć, które sprawiły, że w końcu usłyszała zbliżający się stukot szpilek.

– Czego chcesz? – spytała Mathilde, otworzywszy szarpnięciem oporne drzwi. Zmierzyła Sophie od stóp do głów i najwyraźniej uznała ją za nierozgarniętą smarkulę. – Mamy tu wystarczająco wiele problemów, nie potrzeba nam wiejskich żebraków. No już, wynoś się. – Drzwi zatrzęsnęły się tuż przed nosem Sophie.

Nie były to jednak pierwsze, które zamykano na jej widok, a Sophie miała więcej powodów niż ktokolwiek inny, by właśnie te stanęły przed nią otworem. Zapukała raz jeszcze. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

– Już ci mówiłam – rzuciła wściekle Mathilde, kiedy wyjrzała znowu. – Odejdź albo zawołam żandarmów. – Chciała zatrzęsnąć drzwi, Sophie jednak przytrzymała je drobną stopą w ciężkim bucie.

– Ale to ja, Sophie – wyjaśniła. – Trzecia siostra.

Gdyby oczekiwała ciepłego powitania, radosnego uścisku czy natychmiastowego przyjęcia na łono rodziny, miałyby pecha, jak ujęłaby to Clementine. Na całe szczęście stanęła na progu Peine'ów bogata nie tylko w ostrzeżenia Christophe'a, lecz także

w swoje życiowe doświadczenie, które ją nauczyło, że zazwyczaj nic nie jest takie, jak byśmy tego chcieli.

Naturalnie była zdenerwowana. Kto by nie był? Wdzieranie się do zupełnie obcego świata, który zgodnie z prawem należał do kogoś innego, mogło przerazić nawet najbardziej nieugiętą osobę; Sophie nie była tu wyjątkiem. Jednak podeszła do tego wyzwania jak do wszystkich innych: z mistrzowską czujnością.

Mathilde – zauważyła to od razu – była jedną z owych rozpieszczonych, bogatych kobiet, które dostały od życia wszystko oprócz szczęścia. W Paryżu spotykała wiele takich istot. Wszystkie miały ten sam wyraz twarzy, który Sophie nazywała chirurgiczną satysfakcją, jednak pełne napięcia spojrzenie mówiło, że nie wszystko w ich życiu jest takie, jak być powinno, i prawdopodobnie nigdy się takie nie stanie. Mathilde była piękna, niezwykle szczupła i wydawała mnóstwo pieniędzy na fryzjera; marzyła, aby ją kochano, jednak nie czuła potrzeby odwzajemniania uczuć. Z pewnością miała bogatego męża, który choć uwielbiał swą piękną żonę, prawdziwego uczucia szukał w ramionach innej kobiety.

Znacznie trudniej było sklasyfikować Clementine. Gdy Mathilde ruszyła przez imponujący hol i zaprowadziła ją do kuchni, Sophie stanęła twarzą w twarz ze starszą siostrą, która siedziała przy stole, pałaszując napoleonkę. Przycupnięty u jej stóp dziwny pies wbijał wyczekujący wzrok w płatki cienkiego ciasta.

– Sophie – rzuciła Mathilde tytułem prezentacji, unosząc przy tym idealnie wyskubane brwi. – Kolejna siostra. Wiesz, ta, której nie mogliśmy już się doczekać.

Clementine spojrzała na nowo przybyłą ciemnymi, nieufnymi oczami i wepchnęła do ust kolejny kawałek ciastka. Pies, który wygramolił się spod stołu, okazał się miniaturowym konikiem. Zachwycona Sophie wybuchnęła radosnym śmiechem, gdy zwierzak podbiegł do niej i potarł płaską głową o jej nogę.

– Świnek! – warknęła Clementine, jednak kucyk wciąż ocierał się o nogę Sophie. – Świnek!

Nazwany świńskim imieniem konik wielkości psa? Sophie nie mogła ukryć wesołości, jednak w tym domu dobry humor najwyraźniej nie był zaraźliwy. Clementine nie wyglądała na rozbawioną; była przerażona. Ale co ją tak przerażało? Sprawiała wrażenie nieszczęśliwej, ale jej nieszczęście tkwiło gdzieś głęboko. Nie obnosiła się z nim tak, jak Mathilde, która prezentowała swoją frustrację niczym obronną tarczę nabitą kolcami. Ale to, co Clementine miała na sobie, wyglądało fatalnie. Te koszmarne ciuchy postarzały ją i pogrubiały; warstwy zmechaconych tkanin w krzykliwe wzory zdecydowanie ją szpeciły. Niesforne niechlujne loki i brak makijażu sprawiały, że jej ładna twarz przypominała bezbarwne płótno, na którym widać było jedynie wyraz niezadowolenia. Clementine nie nawykła do miłości. Nie miała męża i nie miała pojęcia o uczuciach. Sophie dostrzegła to niemal natychmiast. Cóż za nieszczęście!

Naturalnie miała pełne prawo czuć się nieszczęśliwa, podobnie jak Mathilde. Bądź co bądź właśnie straciły ojca. Sophie również była tym przygnębiona, a przecież nawet go nie знаła.

– Wiem, że to dla was okropny czas – zaczęła, odpychając łagodnie Świnka i ostrożnie usiadła na rozchwianym krześle z drugiej strony stołu.

– Nie, żartujesz – odparła Mathilde, pociągając łyk anyżówki. – Jak to możliwe, że jesteś taka mała? Kim była twoja matka, cyrkowym dziwolągiem?

Clementine parsknęła odruchowo i wepchnęła do ust kolejny kawałek ciastka. Nawet przez chwilę nie przyszło jej do głowy, by poczęstować tamte dwie.

– Była barmanką – odparła uprzejmie Sophie. – Średniego wzrostu.

Clementine zbyła jej uwagę kolejnym parsknięciem, nie przerywając jedzenia. Zapadła niezręczna cisza, a w tym czasie Świnek wrócił pod stół.

– Rozumiem, że to dość niezwykła dla was sytuacja – odezwała się Sophie. – Nawet nie wiedziałyście o moim istnieniu, nie mówiąc już o... nieważne, ja też nic nie wiedziałam. Kompletnie

nic. Czy mogłybyście mi to wyjaśnić? – Jej słowa trafiały w próżnię, jak gdyby mówiła w pustą studnię, nie miała jednak nic do stracenia, dlatego postanowiła nie przestawać. – Zapomniałam spytać prawnika w Paryżu. Wszystko stało się tak nagle, a dziś z panem Paillard... Nawet nie wiem, jak zmarł Olivier, nasz ojciec. Co mu się stało?

Clementine przestała jeść i wbiła wzrok w plamę na przeciwległej ścianie. Mathilde niczym pies gończy wyczuła jej smutek i niemal natychmiast przeszła do ataku.

– Próbował w miejscowym sklepie z filmami wideo osiąść wyciętą z tektury, naturalnej wielkości postać Juliette Binoche – wyjaśniła Sophie. – Pech chciał, że oboje stali po przeciwnych stronach szyby – to dość istotny czynnik, którego twój ojciec nie wziął pod uwagę, kiedy rzucał się na biedną Juliette.

Sophie była przerażona upiorną rozkoszą, z jaką Mathilde opowiadała tę żenującą historię.

– Mój ojciec? – spytała bojaźliwie. – Ależ to oczywiste, że mówisz o naszym ojcu. Ale... Juliette Binoche? Ta aktorka? Nie rozumiem.

– Jak zawsze myślisz tylko o seksie! – Clementine zerwała się na równe nogi; na podniszczonej, kraciastej koszuli osiadły cieniutkie płatki ciasta. – Tobie – wrzasnęła do Mathilde – zawsze chodzi wyłącznie o seks!

– Nie, Clementine, tu nie chodzi o seks – odparła niewzruszona Mathilde. – Problem w tym, że tobie nigdy nie chodzi o seks. Zawsze tak było i prawdopodobnie tak już zostanie.

– Dziwka!

– Dziewica!

– Zdzira!

– Cnotka!

– Nienawidzę cię! – wrzasnęła Clementine, jak gdyby nagle postradała zmysły. – Nienawidzę! Jak on mógł mi to zrobić? Podły staruch! Możesz go sobie wziąć. Obie możecie go sobie wziąć!

Po tych słowach wybiegła z kuchni na podwórze i wpadła

pomiędzy rzędy chardonnay, które rosły wokół domu. Łzy spływały po jej policzkach, kapiąc na wystający znad paska spódnicy blady wałek tłuszczu; kolejny przykład na *to*, jak podłe było jej życie. Co więcej, zdradziecki Świnek został w domu z nową siostrą, mimo że do tej pory zatrzymywała go w kuchni tylko i wyłącznie napoleonka. Żeby jeszcze zostać zdradzoną przez jedyne stworzenie, które kiedykolwiek okazywało jej sympatię? To już było zbyt okrutne. Clementine zanosła się płaczem i nabrała w płuca potężny haust powietrza, szykując się do kolejnego ataku płaczu.

I wtedy nagle to do niej dotarło.

Stała w miejscu i jeszcze raz wciągnęła nosem powietrze. Tak, tak, tak! Po tysiąc kroć tak! Nie było co do tego wątpliwości: powietrze pośród winorośli miało łagodną, zielonkawą barwę i wyczuwało się w nim jakąś słodycz. Clementine stłumiła szloch, otarła policzki i ruszyła w stronę najbliższego krzewu, Valentyny numer czternaście. Patrząc z bliska, nie miała wątpliwości. Łzy wyschły, wałek na brzuchu napiął się, a jeszcze przed chwilą ciężkie od smutku serce załopotowało niczym motyl. W winnicy zaczęło się kwitnienie! Jak co roku rozpoczynała się droga od pierwszych, nieśmiałych pędów do dojrzałych i ciężkich od soku owoców!

Był to magiczny moment dla każdego winiarza, ponieważ kwitnienie decydowało o zbiorach. Jeśli okaże się marne, wówczas *bonjour*, staruchu Joliet; jeśli matka natura sypnie kwieciami, Dom Peine ma perspektywy na przyszłość!

Naturalnie Clementine czekała na ten moment. Im szybciej miał nadejść, tym lepiej; jednak w ostatnim czasie była tak zavalona pracą, że umknęło jej najważniejsze. Kwitnienie winorośli to żaden ewenement, właściwie mogło przejść niemal niezauważone. Jedynym naprawdę zmysłowym aspektem kwitnienia był zapach: słodka, mocna woń, którą Clementine poczuła wcześniej niż ktokolwiek inny. Wciągnęła w nozdrza ten niezwykle aromat i zapominając o ataku hysterii, wsunęła się między pnącza, oglądała jedną gałązkę po drugiej, gratulując im

miniaturowych pąków i delectując się nadzieją, którą wyczuwała w powietrzu.

Siła woli

Sophie utknęła w kuchni w towarzystwie humorzastej Mathilde i nie miała pojęcia o całkowitej zmianie, jaka dokonała się na zewnątrz. Histeria Clementine wstrząsnęła nią, a dziewczyna widziała w swoim życiu już niejednego taki atak. Teraz wstała, nie wiedząc, co właściwie powinna zrobić.

– Myślisz, że powinnam za nią pójść? – spytała elegancką Mathilde.

– Wyglądała na naprawdę zdenerwowaną.

– Bo jest zdenerwowana, ty idiotko – warknęła starsza siostra.

– Tyle że nie chodzi o ojca ani o jego tragiczną śmierć. Po prostu nasza siostrzyczka myślała, że to do niej będzie należała ta ruina, a teraz musi się tym wszystkim podzielić nie tylko ze mną, ale też z tobą, kimkolwiek jesteś.

Sophie z powrotem usiadła na krześle. Czuła się zagubiona i zrobiło jej się żal tych dwóch beznadziejnych istot, które nagle pojawiły się w jej życiu. Pocieszające było to, że nie doszło do rękoczynów. W przeszłości nieraz zdarzyło jej się znaleźć w samym środku bitewnej zawieruchy – na dowód tego miała na udzie głęboką, dziesięciocentymetrową bliznę. Równie dobrze mogła brnąć dalej.

– Pokaleczył się? – spytała, wracając do tematu nieznanego ojca.

– Po tym, jak uderzył w okno wystawowe? Tak właśnie było?

– Nie, nie pokaleczył się – odparła znudzonym tonem Mathilde.

– Upadł, a był zbyt pijany, by dźwignąć się na nogi. Bez względu na to, jak głośno wołał, Juliette Binoche nie przysłała mu z pomocą. Boginie ekranu potrafią być niebywale samolubne, zwłaszcza te wycięte z tektury. Zamiast Juliette przyszedł mróz i zabrał go ze sobą. Tak, Oliviera Peine’a zabił mróz. – Jej śmiech kompletnie zaskoczył Sophie.

– Uważasz, że to zabawne?

– Uważam, że to komiczne! Mróz jest wrogiem szampana – wyjaśniła Mathilde. – Nawet ja to wiem. Nie miałam tylko

pojęcia, że bywa też wrogiem mieszkańców Szampanii!

Sophie nie wiedziała, co powiedzieć. W jej mniemaniu Mathilde była okropna, z pewnością dużo gorsza od rozhisteryzowanej Clementine. Ale czy nie powinno się jednakowo lubić własnych sióstr? Czy faworyzowanie jednej z nich nie jest złe? A może takie relacje obowiązują wyłącznie matki i dzieci? Poczula się kompletnie zagubiona w kwestii relacji rodzinnych.

– Masz dziwny akcent – zwróciła się do Mathilde, próbując zmienić temat. – Skąd jesteś?

– Pilnuj swojego nosa. Teraz pochodzę stąd.

– Przepraszam. Nie chciałam...

– Zdaje się, że ty chyba też jesteś już stąd. Zatem nie ma żadnych niespodzianek. Błędem byłoby przypuszczać, że córka winiarza pijaczyny i ździrowatej barmanki może do czegoś dojść. Z pewnością nie wyglądasz na kogoś, kto ma się gdzie podziać.

Sophie zarumieniała się ze wstydu. Mathilde miała rację. Do niczego nie doszła i nie miała dokąd pójść.

– Cóż, przepraszam... – zaczęła.

– Nie przepraszaj – przerwała jej Mathilde, która wychyliła resztkę anyżówki i zbierała się do wyjścia. Świnek dźwignął się na nogi i spoglądał nieufnie na jej szpilki. Być może w przeszłości miał już okazję poczuć na swoim miękkim zadzie, jakie są ostre, pomyślała Sophie.

– Nie chciałam...

– Mówiłam ci już, żebyś nie zdierała sobie gardła – warknęła Mathilde. – Naprawdę, gównu mnie to obchodzi. Możesz robić, co chcesz, być, kimkolwiek jesteś, i pochodzić, skąd sobie chcesz. W ogóle mnie nie interesujesz. Jesteś mi obojętna. – Po tych słowach odwróciła się na pięcie, chwyciła butelkę ze stołu i wyszła z kuchni.

Sophie w swoim życiu była już wielokrotnie poniżana; czuła się nikim i rozpaczliwie pragnęła, by ktoś ją docenił. Jednak to, w jaki sposób Mathilde ją potraktowała, jak ją zlekceważyła, cóż, to naprawdę zabolęło. Nie miała wobec swoich sióstr żadnych

konkretnych oczekiwań, często jednak marzyła, by ktoś okazał jej trochę życzliwości, nawet jeśli to miałyby być niechlujny lump i prymityw. Tak więc zdarzyło jej się doświadczyć okrucieństwa ze strony ludzi z marginesu czy też zaćpanych narkomanów. A teraz Mathilde, to uosobienie piękna i elegancji, tak ją zraniła. Czyżby odgadła, że największym zmartwieniem Sophie było to, że tak naprawdę nikomu na niej nie zależy? Czyżby tamta wiedziała, że Sophie, leżąc nocą w łóżku, rozpaczliwie starała się przypomnieć sobie kogoś, komu jej los nie byłby obojętny?

Pochyliła się, oparła głowę o stół i przyłożyła policzek do zimnego drewna. Złożyła dłonie na kolanach i wybuchnęła płaczem.

Jaką była idiotką, że przyjechała tu zupełnie sama. Przecież nie ma pojęcia, co zrobić, jak się zachować w tej sytuacji. Powinna zabrać ze sobą przyjaciółkę Franceskę czy też Xaviera, byłego chłopaka, albo nawet Rico, jeszcze wcześniejszego chłopaka. Wszyscy oni mieli rodziny, nawet jeśli postanowili je porzucić. Sophie natomiast nie była w stanie wytrzymać z matką, nieszczęśliwą kobietą o gołębiim sercu, która co rusz pakowała się w nowe tarapaty – z szefem, facetem czy też właścicielem obskurnego mieszkania – aż w końcu zniknęła na dobre, gdy córka skończyła dwanaście lat.

Od tego czasu Sophie nie miała pojęcia, co znaczy słowo „rodzina”. Dziewczynkę oddawano pod opiekę kolejnych rodziców zastępczych, za każdym razem jednak historia się powtarzała. Najpierw pojawiały się problemy w szkole, następnie na podwórku, a w końcu także w domu. W wieku piętnastu lat Sophie odkryła, że bez trudu może się wtopić w wąskie uliczki Paryża i rozpocząć życie na własną rękę. Ludzie, których wówczas poznała, byli do niej podobni. Ona sama miała już mniej oczekiwań, a co za tym idzie, doznawała mniejszych rozczarowań. Żyła z dnia na dzień. Głód – poszukiwania – jedzenie. Chłód – poszukiwania – ciepło. Nie było w tym żadnej filozofii. Nawet jeśli się zdarzało, że była głodna czy marzła, nigdy nie została sama.

Przez jakiś czas miała pracę na pół etatu w stoisku Guerlaina w domu towarowym Le Bon Marche. Wszystko dzięki Francesce.

To dzięki niej przez kilka godzin w tygodniu uzupełniała zapasy na półkach. Później, pewnego dnia, kiedy Francesca wyszła na lunch, Sophie musiała zrobić makijaż wyjątkowo wybrednej klientce, którą oczarowały jej umiejętności. Kierowniczka stoiska, siwiejąca wiedźma po pięćdziesiątce, która zwykle kazała Sophie chować się na zapleczu, by jej ponury, niechlujny wygląd nie odstraszał kupujących, zmieniła ton, gdy inne wymagające klientki zaczęły o nią wypytywać. Wówczas Sophie przestała kryć się w piwnicach i zaczęła pracować na pełny etat w salonie.

Pokochała to zajęcie całym sercem; uwielbiała budzić się o poranku ze świadomością, że ma dokąd pójść. Kochała Le Bon Marche i maleńkie ciasteczka w kafejce dla klientów, które przyprawiały ją o dreszczyk emocji. No i oczywiście stoisko Guerlaina: wszystkie te kolory, brązy, odcienie żółci, szkarłaty i purpury, mieniające się cienie do powiek i lśniące błyszczuki do ust. Setki różnych podkładów do twarzy! Czternaście odcieni czerni! Otoczona tym żywym kalejdoskopem barw, Sophie poczuła się w swoim żywiole. Właściwie dopiero wówczas odkryła, czym tak naprawdę był ów żywioł.

Wystarczyło kilka pensji, by przeprowadziła się do lepszego mieszkania. Wprawdzie było maleńkie i znajdowało się w pozbawionej windy pięciopiętrowej zatłoczonej kamienicy w Montparnasse, Sophie jednak zaczęła myśleć o normalnym życiu; takim samym, jakie prowadziły klientki, którym robiła idealny, wyszukany makijaż. Samo to, że ośmieliła się mieć jakiegokolwiek marzenia, było nie lada sukcesem w życiu Sophie, która do tej pory wierzyła, że los jej został już ustalony raz na zawsze i nie ma w nim miejsca na wygodne łóżko, regularne posiłki czy przynależność do jakiegokolwiek grupy.

Właśnie to ostatnie najbardziej ją cieszyło. Należała do społeczności pracujących. Wcześniej, kiedy szła korytarzami metra w swoich starych łachach i znoszonych buciorach,

przechodnie jej unikali. Dało się to wyczuć po tym, jak ją szybko mijali, jak na jej widok szczerze otulali się płaszczami. Zapewne myśleli o niej: brudna żebraczka, bezdomna sierota, złodziejka. Jednak kiedy przemierzała te same korytarze, mając na sobie czarny żakiet z wygrawerowanym na identyfikatorze nazwiskiem, ci sami ludzie patrzyli na nią z uśmiechem i myśleli: „Oto dziewczyna ze stoiska Guerlaina w Le Bon Marche”. Dla Sophie było to coś niewyobrażalnego. Po prostu cud. Czasami myślała, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. I nie myliła się.

Pewnego popołudnia siwiejąca wiedźma po pięćdziesiątce odkryła, że w kasie brakuje pieniędzy, a Sophie z jej policyjną kartoteką i statusem bezdomnej była idealną kandydatką na ofiarę. Wiedźma nie ceniła jej talentu na tyle, by chcieć uwierzyć w zapewnienia o niewinności. Praca przeszła do historii. Podobnie jak mieszkanie i marzenia o normalnym życiu.

Od tamtej pory spędziła na ulicach Paryża prawie rok i nieraz czuła na twarzy podmuch zimnego powietrza, gdy kolejne drzwi zatraskiwały się tuż przed jej nosem. Po raz pierwszy w życiu straciła nadzieję i zamierzała już się poddać, gdy nagle w jej życiu pojawił się elegancko ubrany prawnik, który obwieścił, że oto odziedziczyła część domu oraz dwie siostry.

Oczywiście potraktowała to jako żart. Jednak facet był uparty i miał przy sobie mnóstwo oficjalnych dokumentów. Kiedy siedzieli u Angeliny przy Rue de Rivoli, kupił jej trzy kubki gorącej czekolady, jeden po drugim, i wciąż powtarzał: „To prawda. Zaufaj mi, to prawda”.

Tak więc Sophie udała się do Epernay, do biura Christophe’a Paillarda, a teraz siedziała w domu – tak, w domu – który częściowo do niej należał, a mimo to czuła się bardziej zdezorientowana, samotna i przerażona niż kiedykolwiek wcześniej.

Na wiekowy, dębowy stół spadła ogromna łąza, która zniknęła pomiędzy dwiema sfatygowanymi deskami. Sophie poczuła się mała, ulotna niczym ta słona kropla i nic nieznacząca jak drobina kurzu. Była niemal pewna, że mogłaby też zniknąć w szparze, jak

chwilę wcześniej tamta łza.

Jednak najwspanialszą rzeczą w życiu pełnym porażek i upadków była świadomość, że problemy – podobnie jak wszystko inne – dobiegną kiedyś końca. Nie ma sensu się nimi przejmować. Życie ją nauczyło, że nie warto żywić w stosunku do niego żadnych większych oczekiwań, jednak Sophie wiedziała też, że w momencie gdy wszystko wydawało się beznadziejne, sprawy nieoczekiwanie przybierały pomyślny obrót.

„Gówno prawda – oświadczyła kiedyś Francesca. – Człowiek po prostu przyzwyczaja się do całego tego syfu i tylko mu się wydaje, że jest lepiej”. Co dla Sophie znaczyło jedno i to samo.

Przez niecałe dwie minuty płakała, oparta o kuchenny stół, gdy nagle poczuła przy udzie ciepły bok Świnka, który przycupnął tuż przy krześle. Natychmiast zrobiło jej się lepiej, jak gdyby po jej ciele rozlała się fala optymizmu.

Chwilę później przestała płakać. Wytarła oczy i dokończyła porzuconą przez Clementine napoleonkę. Ciastko było przepyszne.

Lato

4

Poruszanie

To był wspaniały dzień w Dolinie Marny; dzień, w którym lato postanowiło stać się godne swojej nazwy. Jednak Clementine daleka była od celebrowania jego przyjścia i ukryta w podziemnej piwniczce, stała przy półkach, drżącymi dłońmi obracając butelki.

Mieszkała w domu Peine'ów od czterdziestu czterech lat i w tym czasie prawie nic się tu nie zmieniało. Teraz jednak nie poznawała tego miejsca. Mogła to być zrujnowana rudera, pełna przeciągów i kłaczków kurzu, ale właśnie taką ją lubiła.

Tymczasem pojawiły się tu dwie młodsze siostry, a ich obecność była niczym arszenik aplikowany powoli w niewielkich dawkach, z których żadna nie była zabójcza, ale sprawiły, że po kilku tygodniach Clementine zaczęła się dusić. Po kilku tygodniach? Chwyła się półki, żeby nie upaść. Nie mogła wręcz uwierzyć w to, co się działo.

Mathilde przyjechała z tak małą walizeczką, że Clementine była pewna, iż owa wizyta, jakkolwiek nieprzyjemna, z pewnością będzie krótka. Mimo to średnia siostra wciąż tu była, dyskretnie sprzątała i porządkowała dom, układała naczynia stołowe według koloru, zmiatała ze schodów kolejne warstwy kurzu i wystawiała puste butelki za kuchenne drzwi, zamiast wyrzucać je przez okno, tak jak robił to Olivier.

Aby unikać spotkań z siostrą, Clementine podświadomie zmieniła swoje przyzwyczajenia. Unikała łazienki, wiedząc, że Mathilde będzie z niej korzystała, zostawała w sypialni, kiedy niechciana pomocnica krzątała się po kuchni, i wracała do domu dopiero wtedy, gdy widziała na piętrze zapalone światła.

Przy tych nielicznych okazjach, gdy ich drogi się krzyżowały, Clementine czuła tak wielką, tłumioną wściekłość, że omal się nie zadławiła. Pewnego wieczoru Mathilde minęła ją, pełna wdzięku, w brzoskwiniowym peniuarze, jak zwykle nienaganna, czysta i pachnąca, a Clementine mogła jedynie rozdziawić usta i drząc z zazdrości, gapić się na siostrę. Nagle uświadomiła sobie, że ma brud za paznokciami, i pajęczyny we włosach i zawstydziała się

grubych, niewyskubanych brwi. Mimo to nie odezwała się ani słowem. Chciała tylko wiedzieć, kiedy Mathilde wróci do swojego życia w Ameryce, a im więcej czasu upływało, tym bardziej obawiała się zarówno odpowiedzi, jak i samego pytania.

Wtedy pojawiła się Sophie.

Dłonie Clementine znieruchomiały na dwóch butelkach, ona sama zaś starała się odzyskać oddech.

Najmłodsza Peine'ówna mieszkała z nimi od kilku tygodni; przemykała po domu niczym spłoszona ćma, podnosiła rozmaite przedmioty i zaraz je odkładała, pojawiała się i znikwała. To było... cóż, Clementine nie miała pojęcia, co to było. Stała się więźniem swej własnej nieporadności. Cała ta sytuacja ciążyła jej na piersi niczym stary kot, śliniący się i wyleniały. Nie mogła go zrzucić. Nie potrafiła się zmusić do rozmowy z tą małą panienką, skoro w domu była jeszcze wielka pani, z którą nie zdołała sobie poradzić.

Nie tak dawno, kiedy poszła wywiesić na sznurze tygodniowy zapas znoszonych, wielkich majtek, z przerażeniem zobaczyła maleńkie, wyblakłe i podarte stringi Sophie, wiszące w towarzystwie jedwabi i atłasów należących do Mathilde. To dopełniło miary. Clementine ryknęła niczym mająca się ocielić krowa i ze łzami spływającymi po policzkach rzuciła się na ziemię. Tłukła w nią pięściami, aż do chwili gdy nie czuła już nadgarstków. Jedynym świadkiem jej wybuchu stał się Świnek. To była główna atrakcja dnia.

Od tego momentu Clementine zaczęła dostrzegać kolejne symptomy wskazujące, że w domu jest ktoś, kto wcale nie zamierza się wynieść: skórzana kurtka zawsze wisiała na wbitym w drzwi, zardzewiałym gwoździu, ta sama wyszczerbiona filiżanka codziennie służyła komuś do kawy. Nagle, ni stąd, ni zowąd, w domu zaczęło się pojawiać małe co nieco z ciastkarni Bernadette. Ta inwazja na jej prywatność doprowadzała Clementine do szału, nie tak bardzo jednak, jak niemiły wojskowy porządek, który wprowadziła do domu Mathilde. Przeróżający, symetryczny stos kolejnych numerów „Vogue'a” na wypolerowanym stolyczku to jedno, a pełen kwiatów słoik po

dżemie, który regularnie pojawiał się na kuchennym stole, to coś zupełnie innego.

Prawdę powiedziawszy, Clementine musiała przyznać, że najmłodsza siostra była całkiem inna od średniej; nie oznaczało to jednak, że mogła czy też chciała z nią rozmawiać. Nie chciała mieć nic wspólnego z żadną z tamtych!

Z jej gardła wyrwał się stłumiony szloch, a poruszające się automatycznie, zazwyczaj spokojne dłonie wypadły z rytmu. Jedna z butelek wyslizgnęła jej się z rąk, boleśnie uderzyła ją w stopę i potoczyła się w bok, na szczęście wciąż cała.

Istniał tylko jeden powód, dla którego siostry wciąż siedziały jej na głowie, i niech diabli wezmą słoiki pełne kwiatów, była głupia, że o tym nie pomyślała. Nie chodziło o szampana, tego była pewna. Mathilde twierdziła, że boli ją po nim głowa, a Sophie prawdopodobnie nie знаła nawet jego smaku.

Pieniądze. Koniec końców, zawsze chodzi o pieniądze!

Przez ostatnie kilka lat Clementine sama zajmowała się winnicą, jednak – odkryła to ostatnio – Olivier w ogóle nie dbał o rodzinne finanse. Próbowwała ogarnąć to, co zastała w jego pokoju, jednak nie potrzebowała nabazgranych na kartkach notatek i przypadkowych obliczeń, znalezionych w zaplamionej winem księdze, by zrozumieć, że Dom Peine stał na skraju bankructwa. Na podłodze wałały się nieotwarte wyciągi z konta, na biurku piętrzyły niezapłacone rachunki, a niezliczone listy sugerowały, że wielu spośród wiernych klientów, którzy od lat zamawiali szampana z winnicy Peine'ów, straciło cierpliwość. Były tu skargi dotyczące poważnych opóźnień w dostawach i nieporozumień wynikających z pomylenia adresów, a także zażalenia, że kolejne zamówienia nie zostały dostarczane, a co za tym szło, nie otrzymano za nie zapłaty.

Innymi słowy, w Domu Peine nie było pieniędzy.

Zapasy z piwnicy mogły wprawdzie uchronić Clementine przed głodem, ale nie pomogłyby jej spłacić sióstr. Nie. Aby tego dokonać, musiałyby ulec staremu Jolietowi. Tylko w ten sposób zdołałyby zgromadzić wymaganą kwotę – sprzedając staremu

łobuzowi część ukochanej ziemi.

W umęczonym umyśle Clementine pojawiły się wizerunki jej przodków. Peine'owie, którzy od wieków walczyli z ludźmi pokroju Henriego Jolietta – i zwyciężali – przewróciłiby się w grobach i przybiegli z cmentarza, by dręczyć ją do końca życia, gdyby sprzedała choć jedną z cennych działek. Zresztą, jak mogłaby zdecydować, które winnice zatrzymać, a których się pozbyć? Było to niemożliwe, jak decyzja, które z dzieci pozostawić na pastwę wroga.

Z drżących palców Clementine wypadła kolejna butelka i tym razem się roztrzaskała, a ożywcze bąbelki z młodzieńczą pasją wyrzeźbiły w nierównym podłożu wąskie, wilgotne ścieżki.

Doskonała Mathilde prawdopodobnie zniszczyłaby rodzinne dziedzictwo dla samej zabawy, natomiast Sophie sprawiała wrażenie, jak gdyby rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy. Naturalnie miała przy sobie kilka centymów, o czym świadczyły wypady po ciastka, jednak jej ubrania wyglądały żałośnie, a ona sama była tak chuda, że niełatwo znosiła chłód, który nawet latem unosił się pośród kamiennych ścian.

Szloch Clementine przybrał na sile, kiedy spojrzała na płynące obok jej butów strużki szampana. Nagle zapragnęła uciec z chłodnego podziemia, zostawić butelki i pobiec spiralnymi schodami wprost w ciepłe, otwarte ramiona winorośli.

Na podwórzu nieomal zderzyła się z Patrikiem Didierem, synem bednarza, który prowadził ożywioną rozmowę z Sophie. Didierowie produkowali beczki dłużej niż Peine'owie szampana – to, że wciąż chcieli je naprawiać, świadczyło o niewątpliwej renomie, jaką wytwórnia miała w przeszłości – jednak w tym momencie zaniepokojona Clementine zapomniała o długach.

– Mój ojciec nie może dzisiaj przyjść – wyjaśnił Patrie, po tym, jak mruknęła coś na powitanie i ocierając dłońmi twarz, starała się ukryć łzy. – Prosił, abym sprawdził wasze beczki, a pani urocza siostra mówi, że z chęcią mi pomoże.

Clementine poczuła wściekłość, która niczym ogromna fala popłynęła od stóp do czubka głowy i kędzierzawych włosów, skąd

z trzaskiem wystrzeliła wprost w powietrze. To mała kokietka! Jest tutaj nie dłużej niż pięć minut, a już rzuca się na biednego Patrica. Ze znalezionych w gabinecie Oliviera dokumentów wiedziała, że Didierowie od trzech lat czekali na zapłatę, tak więc jeśli dziewczyna wykona choć jeden niewłaściwy ruch...

Sophie usłyszała ów trzask albo wyczuła wściekłość siostry.

– Chyba że chcesz, abym zrobiła coś innego, Clementine – zaproponowała, zwracając na nią wielkie fiołkowe oczy.

Clementine stłumiła krzyk, niczym taran przedarła się przez tych dwoje i pognąła w stronę roweru.

– Jak zwykle pełna uroku – zauważył Patrie. – Musiałaś mieć niezłego pietra, kiedy się dowiedziałaś, że to twoja ukochana siostrzyczka.

– Wcale nie jest taka zła – odparła życzliwie Sophie, patrząc za odjeżdżającą. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie знаła Clementine. Nie wiedziała prawie nic o własnych siostrach, poza tym, że mieszkała z nimi w jednym domu. Obie zachowywały się, jak gdyby była niewidzialna, więc odpłacała im tym samym. Chowala się w mrocznej sypialni z zapadającym się, choć przytulnym łóżkiem, przemykała pod popękkanymi ścianami niczym zbity pies i ukradkiem wślizgiwała się do winiarni, by obwąchiwać tam kadzie i przesuwac palcami po niekończących się rzędach butelek.

Uwielbiała odkrywać ten stary dom i urzekały ją jego zakamarki, pokoje pełne zapomnianych mebli i półek, uginających się pod pożółkłymi księgami i magazynami. Kochała trzask schodów, tajemnicze szelesty w ścianach, dobiegające ze strychu echo kapiącej wody, która ściekała na nagie deski. Żaden z tych dźwięków nie przypominał jej o tym, w jak opłakanym stanie znajdował się dom. Sophie radował fakt, że dzień po dniu słyszała te same odgłosy, widziała te same kłębki kurzu, przyczajone w tych samych kątach i tę samą martwą muchę w porzuconej pajęczej sieci, W taki właśnie sposób dom przemawiał do swych mieszkańek; mruczac beztrosko, informował je o swoich przypadłościach i bolączkach. Chciał, aby wiedziały, jak się czuł i

informował o tym siostry na bieżąco. Wchodząc po schodach, Sophie poklepywała dłonią łuszczące się ściany, jak gdyby chciała powiedzieć: „Już dobrze, słyszę cię”. Przede wszystkim jednak chciała tu pozostać.

Nic dziwnego, że pokojem, który pokochała najbardziej, była sypialnia ojca. Zapach tytoniu sączący się ze ścian był tak intensywny, że kiedy pewnego dnia weszła tu po raz pierwszy, nie mogła swobodnie oddychać. Niewiele znalazła pamiątek po Olivierze. Palił skręty, pił anyżówkę, nie miał alergii na kurz i najwyraźniej nie czuł zimna. Wszystko to wywnioskowała po przedmiotach znalezionych pod jego łóżkiem. Zobaczyła tam papiery, popiół, puste butelki i kłębki kurzu wielkości toczących się kul, ale żadnych kapci. Niewiele tego, by kogoś poznać, stwierdziła, gdy prostując plecy, rozejrzała się po pokoju.

Przez wszystkie te lata wielokrotnie myślała o ojcu. Myślała o nim tak często, jak każdy, kto wychowuje się bez niego; czy przyznaje się do tego, czy też nie, Od matki dowiedziała się, że nie był rycerzem w lśniącej zbroi, jednak przy nielicznych okazjach, kiedy Josephine o nim mówiła (nigdy nie wypowiadając jego imienia), czuła przede wszystkim litość. Najwyraźniej wszyscy mężczyźni byli draniami; ojciec Sophie nie stanowił wyjątku.

– Nie można powiedzieć, że zrujnował mi życie – niejednokrotnie powtarzała matka. – Ono już było w ruinie.

Spragniona rozmowy Sophie przez dłuższy czas czała się w cieniu swego nowego domu (już sama myśl o tym była pocieszeniem) i otaczających go krzewów winorośli, kiedy przed drzwiami pojawił się Patrie Didier. Wydawał się odrobinę młodszy od niej; był wysoki, jasnowłosy, szczupły, miał błyszczące, niebieskie oczy i nieco szelmowski uśmieszek. Poczowała to w chwili, gdy na niego spojrzała: ucisk w sercu, chemia i wstrząs, który rozpałił w niej iskierkę nadziei. Jednak coś w owym uśmiechu i w tym, jak Patrie spoglądał na nią niewidzącym wzrokiem, podziałało na nią niczym zimny prysznic. W przeszłości nieraz uległa takim jak on i nie przyniosło to

niczego dobrego poza bólem, na który w tej chwili nie mogła sobie pozwolić. Kiedy zaproponował, by spotkali się później w Le Bois, uśmiechnęła się i wzruszyła szczupłymi ramionami.

Rozpacz

Mathilde odchyliła spłowiałe, różowe zasłony, spoglądając przez okno swego pokoju na tyczkowatego gamonia, który flirtował na podwórzu z Sophie. W jej młodszej siostrze było coś, co nie dawało jej spokoju i jeszcze bardziej potęgowało złość. Sięgnęła po xanax i popiła tabletkę anyżówką, starając się odegnąć to dziwne uczucie.

Clementine wypęzła z winiarni niczym stary krab, który wzdrygnął się na widok Sophie i towarzyszącego jej chłopaka, przeciął szczypcami powietrze i powlókł się w kierunku roweru. Głupie, grube brzydactwo z okropnymi włosami i w dodatku fatalnie ubrana, pomyślała Mathilde, czując, jak poprawia jej się humor. Tak łatwo było znienawidzić starszą siostrę.

Odsunęła się od okna i opadła na koślawe, drewniane krzesło, jedyny mebel w pokoju, poza łóżkiem i zjedzoną przez korniki szafą. Zrzuciła szpilki, wbiła wzrok w wybrzuszony od wilgoci sufit i czekała na pierwsze oznaki działania xanaxu. Odrętwienie. Tego właśnie pragnęła. Dlaczego to musiało tyle trwać?

Zerknęła na ładną niegdyś tapetę w tłoczone paki róż, na stojącą na podłodze walizkę i leżącą obok rozładowaną komórkę. Ładowarka wciąż tkwiła w walizce. Dzięki BlackBerry Mathilde utrzymywała z firmą znikomy kontakt, ale czuła, jak opuszczają chęć do pracy. Myślała, że niełatwo będzie pożegnać się z pracą, jednak wcale tak nie było. Potrafią poradzić sobie bez niej; tak zdecydowała. Poza tym nadszedł już czas. Zbyt długo rozpieszczała tych przepłacanych leni.

Co innego dom. Mathilde myślała, że wyrwanie się z niego przyniesie jej błogosławioną ulgę i do pewnego stopnia tak było. Zadzwoiła tylko dwa razy; zawsze wtedy, gdy wiedziała, że nikogo nie zastanie. Zostawiła krótkie, oficjalne wiadomości, informując, że dom wymaga kapitalnego remontu, a ona sama nie może teraz wyjechać i nie wie, kiedy wróci. Po każdym z tych telefonów czuła przyływ energii, a potem zawsze ogarniało ją to samo dręczące, niezrozumiałe uczucie. Czy nie o tym właśnie

marzyła przez ostatnie lata? Czyż nie tego pragnęła?

Westchnęła poirytowana i zamknęła oczy. Tak wiele razy wyobrażała sobie własną ucieczkę, jednak aż do dnia gdy zadzwonił Paillard, coś takiego wydawało się niemożliwe. Ale dzięki prawnikowi, a właściwie dzięki głupocie Oliviera mogła wreszcie zrobić to, o czym marzyła przez cały ten czas. Znalazła idealną wymówkę! Co dziwne, kiedy już to się stało, odkryła, że jest w stanie porzucić dotychczasowe życie z taką samą łatwością, z jaką zrzuca z ramion płaszcz od Armaniego.

Oczy Mathilde poruszyły się nerwowo pod zamkniętymi powiekami. Zrobiła to, uciekła, udało jej się! „Owszem – podpowiadał cichutki głos w jej głowie – masz to, czego chciałaś, więc dlaczego – szeptał wystarczająco głośno, by nie mogła go zignorować – wciąż czujesz to samo?”

– Pieprz się! – warknęła Mathilde i podniosła się z krzesła, by włożyć buty. Nagle postanowiła, że wyładuje złość gdzie indziej.

– Wszyscy się pieprzcie!

Chwilę później ukryty pośród winorośli Świnek poderwał się na nogi i słysząc znajomy warkot Citroena 2 CV, zaczął dreptać w miejscu. Clementine przerwała pracę i mrużąc ciemne oczy, popatrzyła na samochód i wysiadającą Mathilde, która przedzierała się przez pnącza pinot meunier, maszerując w jej stronę.

Świnek nie czekał, by zobaczyć, czy nadchodząca kobieta ma na nogach te same spiczaste szpilki; zamiast tego wykonał zwrot i pognął ku wzgórzom.

– Świnek! – krzyknęła za nim Clementine. Uznała, że nie może winić ulubieńca; gdyby sama potrafiła tak szybko biegać, z pewnością umknęłaby przed Mathilde. – Nie przejmuj się – szepnęła pocieszającym tonem do jednej z roślin, Cecylii ósmej. – Ale nie podsłuchuj. – Zdecydowała, że będzie uprzejma wobec siostry, patrząc jednak na Mathilde, wątpiła, aby jej się to udało.

– Ten żyrandol, który wisiał w salonie – zaczęła Mathilde bez zbędnych wstępów. – Co się z nim stało? Chcę... – Zamilkła, gapiąc się z otwartymi ustami na Clementine. – Co ty, do cholery,

masz na sobie? Czy to nie materiał, którym był przykryty kabriolet? Ależ tak, tak. Mój Boże, wyglądasz jak sofa!

Clementine poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Uszyła ten fartuch z materiału, który znalazła na strychu. Możliwe, że przykrywano nim kiedyś kabriolet. Może właśnie dlatego *jej* się spodobał. Ale przecież nie chciała wyglądać jak sofa!

Nikt nigdy nie zauważał ani nie dbał o to, jak wyglądała. Dlaczego jedna Mathilde z taką radością o tym mówiła?

– Nie widzisz, że jestem zajęta? – jęknęła Clementine, przycinając liście, które przeszkadzały rosnąć owocom Cecylii ósmej. – Po prostu odejdz i... – szukała w głowie błyskotliwych i uszczypliwych słów, które jakże często serwowała nieznanym – ... opiłuj paznokcie albo coś innego. – Jak zwykle w takiej sytuacji, obecność Mathilde zupełnie pozbawiła ją ciętego humoru.

– Tak, masz rację, Clementine. Jestem specjalistką od public relations, tylko dlatego że mam opiłowane paznokcie. Tak to właśnie wygląda w prawdziwym świecie. Spytaj moich klientów, może Calvina Kleina, słyszałaś o nim? Ale po co w ogóle zawracam sobie głowę? Po prostu powiedz mi, gdzie jest ten żyrandol i... – Coś zwróciło jej uwagę; przesłoniła oczy i spojrzała ponad głową Clementine na odległe wzgórze.

– Czy to... ? O, mój Boże. Benoit? On wciąż tu mieszka? Na to wygląda. Prawie się nie zmienił. Spójrz tylko na niego! Zupełnie, jakby czas stanął w miejscu!

Tego już było za wiele dla biednej Clementine, która owego feralnego dnia znalazła się u kresu wytrzymałości. Łzy, z trudem powstrzymywane od chwili złośliwej uwagi Mathilde na temat sofy, przerwały tamę i spłynęły po policzkach.

– Cóż, to niezbyt miłe z jego strony – ciągnęła Mathilde, nawet nie dostrzegając cierpienia siostry. – Nawet nie przyszedł się przywitać. Jakie to nieuprzejme. Przecież wie, jak bardzo jesteśmy pogrążone w smutku. Co się stało, Clementine? Czyżbyście się pokłócili?

Nie była w stanie odpowiedzieć, jednak Mathilde nawet na nią

nie spojrziała.

– Cóż, jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać – stwierdziła, a jej wąskie biodra jeszcze raz przemknęły obok krągłości Clementine, a długie, szczupłe nogi pomaszerowały w stronę Benoit Geoffroya.

Tym razem Clementine nie czekała na to, co się wydarzy. Prędej by chwyciła sekator i podcięła sobie żyły. Zamiast tego jednak przeprosiła szorstko Cecylię, wskoczyła na rower i zakrywając usta dłonią, pognęła do domu tak szybko, jak tylko mogła. Wzorzysty fartuch powiewał za jej plecami niczym wielki, kolorowy ogon, a potoki łez zmieniły twarz nie do poznania.

To wydarzyło się znowu. Znowu miała przed oczami najgorszy dzień swojego zafajdanego życia, spektakl rozgrywał się z tą samą obsadą. Przez ostatnie lata wyobrażała sobie wiele ewentualnych sytuacji, ale taka możliwość nigdy nie powstała w jej głowie. A trzeba wiedzieć, że Clementine poświęciła spekulacjom na ten temat wiele długich, samotnych nocy.

Sophie znalazła ją kilka godzin później, leżącą w piwnicy za dębowymi beczkami pinot noir rocznik 99, zgodnie uznanego za ostatnie wielkie dzieło Oliviera. Clementine wciąż szlochała, balansując na krawędzi hysterii, która zdarza się tylko wówczas, gdy doskonale zakonserwowane cierpienie zostanie przyprawione odrobiną świeżego bólu.

Kiedy najstarsza siostra nie pojawiła się na lunchu, Sophie pomyślała, że to dziwne, gdy jednak minęła kolacja, a wciąż nie było słyhać szurania starych, zdartych butów ani dzwonienia sztućców w szufladzie, zaniepokoiła się i wyruszyła na poszukiwania.

W końcu obok ogródka warzywnego znalazła porzucony rower, sekator i zjedzone do połowy ciastko, które wypadło z koszyka, i wiedziała już, co się święci. A z winiarni, gdzie leżał osowiały Świnek, usłyszała szlochanie. Dobiegało spod podłogi i zaprowadziło Sophie wprost do piwnicy, do Clementine – zwiniętej w kłębek, kwiecistej kupki nieszczęścia, leżącej w ciemnym kącie z rocznikiem 99.

W swym krótkim, barwnym życiu Sophie wielokrotnie była świadkiem załamania nerwowego i potrafiła rozpoznać ich objawy na odległość. Niemal natychmiast wiedziała, że dolatujące z ciemności odgłosy miały niejasny związek z przeszłością. Jakikolwiek smutki czaiły się na dnie należącej do Clementine studni nieszczęść, były tam od dawna.

Daleka od przeprowadzania dramatycznej akcji ratunkowej, Sophie przycupnęła obok siostry, niemalże jej dotykając, i oparłszy się o ścianę piwnicy, podciągnęła kolana pod brodę. W milczeniu patrzyła, jak pogrążona w płaczu Clementine ugina się pod ciężarem rozpacz, i czekała na odpowiedni moment – jeśli w ogóle miał takowy nadejść – by uczynić coś więcej. Z początku nie była nawet pewna, czy siostra zdawała sobie sprawę z jej obecności, jednak w końcu spazmatyczne łkanie zmieniło się w czkawkę, a płacz w zawodzące staccato, które upiornym echem odbijało się od piwnicznych ścian.

Taki stan rzeczy trwał może pół godziny, jednak Sophie była cierpliwa. Wypełniła sobie czas patrząc, jak zmieniają się kolory na kwiecistej sukience Clementine, róż przechodzi w fiolet, lawendowy w indygo, a rozjaśniony skąpym światłem fiolet zmienia się w czerń. Kwiaty na sukience Clementine to hortensje, pomyślała Sophie – soczyste, gęste i piękne, jak te, które widziała tak często na bulwarze Edgara Quineta w szóstej dzielnicy. Wyobraziła sobie, że wybiera szal ze stoiska swojego przyjaciela Enrique'a. Szal jest zielony, aby podkreślić liście, rozsiane gdzieśgdzie po materiale. Może być też liliowy, aby wydobyć z kwiatów ich najładniejszy odcień. Owinęłaby go w bibułę koloru gęstej śmietany, przewiązała delikatną, różową wstążką i przyczepiła do niej maleńki bukietik suszonej lawendy. Taki właśnie prezent podarowałaby Clementine.

Myśląc o tym, uświadomiła sobie, że łkanie i zawodzenie ustało; hortensje nie unosiły się i nie opadały z wcześniejszą gwałtownością. Sophie niemal przytuliła się do siostry i siedziała w milczeniu przez kilka chwil, po czym wyciągnęła drobną dłoń w kierunku okrągłego ramienia i najdelikatniej, jak tylko mogła,

dotknęła go.

Ciałem Clementine wstrząsnęły kolejne dreszcze, jednak nie odepchnęła palców siostry ani nie kazała jej odejść. Jakikolwiek nieszczęścia w sobie tłumiła, była gotowa je wyrzucić i Sophie niemal czuła, jak skrywane dotąd głęboko uczucia drapią pazurami miękkie hortensje. Jej uścisk stał się pewniejszy, a dłoń zatrzymała się na ramieniu Clementine nieco dłużej. Delikatnie, choć stanowczo, Sophie pocieszała tę płataninę nieszczęścia, aż udało jej się złagodzić udręczone westchnienia.

Clementine wkrótce się uspokoiła. Piwniczka pogrążyła się w ciszy, tak mrocznej, nieruchomej i gęstej, że Sophie, która wiele zimowych popołudni spędziła skulona w kaplicach Saint Sulpice, znów poczuła się jak w konfesjonale.

– Miałam dziecko – wyszeptała Clementine, której umysł wciąż krążył wokół tej jednej, jedynej myśli. – Amelie. – Wypowiedziała imię tak cicho, że zabrzmiało niczym szmer kapiącego w słońcu deszczu; człowiek wiedział, że pada, tylko wówczas, gdy patrząc pod odpowiednim kątem, dostrzegł krople. Amelie. To imię odbiło się od jej pustego serca i spłoszyło rodzący się w gardle pomruk, który pomagał zagrzebać bolesne wspomnienia głęboko na dnie.

Wówczas przypomniała sobie chwilę, gdy wiele lat temu wydała na świat to idealne, kwilące чудо. Tak długo pragnęła wymazać ją z pamięci, że zaczęła już wierzyć, iż był to tylko sen, mglisty cień tragedii, która dotknęła kogoś innego. Jednak wymawiając to jedno różowe, pulchne słowo, na powrót sprowadziła do swego życia tamto dziecko; jej rodzone dziecko. W tej pełnej szczerości chwili owo wspomnienie wydało się Clementine ropiejącą raną, która zatruchiwała wszystko dookoła; ujrzała swoje puste serce, martwe, łkające i zimne. Z jej gardła wydobył się, pełen bólu i rozpaczny jęk.

Sophie z całej siły przywarła do pleców siostry. Wygładziła zmierzwione włosy, założyła za ucho niesforne kosmyki i czekała w ciszy. Dziecko? Clementine? Nie mogła sobie wyobrazić, czyje to mogło być dziecko, co się z nim stało, gdzie było teraz, ile

miało lat albo kim był jego ojciec. Rozumiała tylko, że tych pytań Clementine z pewnością nie chciała usłyszeć. Kto jeszcze o tym wiedział? Naturalnie nie Mathilde, sądząc po jej niekończącym się arsenale podłych dowcipów o dziewicach. Cóż za potworny, krzywdzący i bolesny sekret ukrywała najstarsza siostra. Jaką cenę musiała zapłacić? Przeżyta tragedia sączyła się z jej ciała niczym ropa, gasiła uśmiech na twarzy i płoszyła wzrok, w obawie że zatrzyma się dłużej na czymś innym niż winogrona, pomyślała ze smutkiem Sophie, czując jak serce jej się ściska. Było to dobre serce. Być może Clementine poczuła moc współczucia, z jaką uderzało teraz w piersi Sophie, bo jęki przycichły, a w końcu zmieniły się w ledwie słyszalne westchnienie. Niedługo potem oddech Clementine stał się głęboki i równy. Zasnęła.

Sophie odczekała chwilę, zanim wyswobodziła się z objęć siostry. Nic więcej nie mogła teraz zrobić. Wiedziała o tym. Wiedziała również, że Clementine nie chciałaby jej oglądać po przebudzeniu.

Kiedy wyszła z piwnicy, było już ciemno. Odległe gwiazdy co rusz ginęły za chmurami o dziwacznych kształtach. Księżyc nie stał jeszcze wysoko. Sophie ukryła rozpacz siostry w odległym miejscu, gdzie przechowywała ważne sekrety, położyła dłonie na ramionach, a na jej ładnej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

Dojrzewanie

Owoce w winnicy Peine stawały się wielkie i słodkie, podczas gdy lato spełniało swą obietnicę, kończąc każdy dzień leniwym, ciepłym wieczorem i rozpoczynając następny różowym wschodem słońca. Woń dojrzewających nabrzmiałych winogron unosiła się w powietrzu niczym gęsta mgła, jednak zamiast posępnego, klaustrofobicznego mroku, niosła ze sobą zapach tego, co nadchodzi.

Nawet pędy winorośli miały w sobie coś majestatycznego i rozkosznego, kiedy niczym ciemnozielony dywan wspinały się po zboczach wzgórz. Nadchodził czas, gdy liście zmieniały kolor. Pinot noir nabierały delikatnego, czerwonego odcienia, natomiast chardonnay skłaniały się ku delikatnej żółci.

Jednak nie tylko winogrona stawały się okrągłejsze, słodsze i ciemniejsze. Dach nad głową i regularne posiłki służyły również Sophie, która powoli zatraciła wygląd kloszarda i nabrała zdrowego, wiejskiego blasku. Jej kruczoczarne włosy spłwiałały w letnim słońcu, a blada, przezroczysta cera stała się złocista niczym miód. Purpurowe usta i czarna kredka do oczu odeszły w zapomnienie, a fiołkowe oczy wyrażały jedynie radość.

Te wszystkie zmiany nie wynikały jedynie z szampańskiej gościnności; ich głównym powodem stała się Clementine.

Ów pamiętny wieczór w winiarni, kiedy wśród nieprzeniknionych ciemności ujawnił się jej sekret, odmienił relacje między dwoma siostrami. Różnica nie była ani wielka, ani drastyczna; nie zostały nagle najlepszymi przyjaciółkami, które dzielą każdą, najdrobniejszą nawet myśl, a nocami plotkują, malując paznokcie. Z pewnością dokonał się jednak jakiś postęp.

Małe kroki dla większości rodzin, lecz ogromny dla sióstr Peine.

Sophie czuła się tak, jak gdyby w ciemnościach, za dębowymi beczkami pinot noir pomiędzy nią a Clementine zawiązała się najsubtelniejsza nić porozumienia. Wprawdzie tak cienka, że niemal niedostrzegalna, pojawiła się jednak tam, gdzie jeszcze do

niedawna nie było kompletnie nic. Sophie delikatnie ujęła ją w palce i zwijała ostrożnie wokół nadgarstka, aż do chwili gdy poczuła delikatny opór. Wówczas zaufała Clementine, która poprowadziła ją ku winnicom i winiarni.

Z początku najstarsza siostra wyłącznie akceptowała jej obecność. Nigdy nie przegnała Sophie ani nie umknęła przed nią, chowając się pośród gęstych liści. Niebawem też przyzwyczała się do nowej towarzyszki – prawdę powiedziawszy oczekiwała jej obecności – aż w końcu szorstkim głosem zaczęła przekazywać jej wiedzę, która od lat tkwiła bezużytecznie w jej umyśle. Tak długo, jak rozmowy dotyczyły szampana, Clementine czuła się bezpieczna. Co dziwne, niebawem odkryła, że uczucie, które pojawiała się za każdym razem gdy rozmawiała – tak, rozmawiała – z Sophie, graniczyło z przyjemnością. Stopniowo jej szorstkość zniknęła, zastąpiona zapalem do pracy i – od czasu do czasu – charakterystycznym zrzędzeniem.

– Spójrz, te małe owoce rosną w ściśniętej kiści, dokładnie tak, jak tego chcę – wyjaśniała – ponieważ w tym roku poświęciłam temu rzędowi, Dorothee, wyjątkowo wiele uwagi. Jakbym miała na to czas! Ale Dorothee była zawsze wymagająca.

Albo:

– Pasqualine ma zbyt wiele liści. Widzisz? Zostawimy ją tak jeszcze przez jakiś czas. Liście chronią owoce przed słońcem, jednak późnym latem, przed winobraniami, trzeba je będzie oberwać. W tej kwestii mogłam kiedyś zaufać tym leniwym bliźniakom, ale teraz to już chyba niemożliwe. Typowe!

– Popatrz tylko na owoce tej chciwej Antoinette! Biedne łodygi muszą pracować w dwójnasób, żeby wykarmić je wszystkie. Trzeba oberwać trochę tych winogron, Antoinette. Wiem, jak bardzo to lubisz, ale czy w ogóle nie słuchałaś tego, co ci mówiłam w zeszłym roku?

Wraz z upływem czasu stało się jasne, że Clementine również rozkwita. Chodziła wyprostowana, a przygnębienie, które zwykle malowało się na jej twarzy, może nie zniknęło, ale stało się mniej widoczne. Jej kształtne usta nie wyginały się już w podkówkę, a w

nieufnych oczach pojawił się nieznany dotąd blask.

Tak bardzo polubiła towarzystwo najmłodszej siostry, że w końcu pozwoliła, by Sophie towarzyszyła jej w trakcie poruszania: niezwykle ważnego zadania, którego nie była w stanie wykonać sama. Wystarczyło jednak, by Sophie spojrzała na dębowe stojaki w kształcie odwróconych liter V, w których spoczywały obracane butelki, a zupełnie straciła zimną krew i zaczęła się denerwować.

– Są trzy etapy – wyjaśniła Clementine. – Przekręcasz butelkę w prawo o jedną ósmą obrotu i wstrząsasz nią szybko, by unieść się osad. Następnie delikatnie ją pochylasz i odkładasz na półkę. Obracamy każdą butelkę co dwa dni – raz w prawo, a raz w lewo – a kiedy wszystkie znajdą się korkami do dołu, osad zbierze się u wylotu szyjki i nadchodzi czas oczyszczania! Kiedy pozbędziemy się osadu, zatykamy butelkę specjalnym korkiem i szampan jest już gotowy. No dalej, Sophie, teraz twoja kolej. Rozłóż ramiona. Nie, szerokość ramion, ten sam rząd. Ten sam rząd! I przekręcaj. W prawo. W twoje prawo. Twoje prawo, na litość boską! Przy takim tempie będziemy siedzieć tutaj miesiącami. Dawniej specjaliści od poruszania obracali dziennie pięćdziesiąt tysięcy butelek. Ty nie obrócisz nawet pięćdziesięciu!

Należy pamiętać, że nawet pięćdziesiąt butelek obróconych dłońmi innymi niż jej, stanowiło dla Clementine pewną pomoc, tak więc w końcu zostawiła Sophie w spokoju. Chwilę później jej roztańczone dłonie zaatakowały kolejne rzędy butelek, a dźwięk szkła uderzającego o wyschnięte drewno brzmiał w jej uszach równie rozkosznie, co zawsze.

W czasie gdy najstarsza i najmłodsza z sióstr rozkwitały w promieniach słońca, Mathilde wędła pośród cieni. Robiła co mogła, by zagłuszyć to dziwne uczucie, jednak wciąż tam było. Gdy tylko zamknęła oczy, widziała swoje mieszkanie na Upper East Side:

stojącą w jadalni lampę od Tiffany’ego, pomarańczową sofę w salonie, stojak z wyszukaną kolekcją karmelowych i czekoladowych parasolek, a pośród nich tę jedną, irytującą, w maleńkie, różowe serduszka.

Czy aby na pewno dobrze zrobiła?

No tak, znowu to samo. Wątpliwości, po tysiącokroć gorsze niż poczucie winy. Poczucie winy mogła odsunąć. W kwestii wątpliwości mogła tylko walczyć.

Rzecz w tym – przyznała w trakcie jednego z przebłysków świadomości, o poranku, kiedy wódka przestała działać, a xanax jeszcze nie zaczął – że to ona odeszła. To był jej wybór, jej pragnienie, jej błogosławiona ulga – dlaczego więc czuła się porzucona? Nienawidziła tego słowa. Cuchnęło słabością, której Mathilde nie znosiła. Poza tym, aby zostać porzuconym, człowiek musi potrzebować tego, kto go porzucił, a tak przecież nie było. Mathilde nie potrzebowała nikogo. Nie została opuszczona. To ona odeszła. Problem w tym, że skoro ona potrafiła wytropić siebie w ciągu zaledwie nanosekundy, dlaczego oni tego nie umieli? Dlaczego on nie potrafił? Albo, co bardziej istotne, czemu wciąż tego nie zrobił? Minęło tyle czasu, a dotąd nie było żadnego listu ani pełnego oskarżeń telefonu czy nawet błagania, by wróciła do Stanów.

George. Imię męża stuknęło w jej głowie. Widziała go, jak stał w sypialni, w jednym z tych pastelowych, kaszmirowych swetrów, gapiąc się na nią z tym irytującym wyrazem twarzy, na którego widok miała ochotę uderzyć go w twarz.

Ich związek nie był romansiem stulecia, jednak taki układ odpowiadał im obojgu. Ona była szczęśliwa, mogąc poślubić kogoś zamożnego i wpływowego; on nigdy nie narzekał na jej wygląd, styl i fantastyczną umiejętność zgromadzenia odpowiednich ludzi w odpowiednich miejscach. Było to zbilansowane małżeństwo, rozsądne z wielu powodów, i z całą pewnością dużo lepsze od związków, w które pakowała się jej matka. Mimo to przez ostatnie lata Mathilde życzyła mężowi śmierci albo życzyła śmierci sobie, albo po prostu chciała, by jedno z nich wyjechało na drugi koniec świata. No i wyjechała. Tylko dlaczego George jej nie szukał?

Na chwilę zapomniała o tych irytujących pytaniach, flirtując jak niegdyś z Benoit Geoffroyem. Ach, cóż to była za ulga oddać

władzę hormonom; straciła jednak zapał, kiedy Benoit oparł się jej wdziękom – najpierw tam, pośród winorośli, a później jeszcze raz, tym razem bardziej zdecydowanie, kiedy z butelką whisky w dłoni pojawiła się przed jego drzwiami, ubrana w wydekoltowaną bluzkę.

Wówczas postanowiła, że zrobi porządek z domem Peine. Lecz aby osiągnąć właściwy efekt, musiałaby wyjechać do Paryża i wydać prawdziwą fortunę, a ponieważ ona jedyna miała pojęcie o stylu, po co było się trudzić? Clementine w ogóle nie znała się na tych sprawach i wlokła wszędzie za sobą błoto niczym stary koń pociągowy, a wiedza Sophie na temat projektowania wnętrz ograniczała się do kupy kamieni stojącej obok słoika suszonych gałązek.

Inną kwestią były rodzinne finanse.

Było to wyzwanie, z którym Mathilde chętnie by się zmierzyła i tak właśnie zrobiła. Fakt, papierkowa robota była absurdalna. Wiedziała jednak, że po zapłaceniu rachunków, jeśli nie podejmą jakichś kroków, winnica popadnie w takie długi, że zarówno jej, jak i tym dwóm głupim gęsiom, z którymi rzekomo była spokrewniona, pozostanie do spółki jedynie potężny ból głowy, a wtedy najlepszym wyjściem będzie dekapitacja.

Tylko że cóż właściwie mogły zrobić? Clementine, chociaż była szaloną ekscentryczką, zupełnie nieobytą w towarzystwie, posiadała niebywałą umiejętność zajmowania się cenną winoroślą, a przecież uprawy były największym skarbem rodziny Peine. Gdyby Mathilde uratowała rodzinne finanse i odroczyła terminy spłat do czasu, gdy Dom Peine ponownie stanie na nogi, istniała szansa na to, że uda im się zarobić trochę grosza.

Nie mając pod ręką asystentki, kontrolera finansowego i całych zastępów naiwnych mężczyzn, którzy ulegając jej urokowi, odwalali całą, brudną robotę – Mathilde uznała, że potrzebna jej nawet niewykwalifikowana pomocnica.

– Sophie, będziesz mi dziś potrzebna – ogłosiła radośnie, wchodząc do kuchni. Ze stojącego na palniku dzbanka naląła sobie filizankę kawy i zapaliła porannego papierosa. Nikt nie

powiedział jej, że to odrażający nałóg, a bierne palenie może się również okazać fatalne w skutkach. Tu była Francja! – Czekają nas papierkowa robota, a sama nie dam sobie rady.

Clementine i Sophie zamarły; kawałki bagietki posmarowane grubo dżemem śliwkowym, zatrzymały się w połowie drogi do ust. Świnek tak gwałtownie poderwał się na nogi, że wyrzucił łebkiem w stojące obok krzesło.

– Jaka papierkowa robota? – spytała Clementine, podczas gdy Sophie bąknęła: – Ale ja obracam butelki.

– No, cóż, nie dziwi mnie fakt, że nie masz pojęcia o księgowości, Clementine; w przeciwnym razie nasza sytuacja nie byłaby tak dramatyczna. Niestety, ktoś w tej norze milsi ruszyć tyłek i zmierzyć się z tym bajzłem. Postanowiłam, że będę to ja, ale potrzebuję pomocy biurowej do porządkowania papierów, a Sophie pasuje jak ulał.

– Ale ja nie mam pojęcia o pracy biurowej! – wykrzyknęła Sophie. Panika w jej głosie zaskoczyła nawet Clementine. – Nie wiem nic o księgowości.

– Jeśli potrafiłaś się nauczyć, jak przekręcać głupie butelki, nauczysz się i tego – odparła niecierpliwie Mathilde.

– Ona jeszcze nie umie obracać butelek – wtrąciła Clementine, mając na myśli to, że potrzeba więcej czasu, by ją tego nauczyć, Mathilde jednak natychmiast wykorzystała ten słaby punkt jej rozumowania.

– Cóż, jeśli jeszcze tego nie pojęła, pewnie już nigdy nie pojmie. No, rusz się – rzuciła do siostry, odsuwając jej krzesło. Jednak Sophie chwyciła się stołu zbielełymi kłykciami niczym dziecko, które odsyła się do łóżka, bo nie zjadło kolacji.

– Nie chcę! – zawołała. – Chcę pomagać Clementine!

– Nie zachowuj się jak idiotka – warknęła Mathilde. – Na litość boską, to tylko głupie porządkowanie papierów. Proste jak alfabet. – Wówczas ujrzała w oczach Sophie prawdziwe przerażenie, na które jej błyskotliwy umysł zareagował pełnym niedowierzaniem, złośliwym uśmieszkiem.

– Nie wierzę – rzuciła, odsuwając się od Sophie. – Czytałam o

takich jak ty, ale nigdy nie przypuszczałam, że będę miała kogoś takiego we własnej rodzinie. – Mówiąc to, poczuła szarpnięcie w płaskim, gładkim żołądku i gwałtowny ucisk w sercu.

– Do tej pory nie nauczyła się, jak obracać butelki? – zwróciła się do Clementine. – Niech no zgadnę, nie może odróżnić prawej strony od lewej? Nie bardzo rozumie twoje instrukcje? Nie potrafi pracować obiema rękami?

Oślupiała Clementine kiwała głową, najwyraźniej nie mając pojęcia, do czego zmierza cała ta rozmowa. Tymczasem Mathilde chwyciła jedno z kolorowych pism i rzuciła przed Sophie.

– Przeczytaj – rozkazała.

– Nie umiem – szepnęła dziewczyna, prawie nie patrząc na magazyn. – To po angielsku.

Mathilde wybuchnęła niewesołym śmiechem.

– To po włosku, ty głupia dziewucho.

– Może nie umie czytać po włosku – wtrąciła Clementine. – Nie wszystkie chodziłyśmy do najlepszych szkół, jak ty, Miss America.

– Nie umie czytać po włosku? Ona w ogóle nie umie czytać, Clementine. To oczywiste, że ta mała włóczęga nigdy nie chodziła do szkoły. Ja to mam szczęście, zamiast jednej siostry idiotki mam dwie!

Słyszając to, Sophie wydała z siebie stłumiony, udręczony jęk, szurnęła krzesłem, nieomal przewracając kawę i zerwawszy się od stołu, wybiegła z kuchni, tak jak zrobiła to Clementine, kiedy się poznały. Najstarsza z sióstr podniosła się z krzesła, jak gdyby chciała za nią biec, lecz nagle zrezygnowała. Sophie nie umie czytać? W głowie miała mętlik. W tych czasach i w jej wieku było to coś osobliwego, ale czy trzeba robić z tego aż taką aferę?

Odwróciła się i spojrzała na Mathilde, która uśmiechała się z wyższością, jak gdyby zdobyła właśnie główną nagrodę w konkursie na najlepszego szampana.

– Jesteś jak chuda szkapa – warknęła Clementine. – Jesteś moczymordą jak twój ojciec. W twoim wyschniętym, żylastym ciele nie ma nawet krzty życzliwości. Dzięki Bogu, że nie masz

rodziny, bo oni z pewnością czuliby do ciebie to samo, co ty czujesz do nas.

Mathilde stała nieruchomo, wysłuchując kolejnych obelg, ignorując ucisk w żołądku i koncentrując się na adrenalinie, która rozprawiała po jej ciele coraz większe pokłady nienawiści.

– Wiesz – odparła przeciągając samogłoski i wyjmując z perfekcyjnie umalowanych ust wyimaginowanego papierosa – mogłaś mi powiedzieć, że Benoit się ożenił.

Clementine zabrakło tchu, jak gdyby ktoś wycisnął z jej płuc całe powietrze, jednak za wszelką cenę starała się odzyskać spokój.

– Nie sądzisz chyba, że czekał na ciebie przez wszystkie te lata? – odparła, choć w jej głosie dało się wyczuć lęk. – Jak każdy inny człowiek, Benoit miał lepsze rzeczy do roboty.

Mathilde wybuchnęła swym pozbawionym radości, oschłym śmiechem.

– Chodziło mi o to, że jeśli już miał zamiar poślubić prymitywną maciorę, jak ta, z którą się związał, mógł równie dobrze ożenić się z tobą, Clementine.

Wymierzyła obelgę z precyzją łucznika na zawodach olimpijskich i jak zwykle trafiła w dziesiątkę.

Popadający w ruinę świat Clementine rozpadł się wiele lat temu, gdy usłyszała plotkę, jakoby Benoit spotykał się z córką innego winiarza. Owo spustoszenie było jednak niczym w porównaniu z tym, co poczuła, gdy dowiedziała się, że chodziło o Odile Joliet, córkę starego Joliet, kilka lat starszą od Clementine brzydulę, z wiecznie zagniewaną twarzą, złotymi włosami i fatalnymi manierami. Naturalnie był to mariaż z rozsądku, ponieważ Geoffroyowie nie mieli wystarczająco dużo pinot noir, a Jolietom brakowało chardonnay, tak więc dla obu rodzin ten układ okazał się idealny. Ale żeby Benoit przystał na ślub z tą ohydną Odile?

„Dlaczego nie ja? – płakała w poduszkę Clementine. Dlaczego?”

Wspomnienie owych łez i zapachu gęsich piór przesiąkniętych

smutkiem, który spływał z niej w trakcie snu, a także tego, co stało się później, obudziło teraz w Clementine niespodziewaną pewność siebie.

– Mam nadzieję, że... złapiesz chorobę... taką, od której odpada nos... a człowiek łysieje... i mam nadzieję, że umrzesz! – wykrztusiła. To wszystko, na co było ją stać. Po tych słowach wypadła z kuchni.

Peine

Sophie siedziała w piwnicy za beczkami pinot noir, czyli właśnie tam, gdzie chciała się ukryć Clementine. Starsza siostra przycupnęła obok młodszej, nie okazując najmniejszego nawet niezadowolenia z powodu jej obecności. Prawdę powiedziawszy, towarzystwo Sophie dodało jej otuchy. Dziewczyna wciąż jeszcze miała twarz wilgotną od łez, jednak na widok Clementine uśmiechnęła się słabo.

– Po prostu nie mogłam się nauczyć – zaczęła. – Bez względu na to, jak bardzo się starałam, nie potrafiłam i już.

Clementine chciała ją pocieszyć, ale nie wiedziała jak. Zamiast tego wcisnęła się głębiej za beczki, aż jej okrągłe biodra dotknęły chudych bioder Sophie.

– Nauczyciele mówili, że jestem głupia; zastępczy rodzice też. Myśleli, że robiłam to celowo, że się nie starałam, nie próbowałam zrozumieć, aleja naprawdę nie dawałam rady! Zawsze coś było nie tak. Czułam się, jakby brakowało mi czegoś ważnego, bez czego nie mogłam pojąć, jak to się robi. Przez jakiś czas udawałam, że wszystko gra, ale później było już coraz trudniej. Litery tańczyły mi przed oczami, Mentine. Wciąż tak jest. Nie układają się w słowa, a słowa nie łączą się w zdania. Nic, tylko migają mi przed oczami.

Pociągnęła nosem i otarła policzki złachanym rękawem.

– Mathilde ma rację. Prawie w ogóle nie chodziłam do szkoły. Jestem głupia i zawsze już taka będę.

– Wielu głupich ludzi potrafi doskonale czytać – zauważyła Clementine. – To o niczym nie świadczy. Spójrz tylko na Mathilde!

Sophie roześmiała się, a ten dźwięk rozgrzewał chłodne kredowe ściany.

– Ona nie jest głupia, jest mądra – zauważyła. – Ale podła. Boże, jaka podła! Jak myślisz, dlaczego?

Clementine wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Była już taka, kiedy tu

przyjechała poprzednim razem i wszystko zepsuła.

– Co się wtedy wydarzyło, Mentine? – spytała Sophie, zapominając o własnej niedoli. – Między wami?

Z gardła Clementine wydobył się niski pomruk.

W tym mruczeniu jest coś dziwnego, pomyślała Sophie. Zauważyła już wcześniej, że choć zaczynało się niewinnie, rosło w siłę i prowadziło Clementine do miejsca, gdzie nikt nie był w stanie za nią podążyć. Jej wzrok stawał się nieobecny, a twarz zmieniała w bladą, nieruchomą maskę. W jednej chwili była tu razem z tobą, a sekundę później zniknęła w obłoku mgły.

– Mentine – szepnęła Sophie, delikatnie szarpiąc ją za rękaw – wróć.

Mruczenie ustało i twarz Clementine ożyła, jednak jej oczy pozostały pełne grozy i bólu. Po chwili mgła znowu opadła i w piwnicy dał się słyszeć znajomy odgłos.

– Wróć do mnie, Mentine – nalegała Sophie, ściskając dłoń siostry. – Jestem tu. Już dobrze. Jestem tu. – Tym razem, gdy mgła się podniosła, Sophie była gotowa. Wytrzymała nieprzytomne przerażone spojrzenie siostry i wbiła w jej twarz nieustępliwy wzrok. Chwilę później jeszcze mocniej ścisnęła dłoń Clementine, błagając w duchu, by mgła odeszła i zabrała z sobą to przekłete mruczenie. Usta Clementine zadrżały, jak gdyby walczyła z samą sobą, i w piwniczce zapadła cisza.

Sophie puściła dłoń siostry i oparła się o chłodną, kredową ścianę. Podciągnęła kolana pod brodę, objęła je rękami i czekała.

– Całe życie – rozległ się w ciemnościach głos Clementine – myślałam, że poślubię Benoit Geoffroya.

Oto jej niespełnione marzenie; ciśnięte na wiatr, zawisło w powietrzu niczym latawiec, który utknął na drzewie. Co takiego było w tych beczkach, że zmieniały się w konfesjonał?

– Problem w tym, że niczego w tym względzie nie zrobiłam – ciągnęła po chwili, wruszając ramionami, jak gdyby zdziwiła ją własna głupota. – Po prostu o tym myślałam. Tak, jak inni ludzie myślą: „Pewnego dnia pomaluję kuchnię” albo: „Pewnego dnia przesadzę to zdrewniałe geranium”. Uważałam, że nie muszę

poświęcać tej sprawie wyjątkowej uwagi, bo wcześniej czy później się tak stanie. Mieszkaliśmy obok siebie, wykonywaliśmy tę samą pracę i oboje kochaliśmy nasze winogrona, winnice i szampana. Dom Geoffroy też robi dobrego szampana. Nie jest tak doskonały, jak nasz – my mamy trochę więcej słońca i krzaków pinot noir, i bardziej zróżnicowaną glebę. Ale razem kto wie, czego moglibyśmy dokonać. Nasze małżeństwo było czymś naturalnym, oczywistym. Przynajmniej tak mi się zdawało. Nie spieszyłam się. Siadywaliśmy razem na zboczach, w miejscach osłoniętych od wiatru, czekając na odpowiednią chwilę.

Zadziwiające, z jaką łatwością mówiła o czymś, o czym nie mogła nawet myśleć. Co więcej, to wyznanie przyniosło jej nieoczekiwaną ulgę, jak gdyby ktoś litościwie spuścił powietrze z przepelnionego balonu, jakim przez ostatnie lata stało się jej serce.

– Wówczas pojawiła się Mathilde. – Głos Clementine przycichł i stał się beznamiętny; balon ponownie wypełnił się powietrzem. – Matka przysłała ją do nas, kiedy zaczęła sprawiać problemy w domu, nawet wtedy była nie do zniesienia. Kiedy zauważyła, że czuję coś do Benoit... – Wielka łza wypłynęła spod jej rzęs i potoczyła się po policzku – po prostu go wzięła. Pewnego popołudnia, kiedy byłam pewna, że Benoit i ja niebawem będziemy razem, wypatrzyła go pośród winorośli, poszła tam i wzięła go. Odłożyłam sobie butelkę Bollinger Vieilles Francaises, rocznik 75. To był naprawdę dobry rok. Trzymałam ją na... nieważne, w każdym razie przywlokłam ją tutaj – ciągnęła posępnie – i wypiłam. Smakował niczym płynne złoto, pamiętam, ale i tak myślałam, że umrę. Później wypiłam go jeszcze więcej, co było kompletną głupotą. To wspaniałe wino, przyrównują je zwykle do Blanc de Noirs Bollingera... Ależ byłam głupia, takie marnotrawstwo.

Sophie w ciszy czekała na dalszy ciąg opowieści.

– Później, kiedy było już ciemno – szepnęła w końcu Clementine – poszłam i odnalazłam go.

– Benoit?

Pośród skąpanych w mroku ścian jeszcze raz rozległo się ciche

mruczenie, jednak Sophie chwyciła dłoń siostry i ścisnęła, jak gdyby chciała ściągnąć Clementine na ziemię i przywrócić jej świadomość.

– Już dobrze, Mentine – szepnęła. – Już dobrze.

– Wcale nie jest dobrze – wykrzyknęła Clementine, a po jej gładkich, różowych policzkach potoczył się sznur łez. – Nigdy nie było.

– Co się stało?

– Benoit! Poszłam i znalazłam go w winiarni Geoffroyów. Pił rocznik 83; nie najlepszy, ale też nie najgorszy.

– I co zrobiłaś?

– Nawrzeszczałam na niego. Ja, która nigdy nie miałam odwagi, by zamienić z nim choćby słowo! Nawymyślałam mu od ostatnich. Przeklinałam. Wściekłam się, że tak łatwo dał się nabrać na sztuczki Mathilde. To było takie oczywiste, takie pospolite. A ona taka młoda! Tak piękna! Wszystko wydawało się takie... niesprawiedliwe.

– A później? – A później...

Ach, jakże bolesne były wspomnienia wyciągane na światło dzienne po tylu latach. Serce tłukło jej się w piersi, a umysł, tak zubożniały przez długi czas, płatał kolejne, okrutne figle. Teraz bowiem, gdy przypomniła sobie tamtą straszliwą noc, kiedy poszła do niego i wyciągnęła ręce, błagając, by zrobił z nią to samo, co zrobił z jej siostrą, nie była już tą samą, niewinną dwudziestosześcioletką, która wtedy zrzuciła ubrania i rzuciła się na Benoit, lecz czterdziestoczteroletnią kobietą, z ciałem obwisłym i pomarszczonym niczym stary worek, a na jej twarzy brutalnie odcisnął swoje piętno zawód miłosny.

– Zrobił to? – spytała szeptem Sophie.

Clementine pokiwała głową, zaciskając drżące usta, jak gdyby za wszelką cenę chciała odzyskać nad nimi kontrolę.

– A później? – dociekała Sophie. – Następnym razem?

– Nie było następnego razu! – Tak gwałtownie potrząsnęła głową, że łzy rozprysnęły się wokół jej twarzy niczym łuki wodne oglądane w zwolnionym tempie. – Nigdy więcej z nim nie

rozmawiałam! – krzyknęła. W kącikach jej ust błyszczały strużki śliny.

– Tak mi było wstyd. To takie straszne. Takie okropne. A później... następnego dnia...

– Co się wydarzyło następnego dnia?

– Zastanawiałam się długo i pytałam samą siebie, ale wierz mi, nie było innego wyjścia. Popatrz na mnie! – zawołała, wskazując żałośnie na swoje piersi. – Tylko na mnie spójrz! To by się nigdy nie stało, gdyby Mathilde tu nie przyjechała. Nigdy!

Sophie jeszcze mocnej uściśnęła dłoń siostry, starając się złagodzić jej cierpienie, uspokoić ją.

– Wszystko z tobą w porządku, Clementine – szepnęła. – Naprawdę. Jesteś dziesięć razy bardziej kobieca od Mathilde.

– Powiedziałam Olhderowi – płakała Clementine.

– O tobie i Benoit?

– Nie. O Mathilde i Benoit. Pamiętaj, że miała dopiero siedemnaście lat. W dzisiejszych czasach to pewnie nic takiego, ale wtedy, w takiej dziurze romans dwudziestosześcioletniego mężczyzny i nastoletniej dziewczyny to była hańba dla rodziny i skandal. Mathilde natychmiast została odesłana do domu. Ja ukrywałam się przed Benoit, bo wstydziłam się tego, co zrobiłam. Wciąż jednak myślałam, że wszystko się ułoży i w końcu będziemy razem, kuchnia zostanie pomalowana, a ja przesadzę geranium. A kiedy tak marzyłam, on poślubił Odile Joliet. Jego ojciec nalegał. Tak mówili, ale czy to ważne? Liczyło się to, że nie chciał mnie. Koniec końców, nie zostałam jego żoną. Nigdy nie miałam nią zostać.

– A Amelie? – spytała Sophie. – Dziecko?

Clementine na długą chwilę pogrążyła się w milczeniu. Wystarczyło jednak, by myśl o maleńkiej, różowej istotce pojawiła się w jej głowie, a została już tam na dobre.

– Sama o niczym nie wiedziałam, prawie do ostatniej chwili – odparła w końcu. – Ale wtedy było za późno, by powiedzieć o wszystkim Benoit. On i Odile wzięli już... Poza tym, jak mogłam mu powiedzieć? Jakimi słowami? Dlaczego miałby mnie

wysłuchać? W końcu OlMer przyszedł mi z pomocą – głos jej się załamał – tej nocy, kiedy się urodziła i wówczas, gdy oddawałam ją obcym ludziom. Chyba jakiemuś małżeństwu z Bordeaux, winiarzom. Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat.

– Ach, Clementinewestchnęła Sophie, czując jak serce jej pęka, a łzy cisną się do oczu. – Tak mi przykro.

Wówczas po raz pierwszy dotarło do Clementine, że nie tylko ona może czuć się podle i nie tylko jej było ciężko. Kiedy to pojęła, poczuła ukłucie bólu na myśl o tym, jak bardzo ciążył Sophie jej własny, mroczny sekret. Wszystko to razem sprawiło, że Clementine zadrżała. Sophie obróciła się, uklękła, objęła siostrę i z całej siły przytuliła do siebie. Zacisnęła powieki z nadzieją, że Clementine kiedyś przekona się o tym, co ona sama wiedziała już od dawna: że wszystko, co złe, kiedyś mija, że gdzieś za nieprzeniknionym murem ciemności jest światło, i że tam życie może być już tylko lepsze.

Gość

Mijały kolejne słoneczne dni, w czasie których winnice stawały się coraz bujniejsze, spowijając wzgórza Marny niczym soczyście zielony, aksamitny płaszcz. Winogrona były tak nabrzmiące, słodkie i soczyste, jak te w pamiętnym roku 76, który wspominało z tęsknotą i rozrzewnieniem. Zważywszy na sprzyjające warunki, winiarze w Szampanii byli w doskonałych nastrojach. Jeśli w najbliższych tygodniach nie przyjdą gwałtowne burze – o których mówiono wyłącznie przyciszonym głosem – lub grad, winobranie zapowiadało się doskonale.

Naturalnie żadna z tych klęsk nie miała większego znaczenia dla Mathilde. Jeśli o nią chodziło, winogrona mogły zmienić kolor na różowy i pogwizdywać sobie „Dixie”. Nie interesowały jej owoce ani nawet bąbelki, ale postęp, jaki poczyniła w związku z uporządkowaniem spraw winnicy Peine’ów.

Zebranie niezliczonych dokumentów i posegregowanie rachunków było wyjątkowo nudne, jednak stanowiło wyzwanie i pozwalało zapomnieć o tym, co ją trapiło.

Odniosła też pierwszy sukces w banku w Epernay, rozładowując napięcia finansowe rodzinnej firmy i tuszując przekroczenie limitu konta, gdy dosłownie zawróciła w głowie dyrektorowi banku. Ten gotów był natychmiast zabrać ją do Paryża, do dyskretnego, małego hoteliku na Montmartrze, a Mathilde dała mu do zrozumienia, że mogłaby przystać na tę propozycję. Ten naiwny biedak nie podejrzewał, że jeśli Mathilde zdecyduje się z nim wyjechać, będzie to oznaczało, że już nie potrzebuje jego pomocy, a wtedy jako mężczyzna stanie się dla niej kompletnie bezużyteczny. Możliwe, że nadejdzie taki dzień, kiedy będzie dokazywał cudów pośród białych, szeleszczących prześcieradeł, słuchając dzwonów Sacre-Coeur, tylko że musi sobie znaleźć nie tak przebiegłą partnerkę.

Było ciepłe popołudnie, kiedy wróciła z zadziwiająco udanej wyprawy do Reims, gdzie podpisała umowy z pięcioma różnymi restauracjami i trzema sklepami z winem na dostawę szlacheckiego

szampana Domu Peine i tradycyjnego bruta.

Na trudne negocjacje przygotowała sobie strój z największą starannością: spódnica krótka, ale nie nazbyt krótka, ta sama jedwabna bluzka, która wprawdzie nie zrobiła wrażenia na Benoit, ale doskonale podkreślała jej biust, a także szpilki, dzięki którym żaden prawdziwy mężczyzna nie był w stanie oderwać oczu od jej kostek. Spędzone przed lustrem dwie, długie godziny, sprawiły, że wyglądała pięknie, a kilka kropel ulubionych perfum Clive Christian, idealnie dopełniło całości.

Na początku tygodnia pojechała pociągiem do Paryża, żeby ufarbować i uczesać włosy. Zajrzała też do biblioteki, gdzie znalazła artykuły dotyczące Domu Peine z czasów jego świetności. Przygotowała sobie mowę na temat rodzinnych tradycji i ich odrodzenia i wydała fortunę na laminowane portfolio, ukazujące wyidealizowaną na potrzeby sytuacji historię rodu Peine'ów, okraszoną licznymi cytatami (bez dat), które znalazła w profesjonalnych pismach dla winiarzy. Na szczęście Olivier skrupulatnie przechowywał notatki z każdej degustacji. Było to dziwne, zważywszy na bałagan, jaki panował w pozostałych dokumentach. Buszując w maleńkim, zagraconym gabinecie, Mathilde znalazła zapiski w starym, okutym kufrze, przykrytym płachtą materiału, która mogła uchodzić za końską derkę. To wielkie odkrycie stało się tym cenniejsze, że oznaczało, iż jej kontakty z Clementine ograniczą się do prośby, by przed wizytą w mieście przygotowała kilka butelek szampana, który najlepiej oddawał ducha winnicy.

Dostrzegła, jak twarz Clementine zmarszczyła się niczym powierzchnia stawu w wietrzny dzień; a ona sama zapewne z przyjemnością zaproponowałaby siostrze, by skoczyła z dachu. Od czasu gdy Mathilde wspomniała o Odile, prawie ze sobą nie rozmawiały, jednak Dom Peine był dla Clementine zawsze na pierwszym miejscu. Zawsze. Mathilde wiedziała o tym, dlatego nie zaskoczył jej widok dwudziestu butelek najprzedniejszego gatunku szampana, które czekały na nią u podnóża schodów.

Jak się okazało, starania z fryzurą, ubraniami, najdroższymi

perfumami świata, a nawet laminowanym portfolio, okazały się niepotrzebne. Kupcy wprawdzie ślinili się i oblizywali usta, jednak nie na widok długich, smukłych nóg, czy głębokiego dekoltu Mathilde, lecz na widok etykiety, na której widniało napisane złoconymi literami nazwisko „Peine” oraz wizerunek domu z czasów świetności.

– W końcu! – wykrzyknął kelner, podając wino w Le Millenaire. – Peine wrócił! Och, ma pani rocznik 99? Ależ proszę, przyniosę kieliszki.

Tak samo wyglądały następne spotkania, w czasie których Mathilde nie musiała właściwie otwierać ust. Szampan mówił za nią. W ciągu swojej kariery pracowała z wieloma prestiżowymi klientami, jednak rzadko kiedy zdarzał się produkt, który wymagał tak niewielkiej reklamy.

Oszołomiona sukcesem Mathilde, wróciła do domu w doskonałym humorze. Była jednak zmęczona, spocona – szyberdach w *dewc chevaux* fatalnie sprawował się w roli klimatyzacji – i marzyła o długiej kąpieli oraz kieliszku czegoś z dużą ilością lodu.

Te piękne plany legły jednak w gruzach, bo gdy otworzyła drzwi do sypialni, zastała w swoim łóżku drobną, ciemną, pomarszczoną staruszkę. Nieznajoma karmiła czekoladkami Świnka, który – jak zauważyła zszokowana Mathilde – leżał skulony na peniuarze z La Perłą.

– Co się tu, do cholery, dzieje? – wrzasnęła, wpadając do pokoju i widząc, że ktoś grzebał w jej walizce i szafie. – Kim jesteś, do diabła?

Kobieta była z pewnością bardzo stara. Jej skóra wydawała się tak przeraźliwie wyschnięta, że wyglądała jak popękany, olejny obraz. Sądząc po malutkiej pomarszczonej twarzy, nieznajoma była drobnej budowy, jednak liczne warstwy ubrań nie pozwalały na właściwą ocenę. Miała długie, siwe włosy, splecione z tyłu głowy w dziwaczny warkocz, który lśnił od tłuszczu niczym gruba, przemysłowa lina. Mathilde była kompletnie zdumiona widokiem staruszki, siwa kobieta natomiast przyjęła jej

pojawienie się ze stoickim spokojem. Na chwilę oderwała wzrok od swojego towarzysza, spojrzała na Mathilde, po czym wyciągnęła rękę ponad krawędzią łóżka i podała zwierzakowi kolejną czekoladkę.

– Słyszałaś? Pytałam, co się tu, do cholery, dzieje?

Mimo złości Mathilde nie za bardzo miała ochotę podejść bliżej, jako że staruszka bynajmniej nie pachniała różami. Tak więc przystanęła w nogach łóżka, krzyżując ręce i wbijając pełne nienawiści spojrzenie w nieznaną. Fala wściekłości i nagłego gorąca podeszła jej do gardła.

– Mathilde, prawda? – odezwała się kobieta.

W jej śpiewnym akcencie pobrzmiwała nuta dalekich, egzotycznych miejsc i Mathilde potrzebowała chwili, by odgadnąć własne imię.

– Nie przywiozłaś ich ze sobą? – spytała nieznaną.

– Co takiego? – zakpiła Mathilde. – Leżysz w moim łóżku, starucho, i chcę, żebyś się z niego wyniosła.

– Teraz to moje łóżko – odparła z uśmiechem tamta, odsłaniając nieliczne zęby. – Znajdź sobie inne. Mnie się nie spieszy; dopiero tu przyjechałam. A ty powinnaś była ich przywieźć.

– Niczego nie będę szukać – warknęła Mathilde. – To moje łóżko. Mój dom!

– Przecież masz jeszcze drugi – zarechotał pomarszczony gargulec. – A w nim dwoje ludzi, którzy powinni tu być.

Mathilde zamarła. Kto przysłał tu tę starą wiedźmę?

– Ta gruba krowa namówiła cię do tego? – spytała z wściekłością. To musiała być robota Clementine. Z pewnością nie był to George. Nie miał aż takiej wyobraźni; poza tym, po co miałyby to robić? – Kim jesteś, do cholery? – spytała po raz kolejny.

– Nie, Mathilde – odparła staruszka. – Właściwe pytanie brzmi, kim, do cholery, jesteś ty?

Mathilde otworzyła usta, nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk. Dokuczliwe uczucie, które od jakiegoś czasu drażniło jej

żołądek, uderzyło z taką siłą, że kolana zaczęły jej drżeć, a ona sama przysiadła na rozklekotanym krześle, opierając się ręką o ścianę.

– Jeśli choć trochę przypomina ciębie z młodzięcych czasów, nie dziwię się, że uciekłaś – ciągnęła staruszka, przegryzając czekoladkę, zanim podała ją Świnkowi. – Ale to nie jest odpowiedź. Nie powinno się tak robić. Taka bystra kobieta jak ty musi to wiedzieć, co? O to, co najcenniejsze, zawsze trzeba walczyć. Takie rzeczy nigdy nie przychodzą same. Dobry, mały konik. Masz, spróbuj tej. Z własnego doświadczenia wiem, że nie są tanie. Jak myślisz, czy to truskawkowa? – Obróciła w palcach zjedzoną do połowy czekoladkę z jasnoróżowym nadzieniem, jednak Mathilde wciąż milczała. – Nie chcę truskawkowej – mruknęła kobieta, wycierając nos w poszwę. – Prawdziwe truskawki to co innego.

Mathilde zerwała się z krzesła, wybiegła z pokoju i pognęła schodami w dół. Kim jest ta stara wiedźma? Skąd o wszystkim wiedziała? Przetrasnęła kuchnię w poszukiwaniu anyżówki, naląła sobie dużą szklaneczkę i wychyliła ją, czekając, aż alkohol zacznie działać i złagodzi panikę. I czy w ogóle cokolwiek wiedziała? Wychyliła następną szklaneczkę. Może to jakiś straszliwy zbieg okoliczności? Ta pomarszczona stara śliwka mogła być kompletnie obłąkana. Tak, tak właśnie musi być. Inaczej po co włąziłaby do cudzego łóżka i karmiła tego małego, wstrętnego potwora wybornymi czekoladkami Fauchon? Na pewno była szalona. W łóżku Mathilde leżała czyjaś zidiociała babka, która na pewno uciekła z domu dla starców, albo – co gorsza – z pobliskiego szpitala dla wariatów. Przecież wygadywała kompletne bzdury. Nie było w nich ani krzty prawdy. Poza tym starucha dopuściła się kradzieży z włamaniem, co sprawiło, że dłonie Mathilde drżały nawet po tym, jak wychyliła kolejną szklaneczkę.

Rechotliwy śmiech i dobiegający z góry stukot końskich kopyt sprawiły, że podskoczyła ze strachu. Chwilę później odstawiła szklanę z taką siłą, że szkło pękło na dwie równe części. Przez

moment spoglądała ze zgrozą na swoje dzieło, starając się opanować galopujące myśli. W końcu obróciła się na pięcie i wybiegła z domu, wskoczyła do przegrzanego, pordzewiałego samochodu i wzbijając tumany kurzu, ruszyła ku wzgórzom.

La Petite

Olementine i Sophie były w winnicy na stromym zboczu za Saint Vincent. Clementine, sprawdzała właśnie zawartość cukru w winogronach, to znaczy wkładała je do ust (w tej chwili był to pinot noir; ach, cóż za cudowny smak!) i uczyła Sophie, jak przycinać liście i obrywać niedojrzałe owoce, tak by nie uszkodzić zdrowych i dorodnych.

Przerwały pracę, gdy na ścieżce pojawił się samochód. Zatrzymał się, a chwilę później wyskoczyła z niego Mathilde, która niczym czapla zaczęła brodzić wśród wysokich traw i fiołków rozsianych wokół stóp świętego Wincentego.

– Musisz natychmiast wrócić do domu! – zawołała do Clementine. – W moim łóżku jest stara, pomarszczona wiedźma i musisz ją wyrzucić.

– Biedna pijaczka, znowu łyknęła sobie anyżówki – mruknęła Clementine do Sophie. – Ściga nas, żeby wyładować na kimś złość. Wróć, kiedy wytrzeźwiejesz – odkrzyknęła.

Nie była w stanie zrozumieć przekleństw, którymi Mathilde skwitowała jej słowa, wzruszyła więc tylko ramionami i poszła dalej wąską ścieżką, zrywając dojrzały, soczysty owoc, usunęła skarłowaciałą kiść i czekała na ryk silnika.

– Spójrz – mruknęła Sophie, wskazując sekatorem. – Idzie tu. Przystanąły obie, patrząc jak Mathilde pokonuje w szpilkach kolejne partie wzniesienia. To dopiero był widok; krótka spódniczka i patykowate nogi maszerujące po stromym, nierównym zboczu. Clementine ze zdziwieniem zauważyła, że pod pachami Mathilde i na przodzie jej wytwornej bluzki widniały ciemne plamy. Któż mógłby przypuszczać, że Mathilde w ogóle się poci!

– Na litość boską, to też twój dom! – wy dyszała Mathilde, kiedy kompletnie potargana dotarła na wzgórze. – Pomyślałam, że chociaż tyle powinno cię obchodzić, ty bezużyteczny obrzydliwy grubasie!

– Przebyłaś całą tę drogę tylko dlatego, że czegoś ode mnie

chcesz, więc nie mogę być aż tak bezużyteczna, prawda? Ale niepotrzebnie, bo nieważne, o co ci chodzi, odpowiedź brzmi „nie”. To za nazwanie mnie obrzydliwym grubasem.

Fakt, że stała tu z Sophie, mając wokoło ukochane winogrona, dodawał Clementine animuszu. Czuła to i podobał jej się taki stan.

– Na rany Chrystusa, nie chodzi o to, że jesteś grubasem – zaprotestowała Mathilde. – Tu chodzi o...

Jednak Clementine obróciła się na pięcie.

– Chodź, Sophie. Nie musimy tego słuchać. Robota czeka. Manekin może wrócić, jeśli zacznie liczyć się ze słowami.

„Manekinowi” nie spodobały się te słowa: Mathilde wyglądała na wyjątkowo wściekłą i szykowała się do wygłoszenia wyjątkowo soczystej wiązanki.

– Możesz nie dbać o jakąś cuchnącą, starą wiedźmę, która zajmuje moje łóżko, ale mnie to obchodzi, a co gorsza, ona karmi tego twojego tłustego kurdupła moimi paryskimi czekoladkami!

Sophie wtuliła głowę w ramiona i przygotowała się na prawdziwą batalię. Mathilde nigdy nie próbowała rozzłościć Clementine docinkami na temat Świnka, być może dlatego że inne uwagi okazywały się wystarczająco kąśliwe.

– Czy możesz mi wyjaśnić, co takiego zrobił ci ten zwierzak? – wybuchnęła Clementine, urażona faktem, że Świnek zniknął bez jej wiedzy. Przecież był tu jeszcze przed chwilą!

– Poza wylegiwaniem się na mojej bieliźnie, sraniem gdzie popadnie i swoją kurdupłowatą, bezcelową egzystencją, nic!

– Jesteś naprawdę podła! – wycedziła Clementine przez zaciśnięte, zbielejące usta. – Chodź, Sophie. Zejdźmy nad rzekę. Pinot noir zasługuje na więcej uwagi.

Jednak Mathilde zastąpiła jej drogę.

– Pieprzyć pinot noir! – warknęła. – Pieprzyć twojego głupiego konia! W moim łóżku jest jakaś starucha i masz ją stamtąd usunąć!

– Jaka starucha? – Sophie była wyraźnie zaintrygowana.

– Naprawdę, Mathilde, nie powinnaś popijać przed trzecią – odparła Clementine przeciskając się obok siostry. – Masz

przywidzenia. W domu nie ma żadnej kobiety, o której bym... – Zamilkła. – O jakiej staruszce mówisz?

– A ile ich jest? – oburzyła się Mathilde. – Ma z tysiąc lat i cuchnie jak kompost.

– Czy ma długi, siwy warkocz?

– Tak! Bóg jeden wie, co się w nim załęgło! I leży w moim łóżku! Myślę, że może nawet ma na sobie moją koszulę! Kim ona jest, do cholery?

Clementine chyba знаła kogoś, kto odpowiadał temu opisowi.

– La Petite – mruknęła. Ale La Petite pojawiała się dzień przed winobraniami, nigdy, nigdy wcześniej. A przecież dopiero próbowała owoców chardonnay. To one dojrzewały pierwsze i potrzebowały jeszcze tygodnia. – Dziwne.

– Kim jest La Petite? – Sophie była coraz bardziej zaintrygowana. – Co jest dziwne?

– Oprócz starej więdźmy, która gnije w moim łóżku, a co gorsza, w mojej ulubionej pościeli od Frette'a? – warknęła Mathilde.

Clementine zignorowała jej słowa.

– *La Petite Noix* – wyjaśniła najmłodszej siostrze. – Mały Orzech.

Idealne imię – nawet Mathilde musiała przyznać – dla starowinki, która rzeczywiście wyglądała jak pomarszczony orzech włoski. Jednak już dawno temu skrócono je do La Petite.

– To zbieraczka winogron – ciągnęła Clementine.

Jednak staruszka była kimś więcej. Kimś znacznie więcej. Odkąd Clementine sięgała pamięcią, La Petite i jej wielopokoleniowa rodzina rumuńskich Cyganów (a może pochodzili z Litwy? Nikt nie był pewien, nawet oni sami) zjeżdżali do winnicy Peine'ów na winobranie.

Nikt nigdy nie zdołał pojąć, skąd wiedzieli, ale pojawiali się dokładnie na czas, pracowali przez tydzień lub dziesięć dni, po czym znikali bez śladu. Wracali po roku, zawsze w tej samej liczbie, choć wśród starych znajomych widziało się nowe twarze. Czasami brakowało któregoś z mężów, a zamiast niego pojawiał

się kuzyn, matka opiekowała się noworodkiem, podczas gdy najstarsza córka po raz pierwszy brała udział w winobranii. Jedyłą osobą, która wracała tu co roku, była La Petite, królowa tej gromady, maleńka, pomarszczona, pełna energii i intuicji.

Gdzie się podziewali, zanim zjawili się w Szampanii? Ktoś kiedyś powiedział, że byli w Bordeaux. Gdzie znikali po winobranii? Clementine nie miała pojęcia. Całe swoje życie znała La Petite, nie pamiętała jednak, by kiedykolwiek doszło między nimi do jakiegokolwiek rozmowy. Nie było to takie dziwne, przecież świat pełen był ludzi, z którymi nie zamieniła nawet słowa – i nie chodziło o wielki, szeroki świat, ale ten najbliższy, tuż za progiem. Do chwili gdy w jej życiu pojawiła się Sophie, Clementine nie miała w zwyczaju rozmawiać z ludźmi.

Ale Olivier zawsze miał słabość do La Petite. Potrafili szeptem rozmawiać do późnej nocy, zanim zaczął spędzać całe dnie w Le Bois. Zresztą Clementine była pewna, że również tam spotykał się ze starą Cyganką. Wyglądało na to, że ojciec zawsze miał staruszcze wiele do powiedzenia, choć ciężko było odgadnąć, o czym tak naprawdę rozmawiali.

Ale żeby tak nagle pojawiła się w łóżku Mathilde? Bardzo dziwne. Nigdy przedtem nie mieszkała w ich domu. Zwykle rozkazywała, by jedno z dzieci zbudowało jej maleńką chatkę w głogowym zagajniku nieopodal figury świętego Wincentego. Bratanek lub kuzyn bratanka wyjaśnił kiedyś Clementine, że lubiła przebywać w towarzystwie tak zacnej i świętej osoby.

– Ona jest obrzydliwa! – jęczała Mathilde. – I szalona! Kompletnie obłąkana! Opowiada różne bzdury. I karmi twojego głupiego świnka moimi czekoladkami!

– Co takiego mówi?

– Kogo to obchodzi – warknęła Mathilde. – Chcę tylko, żeby ta bezzębna, stara wiedźma zniknęła z mojego pokoju, więc idź i zrób z nią coś.

Clementine dotknęła palcem podbródka i zerknęła w niebo, jak gdyby poważnie rozważała propozycję.

– Nie – odparła w końcu. – Zrób to sama. Ja nie mam z tym nic

wspólnego. Poza tym nie interesuje mnie, kto śpi w twoim pokoju. Jeśli o mnie chodzi, La Petite może tam zostać na zawsze.

Prawdę powiedziawszy, stara Cyganka budziła w Clementine nieufność, jeśli nie lęk. Krążyły o niej rozmaite plotki. Nawet inni Cyganie rozmawiali ściszonymi głosami o jej „złym oku”. Mówili, że wiedziała rzeczy, o których prawdopodobnie nikt nie wiedział i prawda to czy nie, Clementine niejednokrotnie miała okazję poczuć na sobie gorące spojrzenie czarnych niczym rodzynki oczu. Niezależnie od drzemiących w staruszcze mocy i jej talentów La Petite miała w sobie coś tajemniczego. Clementine zdecydowanie nie chciała jej zdenerwować. Mówiła jak najbardziej poważnie: jeśli La Petite upodobała sobie sypialnię Mathilde, pokój był jej.

– Och, Mentine, proszę, nie możesz nic zrobić? – Głos Mathilde zabrzmiał tak słodko i przymilnie, a ta zmiana była tak nagła, że Sophie z trudnością powstrzymywała śmiech. – Wróciłam właśnie z Reims, dostałam tyle zamówień na twojego szampana, że jestem wykończona. Nie wiedziałam, że jesteś tak ceniona. Restauratorzy i handlarze winem dosłownie rozpływali się w zachwytach nad twoim szampanem. Doprawdy, jesteś taka zdolna.

– Zrób to sama – powtórzyła Clementine, nie dając się zwieść pochlebstwom. – Już ci powiedziałam; nie mam z tym nic wspólnego.

– Ty bezczelna, gruba krowo! – wrzasnęła Mathilde. Odwróciła się na pięcie i chwiejnym krokiem ruszyła do samochodu. – Mam nadzieję, że ten twój głupi pokurcz dostanie cukrzycy. I dlaczego wyrzucasz te winogrona? To są pieniądze, wiesz? Nie po to dotykam pod stołem kolana tego idioty z banku, żeby takie dwie bezużyteczne fladry, jak wy, to wszystko zaprzepaściły!

Zaskoczona Clementine otworzyła usta ze zdziwienia. Oczywiście sprzedawcy win zawsze lamentowali, widząc, jak winiarze zrywają niewyrośnięte owoce, by pozwolić dojrzewać innym. Była to odwieczna walka jakości z ilością, która rozgrywała się w winnicach całego świata. Po prostu Clementine

nie spodziewała się, że jej średnią siostrę w ogóle to obchodzi.

O la la!

Kiedy wczesnym wieczorem Clementine i Sophie wróciły do domu, Mathilde siedziała u podnóża schodów. Miała morderczy wyraz twarzy a w dłoni ścisnęła pustą szklankę.

– Ta stara maciora nie chce mnie wpuścić do pokoju – warknęła. – Na litość boską, Clementine, zrób coś!

Clementine bez przekonania zerknęła na piętro. Sophie również.

– A jeśli nie ty, każ niech twój żalosny, mały cień zrobi to za ciebie. Najwyższy czas, żeby ta niedorajda na coś się przydała.

Clementine spojrzała na swój żalosny, mały cień i poczuła nagły przypływ takiej czułości, że nie wytrzymała: uśmiechnęła się jasnym, szerokim uśmiechem, który wygładził jej zmarszczki i odjął dziesięć lat.

Uradowana tym widokiem Sophie natychmiast odwzajemniła uśmiech.

– W porządku – odparła radośnie. – Zrobię to. – Po tych słowach lekko niczym piórko wskoczyła na schody i pokonując po dwa stopnie naraz, ruszyła na górę.

Chwilę później stanęła na korytarzu, przed sypialnią Mathilde i najdelikatniej, jak mogła zastukała do drzwi. Kiedy stanęły otworem, ujrzała La Petite, która siedziała na łóżku i skrapiała się najlepszymi perfumami Mathilde. Świnek leżał wśród zmiętej pościeli, z pyskiem na poduszce.

– O, najmłodsza! – zapięła z zachwytem La Petite. – Ależ proszę, wejdz. Siadaj. Zawsze chciałam cię poznać.

Sophie była kompletnie oszołomiona.

– Mnie? – spytała, patrząc za siebie, jak gdyby chciała sprawdzić, czy w drzwiach nie stoi któraś z sióstr.

– Oczywiście, że ciebie – odparła La Petite, poklepując łóżko powyginaną, pomarszczoną dłonią.

– Wiesz o mnie? – spytała Sophie, siadając dokładnie tam, gdzie wskazała staruszka.

Świnek, który zajmował drugą połowę łóżka, podniósł łeb,

zerknał na dziewczynę i z cichym westchnieniem opadł na poduszkę. Był umazany czekoladą i wyraźnie ucieszony z tego, jak minęło mu popołudnie.

– Naturalnie – odparła La Petite. Mówiąc to, wyciągnęła szponiasty palec i pogładziła Sophie po podbródku. Jej pomarszczona dłoń była dużo bardziej delikatna, niż mogła się wydawać, a w czarnych oczach błyskały figlarne ogniki. – Przypominasz mi swoją babkę – ciągnęła miękko głosem. – Miała takie samo serce.

Sophie nie była w stanie ukryć zaskoczenia. Poczowała łyzy pod powiekami. W wieczornym świetle jej oczy wyglądały niczym bezdenne, lawendowe jeziora, co wywołało uśmiech na twarzy staruszki. Sophie bardziej przypominało to grymas wywołany ciężką niestrawnością (zwłaszcza że skrzywieniu towarzyszyło solidne beknięcie), a jednak od razu poczuła przypływ życzliwości i całym sercem zaufała staruszce.

– Nic nie wiem – odparła, jękając się w pośpiechu. – O żadnym z nich. Kompletnie nic. Moja babka? W życiu nie słyszałam o niej ani słowa. O Olivierze zresztą też. W każdym razie nic pozytywnego. Jaki on był? Czy zawsze był taki... skomplikowany? Wszyscy mi to powtarzają, ale nie jestem nawet pewna, czy wiem, co to oznacza. Czy jestem do niego podobna? Chociaż troszkę?

La Petite machnęła drobną dłonią, by zahamować ten potok słów.

– Powoli, powoli – powiedziała. – Wszystko w swoim czasie. – Dźwignęła się na łóżku, wydając z siebie serię dziwnych dźwięków. – Fasolka! – stwierdziła ze śmiechem, podciągając kołdrę pod brodę i opadając na poduszki. – Było mi przykro, gdy dowiedziałam się, że twój ojciec nie żyje – zwróciła się do Sophie. – Naprawdę. Ale nie współczułam mu. Ani trochę. Czy był taki jak ty? Cóż, myślę, że i on miał kiedyś takie serce. Po prostu nie był wystarczająco odporny. Kiedy Marie-France odeszła... bach, nie wytrzymał. Szkoda, prawda? Ale czasami tak właśnie bywa z prawdziwą miłością. Zobaczył coś w matce twojej średniej

siostry; coś, co mogło go ocalić, ale było już za późno. Twoja matka wniosła do jego życia ostatnią namiastkę szczęścia, ale ona też miała swoje problemy; poza tym, to już historia, prawda? Przez długi czas był samotny i nieszczęśliwy i nie znosił tego dobrze ani nie silił się na uprzejmość. Myślę, że ciężko było z nim wytrzymać, zwłaszcza tej grubej siostrze. Sophie przełknęła łzy.

– Ona wcale nie jest taka gruba – zauważyła lojalnie. – Po prostu niewłaściwie się ubiera.

Zza drzwi sypialni dało się słyszeć stłumione parsknięcie; to Mathilde szturchnęła w żebra podsłuchującą Clementine. Słyszając odgłosy przepychanki, La Petite wybuchnęła gromkim śmiechem, bulgocząc niczym prastary bojler, który w końcu wyzionął ducha.

– To zawsze do nich trafia! – zagdakała radośnie, jak gdyby podpuszczanie korpulentnych sióstr było dla niej chlebem powszednim.

– Wejdz, Mentine. Niech no ci się przyjrzę.

Nie było sensu udawać, że jej tam nie ma, tak więc Clementine najzwyczajniej w świecie wsunęła się do pokoju. Głowę miała spuszczoną, twarz czerwoną niczym burak.

– Witaj, La Petite – burknęła, łypiąc na leżącego wśród pościeli Świnka i posyłając mu własną wersję złego spojrzenia. Kiedy jednak spojrzała na staruszkę, niemal natychmiast zapomniała o ulubieńcu. La Petite była stara, odkąd Clementine sięgała pamięcią, jednak – sądząc po tym, co widziała teraz – ciało Cyganki osiągnęło najwyższy stopień starości. Wydawała się tak drobna – zarówno w łóżku, jak i we własnej skórze – jak gdyby jej część opuściła własne ciało. – Wszystko w porządku? – spytała z autentyczną troską.

– To zależy od tego, co rozumiesz pod pojęciem „w porządku”

– odparła chrapliwym głosem staruszka.

– Ale winobranie... – W głosie Clementine słychać było lęk o nadchodzące zbiory.

– Przykro mi, Mentine. Ja zebrałam już swoje ostatnie owoce – odparła z żalem Cyganka. – Wiedziałam, że to zły znak, kiedy w Medoc spojrzałam na piękną winorośl, uginającą się pod ciężarem

najprzedniejszych *petitverdot*, a marzyłam jedynie, aby przysiąść z fajką pełną tytoniu i filiżanką herbaty z dzikiego bzu. Nie przejmuj się – dodała, widząc zgnębioną minę Clementine – nie zostawię cię na lodzie. Reszta zjawi się tu na czas. Ja jestem nieco wcześniej, bo chciałam odpocząć, a tu mi się podoba. Te prześcieradła są takie miękkie! I może tam, dokąd zmierzam, będzie więcej tych perfum, jak myślisz?

Za drzwiami sypialni rozległ się kolejny, stłumiony dźwięk.

– Tak? – zawołała La Petite, puszczając porozumiewawczo oko do Clementine i Sophie. – W czym mogę pomóc?

Mathilde wpadła jak bomba do pokoju, posyłając siostrom piorunujące spojrzenie.

– Wierzycie we wszystko, co wygaduje ta stara wiedźma? Naprawdę jesteście głupie! – Po tych słowach zwróciła się do La Petite. – Wstawaj i wynoś się!

Wtedy staruszka zmierzyła ją spojrzeniem, które zmieniło gniew w przedziwne uczucie lęku. Od ostatniego drinka minęła już dłuższa chwila, tak więc brawura Mathilde zaczęła powoli przygasać. Mając w pamięci wcześniejszą rozmowę z Cyganką, średnia Peine'ówna zaczęła żałować, że w ogóle weszła do sypialni.

– Twoje obawy są słuszne, droga matko. Istnieje tylko jedno wyjście – zauważyła złośliwie La Petite.

– Widzicie! – Mathilde obróciła ku Clementine rozpaloną twarz.

– Jest szalona! Powinniśmy wezwać policję i wyrzucić ją, zanim znowu zacznie bredzić. Sprowadźmy żandarmów!

– Boisz się tego, co ma do powiedzenia stara kobieta, Mathilde?

– spytała chytrze tamta. – Boisz się, że po raz kolejny przypomnę ci o córce, która czeka w domu i usycha z tęsknoty za matką?

Clementine i Sophie otworzyły ze zdumienia usta i z niedowierzaniem spojrzały na siostrę.

– Masz córkę? – spytała Clementine, czując, że robi jej się

niedobrze.

– Co ty wiesz? – warknęła Mathilde, wlepiając w Cygankę wzrok pełen nienawiści. – Poza tym, ona wcale za mną nie tęskni.

Sophie spojrzała na Clementine i niemal natychmiast odgadła przyczynę jej lęku.

– Ile ma lat? – spytała, jednak Mathilde nie usłyszała pytania. Jej twarz przypominała odrażającą, skwaszoną maskę, a jeden z wypielegnowanych szponów był wymierzony w La Petite.

– Wierzycie szalonej paplaninie tej starej wiedźmy? Jesteście tak samo stuknięte, jak ona!

La Petite teatralnym gestem zaczęła liczyć na wykrzywionych palcach.

– Musi mieć, bo ja wiem, z dziesięć lat. – Clementine i Sophie wymieniły pełne ulgi spojrzenia. To oznaczało, że Benoit nie był ojcem. Na samą myśl o tym, że mogło być inaczej, Clementine omal nie zemdląła. Z niedowierzaniem spojrzała na Mathilde. – Siedzisz tu przez cały ten czas, a w domu czeka na ciebie córka?

– Tak, Edie. I mąż – zauważyła pomocnie La Petite. – Nazywa się George. Olivier opowiedział mi o nich.

Tego było już za wiele.

– Olivier? – spytały chórem.

– Wasz ojciec – odrzekła zaskoczona Cyganka. – Pamiętacie go jeszcze, co? Przystojny. Rudowłosy. Lubił sobie golnąć.

Siostry wymieniły zdumione spojrzenia. Nieczęsto to robiły i cała sytuacja wydała im się dziwna. Mathilde po raz pierwszy zauważyła, że Clementine wyglądała na młodszą, niż była w rzeczywistości. Clementine dostrzegła, że oczy Mathilde miały niespotykany, żółtozielony odcień dojrzałego chardonnay. Sophie stwierdziła, że gdyby Clementine nie była tak pulchna i ruda, a Mathilde tak surowa i chuda, obie byłyby do siebie podobne.

– Z pewnością nie nazwałabym Oliviera przystojnym – rzuciła ni z stąd, ni z owąd Mathilde.

– Rozmawiał z tobą o niej? – spytała Clementine La Petite. Jak to możliwe, że ten podły staruch krzywdził ją tak bardzo nawet po śmierci?

– Ależ naturalnie – odparła La Petite. – I o jej córce. O tobie też – dodała chłodno. – I o twojej córce – dodała po chwili.

Słyszając to, Clementine zatoczyła się do tyłu, Sophie jednak chwyciła ją za ramię.

– Twojej córce? – Tym razem w głosie Mathilde zabrzmiało niedowierzanie. – Chyba żartujecie.

– Daj jej spokój – ostrzegła ją Sophie.

– Skąd, do cholery, wytrzasnęłaś córkę? To znaczy, kto...

– Ani się waź! – ryknęła Clementine. – Słyszysz mnie? Nie waź się! Nie zniosę tego! Po prostu tego nie zniosę! – wrzeszczała histerycznie, wodząc dookoła półprzytomnym wzrokiem i odpychając dłonie Sophie, jak gdyby były natrętnymi komarami.

Przez dłuższą chwilę Mathilde bełkotała coś do Clementine, Sophie bełkotała coś do Mathilde, a Clementine darła się jak szalona. La Petite patrzyła na ten komiczny spektakl, jak gdyby oglądała najśmieszniejszą część ulubionego serialu komediowego.

Wówczas, pośród tego szaleńczego zgiełku, pojawił się najwspanialszy okaz samca, jakiego siostry Peine miały okazję oglądać.

Wraz z jego wejściem w pokoju zapadła głucha cisza.

Mężczyzna miał gładką, mlecznobiałą skórę i lśniące, czarne włosy, które wiły się wokół jego twarzy i sięgały połowy szyi. Był wysoki, miał szerokie ramiona i wąskie biodra, a gdy się uśmiechał, świat mógł podziwiać doskonałe, perłowe zęby i figlarne brązowe oczy, lśniące niczym dyskotekowe kule.

Trzy młodsze zdrowe kobiece serca zamarły, upajając się tym niezwykłym widokiem. La Petite (której serce pamiętało lepsze czasy) patrzyła na to z niebywałym zadowoleniem.

– Witam – przemówił najdoskonalszy samiec świata, obdarzając każdą z sióstr przelotnym i – zdawać by się mogło – specjalnym spojrzeniem. – Nazywam się Hector. Jestem wnukiem La Petite albo coś w tym stylu. – Mówiąc to, spojrział na siedzącą w łóżku, uśmiechniętą staruszkę. – Potrzebujesz czegoś, La Petite?

Siostry Peine, z których każda chciała jak najdłużej cieszyć

oczy owym niebiańskim widokiem, odwróciły się w tym samym momencie, jednak w różne strony, przez co wpadły na siebie, tworząc niezdarną plątaninę rąk i nóg. Clementine weszła na palce Mathilde, na co ta zareagowała, szczypiąc siostrę w pulchny pośladek.

Sophie, niepomna na kotłowaninę, stała w samym jej środku, wybałuszając oczy. Pragnienie, by znaleźć się w ramionach czarnowłosego boga, było tak dojmujące, że krępowała ją obecność tamtych trzech. Wiedziała, że wcześniej, czy później do tego dojdzie. W tej kwestii nie zdarzyło jej się pomylić. Marzenie się ziści, będzie cudownie, a potem nastąpi koniec. Hector, jak każdy inny, zabierze część jej uczuć i odejdzie, zostawiając ją z niczym. A ona? Będzie musiała się zadowolić tym, co było.

Clementine, której uda zareagowały na Hectora przyjemnym mrowieniem, niemal natychmiast uświadomiła sobie, że ktoś taki nie poświęci jej nawet chwili, nie mówiąc o tym, by leżąc obok w łóżku, dotknął dłonią jej nagiej skóry. Nigdy nie poczuje przy sobie tego cudownego ciała. Była zbyt gruba. Niewystarczająco ładna. Sophie miała rację; ubierała się jak idiotka. Nie śmiała nawet marzyć o tym, by ktoś taki, jak Hector, ją zechciał. Nie było sensu.

Tymczasem Mathilde jak nikt w świecie wierzyła, że uda jej się zagarnąć to giętkie, muskularne ciało, opleść je udami, zrobić z nim to, na co tylko miała ochotę, a potem odesłać z kwitkiem. Zwilżyła wargi koniuszkiem języka i cofnęła się nieznacznie, delikatnie wysuwając kościste biodro, by sprawić, że i tak długie nogi wydawały się jeszcze dłuższe. Mogła nauczyć Hectora tego i owego, a ponieważ dawno już nie zaznała cielesnych rozkoszy, chętnie poświęciłaby mu odrobinę swojego cennego czasu. Jeśli istniało coś, co naprawdę lubiła, był to dobry seks. Pomyślała, że warto raz uwieść młodego Hectora i pozwolić, by popływali razem w morzu rozkoszy. Właśnie to lubiła najbardziej.

La Petite spoglądała na twarze sióstr Peine, uśmiechając się do siebie. Hector był dobrym chłopcem. Silnym, łagodnym i życzliwym. Pomoże jej w zrobieniu tego, o co prosił Olivier. Tak

jak obiecała, czekała, aż on sam odejdzie z tego świata, a jego córki będą w komplecie. Tak wiele było jeszcze do zrobienia. Teraz jednak była głodna.

– Kto w tym domu potrafi gotować? – spytała. – Hector uwielbia pierś z kaczki z ziemniaczkami *a la dauphinoise*, prawda, mój chłopcze?

Jesień

4

Winobranie

Nadszedł nowy miesiąc i winobranie ruszyło pełną parą. Do Domu Peine zjechała liczna rodzina La Petite, a Dolina Marny aż huczała od radosnych głosów, które zapowiadały, że już niebawem tegoroczne winogrona złączą swą magiczną transformację w musujący napój, który zachwycał królów, królowe i wszystkich, którzy mieli choć odrobinę smaku.

W winnicach zbieracze, pociemniałi od słońca niczym dojrzałe owoce, sprawnie wrzucali kolejne kiście do koszy, które odbierali tragarze, a potem wysypywali ciężkie grona do drewnianych skrzyń stojących na końcu każdego rzędu.

Siedząca na rozklekotanym ciągniku Clementine zawoziła pełne skrzynie do winiarni, gdzie pod jej czujnym okiem owoce trafiały do starej, drewnianej prasy.

Każdy odcinek drogi, jaką miały do pokonania owoce, był niezwykle istotny, jednak żaden nie wydawał się tak ważny, jak wyciskanie drogocennego soku, który zamieniał się w wino.

Zanim jednak to nastąpiło, musiały sprostać licznym surowym wymaganiom. Wielu winiarzy klęło z tego powodu na czym świat stoi, jak choćby Renaud de Valois z Fontainesuray, ale to właśnie owe przepisy czuwały nad reputacją szampana, dbając o to, by byłe musujące wino nie zbezcześciło jego dobrego imienia.

Tak więc gadatliwe kuzynki La Petite nie mogły tak po prostu wejść między krzaki i zrywać tyle owoców, ile chciały. Przepisy wyraźnie określały, jak dużo winogron można zebrać z jednego hektara. Każdego roku specjaliści ustalali określony limit i biada temu, kto by spróbował zebrać więcej. Natychmiast któryś z sąsiadów lub pracowników zgłaszał to do związku. Trzeba bowiem pamiętać, że należące do różnych winnic parcele sąsiadowały ze sobą, tak więc nie trzeba było matematycznego geniusza, by wiedzieć, kto oszukuje. A oszustwo oznaczało kłopoty.

Nawet wówczas gdy zerwano już ustaloną ilość winogron, zbieracze nie mogli usiąść w spokoju, by delektować się bagietką

z wyśmienicie przyprawioną kielbasą oraz kieliszkiem zwykłego wina. Jeśli owoce nie trafiły pod prasę w ciągu najbliższych godzin, uznawano, że nie nadają się już do przerobu i były wyrzucane. Takiego widoku nie chciałby oglądać żaden producent. Przed kilkoma laty Arnaud d'Ablois z Champillon doświadczył tego dwukrotnie w ciągu jednego winobrania, kiedy połowa jego pracowników cierpiała na rozstrój żołądka. Po owym traumatycznym wydarzeniu biedny Arnaud postradał rozum, zniknął na trzy dni, a kiedy wrócił, miał na sobie trzy rozmiary za mały bordowy garnitur, cuchnący paliwem lotniczym. Od tamtej pory nie był już tym samym człowiekiem. Uświadomił też wszystkim mieszkańcom Szampanii, że w czasie winobrania powinni trzymać się z dala od zupy rybnej Madame d'Ablois.

Kiedy zerwane owoce bezpiecznie spoczęły w prasach, zaczynały obowiązywać kolejne przepisy. Winogrona należało wyciskać dwa razy. Do produkcji wina używano wyłącznie soku z pierwszego, delikatnego tłoczenia, jako że miał on najlepszą zawartość cukru i właściwy poziom kwasowości, a są to dwa najistotniejsze czynniki, najważniejsze przy produkcji szampana. Proces tłoczenia wymagał niebywałej delikatności, aby z czarnych winogron pinot wydobyć czysty, najprzedniejszy sok. Na tym etapie żaden winiarz nie chciał widzieć choćby najdelikatniejszego odcienia różu. Sytuacja zmieniała się kilka miesięcy później, gdy w trakcie mieszania łączono klarowne już czarne wino z różowym.

W Domu Peine wyciśnięty sok spływał rurą do piwnicy, wprost do kadzi oznaczonej nazwą parceli, z której pochodziły owoce. Winogrona z każdego poletka były wyciskane osobno, a każdy rodzaj moszczu przechowywano w innych kadziach, by zachować jego wyjątkowy smak.

Było to niezbędne w procesie mieszania. Mieszania? Clementine z całych sił starała się o tym nie myśleć, jednak niewyraźne mruczenie wskazywało, że nie najlepiej radziła sobie z tym problemem.

Sok leżakował w kadzi tylko jeden dzień. Tyle wystarczyło, by

pozbyć się wszelkich zanieczyszczeń. Oczyszczony płyn ściągano i dodawano do niego specjalną mieszankę cukru i drożdży, która przyspieszała tak zwaną pierwszą fermentację, czyli przemianę soku w alkohol.

Właściwie każdy, kto wystarczająco dobrze znał najstarszą z sióstr Peine (takich osób było naprawdę niewiele), dostrzegał, że ona również ulegała swoistej transformacji.

Dla wytrawnego winiarza, a do nich Clementine z pewnością się zaliczała, winobranie zawsze było szczególnym wydarzeniem. Kiedy indziej niezadowolona i ponura, podczas zbiorów Clementine stawała się bardziej radosna; a w tym roku dosłownie tryskała energią. Szalone poskręcane loki lśniły w słońcu, tworząc wokół jej twarzy pofalowaną aureolę. Ich wściekły, rudy kolor przeszedł w piękną, łagodną miedź. Nawet cera wydawała się bardziej promienna i lśniła niecodziennym, wewnętrznym blaskiem. Chodziły też słuchy, jakoby Clementine pogwizdywała beztrosko w czasie pracy. Ona sama jawiła się światu jako ktoś, kto niespodziewanie osiągał kolejne szczeble, jeśli nie szczęścia, to czegoś bardzo podobnego.

Niestety, jedyna osoba, która powinna była to zauważyć, pierwsza ze skąpego grona tych, którzy znali Clementine, była zbyt pochłonięta pracą, by poświęcić owemu zjawisku wystarczająco wiele uwagi. Sophie również upajała się tym, co zaoferowało jej winobranie. Okazało się, że miała do odegrania niezwykle ważną rolę, choć takie pojęcie jak „niezastąpiona” było jej całkowicie obce i wciąż żyła w błogiej niewiedzy, nieświadoma rozwoju wydarzeń. Sophie nie kwalifikowała się na dobrą zbieraczkę; kucanie, wstawanie i przechodzenie wzdłuż rzędów, wymagało od niej zbyt dużej koncentracji, okazała się jednak doskonałym tragarzem, a zbieracze przekonali się do niej i polubili ją jak niegdyś Oliviera. Taka sytuacja przynosiła niesamowite korzyści, jako że obcowanie z gburowatymi zbieraczami wymagało mnóstwa czasu i cierpliwości; dwóch najważniejszych czynników, tak bardzo cenionych w trakcie winobrania.

Pod przewodnictwem Sophie dolina rozbrzmiewała nie tylko śmiechem, lecz także żwawym dzwonieniem nożyc i miękkimi dźwiękami, gdy soczyste kiście wpadały do koszyków. Zbieracze pracowali szybko i radośnie, toteż całe winobranie przeszło nadzwyczaj gładko. Tego roku w Domu Peine z pewnością nie będzie żadnych za ciasnych bordowych garniturów ani smrodu paliwa lotniczego.

Tak więc Sophie również rozkwitała. Włosy jej odrosły, delikatne pierścionki wiły się teraz wokół smukłej szyi. Spłowiata czerń powoli odchodziła w niepamięć, odkrywając widoczne tuż przy skórze, soczyste, bordowe odrosty. Na wyzłoconych słońcem policzkach coraz częściej gościł zdrowy rumieniec, a fiołkowe oczy błyszczały. Z pewnością pracowała dużo i ciężko, mimo to wyglądała coraz piękniej. Stoisko Guerlaina w Le Bon Marche stało się ledwie mglistym wspomnieniem. To do tego miejsca naprawdę należało jej serce.

Mathilde ani razu nie pojawiła się w winnicach – najzwyczajniej w świecie nie miała do tego odpowiednich ubrań – jednak, ku zaskoczeniu wszystkich, pierwszego dnia winobrania zeszła do piwnicy, trzymając w dłoniach podkładkę do pisania oraz pióro Montblanc, którym zaczęła spisywać co, gdzie i na jak długo zostało umieszczone.

Clementine, pochłonięta tym, co działo się dookoła, początkowo ignorowała obecność młodszej siostry – dzięki temu ich relacje układały się znacznie lepiej – lecz po kilku dniach musiała przyznać (choć nigdy tego na głos nie powiedziała), że Mathilde jest niezastąpiona. Nie tylko zapisywała, do której kadzi zlano jaki moszcz, ale dosłownie zreorganizowała piwnicę. Wciąż leżakujące butelkowane wina nie tarasowały już drogi, a czekające na nową zawartość dębowe beczki stały dosłownie w zasięgu ręki. Poruszane butelki, gotowe do oczyszczenia, znalazły miejsce pośrodku piwnicy, tak by po skończonych zbiorach dostęp do nich był znacznie łatwiejszy.

Nawet jeśli Mathilde polubiła swoją pracę, nie okazywała tego. W przeciwieństwie do sióstr wyglądała, jak gdyby coś wysysało z

niej całą radość życia, pozostawiając jedynie wysuszoną skorupę. Włosy miała cienkie, pod oczami widniały opuchnięte cienie, a matowa skóra opinała wystające kości policzkowe. Podczas gdy Clementine i Sophie dosłownie tryskały życiem, Mathilde przypominała pusty, wyschnięty kokon.

Jak się wkrótce okazało, miała ku temu powody.

– Hectorze – wychrypiała La Petite, leżąc w łóżku, mniej więcej tydzień po rozpoczęciu winobrania – co ty wyprawiasz z tymi kobietami?

Hector wszedł do pokoju, by przeczytać babce „Paris Match” i ostatnie wieści z życia gwiazd. Zazwyczaj była to dla staruszki nie lada gratka, jednak tego dnia chciała przede wszystkim porozmawiać o ważniejszych sprawach.

– Nie przejmuj się, La Petite – zapewnił ją. – Wiem, co robię.

– Martwi mnie raczej, komu to robisz – odparła La Petite, pokaszując. Gasła, nie było co do tego wątpliwości, jednak nie tak szybko, jak się tego spodziewała. Jej ciało i dusza postanowiły utrzymać się w formie do czasu, gdy starowina ukończy swoje zadanie; nie było co do tego żadnych wątpliwości. Nie mogła odejść, niezależnie od tego, jak bardzo już tego chciała.

Hector roześmiał się i delikatnie ucałował pomarszczone czoło babki.

– Nie interesuje mnie średnia – wyjaśnił. – Ale tak właśnie chciałaś, prawda?

– Tak, oczywiście. A co z pozostałymi? Hector wzruszył ramionami i otworzył pismo.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – odparł. – Moim planem.

La Petite uniosła jaszczurcze powieki i zmierzyła wnuka krytycznym wzrokiem. Był to jeden z tych momentów, kiedy widziała, jak łagodna i serdeczna natura Hectora przegrywa z jego wewnętrzną siłą. W innej sytuacji byłaby zła, teraz jednak nie mogła wykrzesać z siebie wystarczającej energii. Poza tym ufała Hectorowi. Musiała mu zaufać. Koniec końców, to właśnie on był jej następcą. I to właśnie on odziedziczył po niej skomplikowaną naturę, tak więc staruszka wierzyła, że to on wprowadzi rodzinę w

kolejne stulecie, pod warunkiem że nie będzie jadł zbyt dużo czerwonego mięsa i palił robionych na zamówienie papierosów.

Czekała tylko, aż chłopak pokaże, na co go stać; owa manifestacja siły była ważna i oznaczała dobry początek. Poza tym niedługo, gdy jej zabraknie, Hector sam będzie musiał decydować o tym, co robić. Lepiej więc, by jak najszybciej stanął na własnych nogach.

La Petite westchnęła i opadła na poduszki. Chwilę później podrapała się pod pachą niczym małpa, wspominając moment, gdy po raz pierwszy przeciwstawiła się woli swego pradziadka (albo coś w tym stylu). Pradziadek, wówczas przykuty do łóżka (tak jak ona w tej chwili), zamierzał jej przekazać władzę i pieczę nad rodziną.

Działo się to tak dawno temu, że wspomnienia przypominały czarnobiałą, trzeszczącą kronikę filmową z czasów wojny. Wozy z beczkami wina były wówczas ciągnięte przez konie – dobrze to pamiętała – a kobiece kostki łącznie z jej własnymi, stanowiły niezwykle rzadki widok. Jednak pamiętała rozkosz, z jaką odsłoniła je po raz pierwszy przed samotnym, dziobatym mężczyzną imieniem Claude, którego wyciągnęła z głębokiej depresji. Claude był jednym z wielu mężczyzn, którym La Petite uratowała życie. Claude! Na jego wspomnienie zachichotała z czułością. Ach, jakże uwielbiał jej dotyk; jakże magicznym sposobem odmieniła jego sztywne, zdrętwiałe dłonie, sprawiając, że z zadziwiającą zwinnością prześlizgiwały się po butelkach.

Naturalnie nie było w tym żadnej magii, żadnego cudu. Jej pradziad doskonale zdawał sobie z tego sprawę i La Petite wierzyła, że Hector także wkrótce to zrozumie. Winiarze mogli szeptać, że miała w sobie jakąś tajemniczą moc; La Petite nie dementowała tych pogłosek – właściwie nawet je lubiła – choć oczywiście nie zawierały ani krzty prawdy.

Była po prostu zwyczajną kobietą, może odrobinę zbyt zamkniętą w sobie.

Tam, skąd pochodziła (nie żeby każdy pamiętał, gdzie to dokładnie było), pieniądze znaczyły niewiele, a najważniejsze

było szczęście. La Petite wierzyła, że zrozumienie tego jest boskim darem dla rodziny i całego świata; zwłaszcza dla świata szampana. „Jaki tam święty Wincenty – mawiał pradziadek. – To my jesteśmy patronami szampana. Człowiek nieszczęśliwy nie zdoła sprawić, że bąbelki zaczną tańczyć, tak więc rób, co możesz Eulalie. Rób, co możesz”. To było dawno temu, kiedy jeszcze nosiła to imię.

– Rób, co możesz, Hectorze – zwróciła się teraz do nowego szefa rodziny, a kiedy się uśmiechnął, przypomniała sobie, dlaczego z taką łatwością zmiękczał nawet najtwardsze serca.

– Zobaczysz, La Petite – odparł. – Robię dokładnie to, co mi kazałaś, tylko po swojemu. Uda się. Zawsze się udaje.

Rozczarowanie

Tego wieczoru Clementine dokonała pierwszego obchodu beczek, by skosztować świeżo wyciśniętego soku. Mimo doskonałego nastroju zwlekała z tym tak długo, jak było to możliwe. Mruczenie narastało w jej piersi niczym warkot samolotów, czekających na odlot na ruchliwym lotnisku. W końcu był to pierwszy krok na drodze do mieszania; pierwszy cierpki smak tego, co miały do zaoferowania tegoroczne owoce.

Clementine naląła sobie odrobinę pinot noir rosnącego w dolinie, w miejscu, gdzie spadła z roweru, i pociągnęła łyk. Sok był ostry i pozostawiał na języku drażniący posmak. Jednak w miarę jak ciepłą falą rozpływał się po ciele, w głowie Clementine budziły się wątpliwości.

Wszyscy wiedzieli, że prawdziwy sekret szampana tkwi w mieszaniu.

Dlatego właśnie uprawiano winogrona w jakże zmiennym klimacie Marny; by łączyć młode wina z rozmaitych upraw z cennymi zapasami z poprzednich lat.

Tym oto sposobem producenci szampana co roku drażnili podniebienia amatorów szampana tym samym, wybornym smakiem, mimo że każdy rocznik zawierał całkiem odmienną mieszaninę owoców.

Bywały lata, że pinot noir brakowało wyszukanego bukietu, a chardonnay nie miało delikatności. Bywały też takie, kiedy pinot meunier za bardzo smakował owocami, natomiast pinot noir w ogóle. Kiedy zbiory okazały się marne z powodu mrozów czy upałów, zbyt mała ilość ostatnich roczników nie stanowiła problemu, jako że w piwniczkach czekały zapasy z wcześniejszych, bardziej obfitych lat.

Mieszanie dojrzałych i dojrzewających win było subtelnym popisem ekwilibrystycznym, praktykowanym wyłącznie w Szampanii. Stanowiło esencję szampana, jego piękno.

Była to również umiejętność, której (według niej samej) nie posiadała Clementine.

Jej podniebienie, jak wiele lat temu skwitował Olivier, okazało się kompletnie do niczego. Naturalnie znała każdy, choćby najdrobniejszy szczegół wymagany do zrobienia mieszanki *cuvee* i wśród miliona nieoznakowanych butelek potrafiłaby bezbłędnie rozpoznać gotowy produkt Domu Peine. Kiedy jednak dochodziło do mieszania, kosztowania młodych win i decydowania, które i w jakich ilościach powinny trafić do mieszanki, jej smak zawodził.

– Jesteś ślepa! – wrzasnął ojciec, gdy ostatni raz towarzyszyła mu w trakcie mieszania; zanim orzekł, że nie będzie dłużej tolerować niekompetencji Clementine i na dobre zwalnia córkę z tego przykrego obowiązku. – Ślepa, ślepa i jeszcze raz ślepa!

W innych winnicach mieszanie było najważniejszym procesem, nie tylko w produkcji szampana, ale i w życiu mieszkańców. U Kruga decydowały o proporcjach trzy pokolenia; u Tarlanta w Oeuilly aż cztery. Każdy winiarz przekazywał swą wiedzę i doświadczenie młodszym generacjom, po to, by jego umiejętności nie zostały zapomniane i aby charakterystyczny dla każdego Domu smak został wyryty w krwi młodych niczym DNA, przechodzące z pokolenia na pokolenie.

Olivier tak nie postępował; dawno temu stracił zdolność dzielenia się swą wiedzą z innymi. Kiedyś pragnął uczyć córkę i zdradzać jej swoje sekrety, jednak rosnący żal pozbawił go nawet najbardziej podstawowych umiejętności. W końcu poddał się całkowicie własnej niedoli, zapominając o swojej wiedzy i skazując ją na zapomnienie. Polecenia, niegdyś uprzejme i pełne zachęty, zmieniły się w burknięcia, a nierzadko także w obelgi.

Jestem ślepa, pomyślała ze smutkiem Clementine, wylewając resztkę pinot. Ślepa, ślepa i jeszcze raz ślepa! Mogła tylko mieć nadzieję, że kiedy nadejdzie czas mieszania, uda jej się coś wyczarować. Już sama owa nadzieja przypominała magiczną sztuczkę. Tak bardzo brakowało jej cudów przez ostatnie lata, a mimo to na myśl o własnej ślepcie i cenie, jaką będzie zmuszona za nią zapłacić, Clementine nie czuła paniki.

Choć raz w życiu nie paraliżował jej strach. Skrywała nowy sekret, który nie miał nic wspólnego z felernymi niewrażliwymi

kubkami smakowymi; który sprawiał, że czuła się wolna, oblewał jej policzki rumieńcem i wywoływał dreszcze rozkoszy.

– Tu jesteś, Mentine! – Głos Sophie wyrwał ją z zamyślenia. Na widok swojej drobniutkiej siostry Clementine poczuła gwałtowny przyływ radości. Odwróciła się z uśmiechem. – Sophie, cóż za wyczucie czasu. – Mówiąc to, wskazała na beczki z zapasami z poprzednich lat. – To był szalony okres. Szukałam cię, ale jakoś... Nieważne, chodź, muszę ci o czymś powiedzieć.

– To świetnie, Mentine, bo ja też.

Clementine poczuła dreszcz zniecierpliwienia. Oto w końcu miała siostrę, o której marzyła przed laty. Oazę zaufania i serdeczności, której tak bardzo brakowało jej w dzieciństwie. Niczym na skrzydłach, pomknęła ku rocznikowi 88, wyciągnęła butelkę i dwa kieliszki i postawiła je obok Sophie.

– A więc – zapytała tamta. – O co chodzi?

– Nie uwierzysz. Cóż, ja sama nie mogę w to uwierzyć. Chciałam powiedzieć ci wcześniej, ale nie było okazji – no wiesz, winobranie. W każdym razie... – korek wyskoczył z butelki z cichym sykiem, a do kieliszków popłynęły pierwsze bąbelki – nareszcie, Sophie, w końcu przydarzyło mi się coś naprawdę fantastycznego!

– Boże, Clementine nie trzymaj mnie w niepewności! O co chodzi? Wyglądasz tak... – Sophie nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa, ale widząc radość na twarzy Clementine, poczuła się lepiej.

Przez mniej więcej sekundę.

– Hector! – To imię wyrwało się pospiesznie z ust Clementine. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że żyje, naprawdę żyje. Kipiała energią, jaśniała i tryskała niebiańską radością kochania i bycia kochaną przez tego wyjątkowego przystojniaka, który tak nieoczekiwanie wtargnął do ich życia.

Tak trudno było jej uwierzyć w to, co się wydarzyło. A jednak już pierwszej nocy po przyjeździe wnuka La Petite, kiedy to Clementine z rozpaczą stwierdziła, że ktoś taki jak on nawet nie zauważy, że istniała, nie mówiąc już o tym, by poczuła na swoim

ciele jego gorący oddech, Hector wślizgnął się do jej pokoju i spoczął obok niej pod kołdrą na skrzypiącym łóżku.

Clementine, czując uginające się sprężyny i ciepło czyjegoś ciała, przyjęła, że oto śni i cichutko westchnęła w poduszkę, odwracając się tak, że jej spowite białym płótnem, gładkie pośladki wylądowały między udami wyimaginowanego kochanka.

Strategiczna część męskiego ciała natychmiast objawiła nadzwyczajne zainteresowanie. Czując to, Clementine przestała się sennie uśmiechać i zdumiona otworzyła oczy. Poczowała, jak intruz przyciska się do niej, poczuła na plecach dudnienie jego serca i słony zapach jego skóry oraz delikatną woń rozmarynu z kaczki, którą jedli wieczorem.

Wiedziała, że powinna go odepchnąć, że nie miał prawa, że to karygodne wślizgiwać się do kobiecej sypialni bez zaproszenia. Jednak tak długo marzyła o kimś takim jak Hector, więc teraz nie czuła wściekłości, a tylko rozkosz i radość, że ktoś w końcu rozgrzeje to zimne, obojętne łóżko.

Odwróciła się i zrozumiała, że nie czuje oburzenia, że jej ciało nie zamyka się w sobie, a wręcz domaga tego, co oferował. W końcu nie było w tym nic zdrożnego. Zainteresował się tą jej częścią, o której istnieniu nie myślała przez tak długi czas, a ona przyjęła go tak ciepło, jak nikt nigdy go nie witał. Dla obojga było to niezwykle frapujące doznanie.

– Dlaczego? – szepnęła, kiedy leżeli przytuleni na zmiętej pościeli, a palce kochanka kreśliły na białym brzuchu Clementine delikatne kółka. – Dlaczego?

Było to tak niepodobne do tamtej jednej, jedynej nocy, którą spędziła z Benoit. (Towarzyszące temu upojenie było tak wielkie, że nawet nie pomyślała o mruczeniu). Noc, kiedy została poczęta Amelie, nie przyniosła nic poza łzami, wściekłością i żalem, ale to, co przeżyła z Hectorem, okazało się czystą ekstazą – słodką, oszalamiającą, gorącą, spoconą, słoną, czystą ekstazą. Z domieszką rozmarynu.

– Powinienem już iść – szepnął w odpowiedzi na jej pytanie. Był szczery i nie chciał wspominać o roli, jaką La Petite odegrała

w tym, co właśnie się wydarzyło. Wyślizgnął się z łóżka, ucałował obolałe, lecz szczęśliwe usta Clementine i zniknął w ciemnościach.

Clementine jak na skrzydłach przefrunęła przez kolejny tydzień pracy, zdzierając palce do kości i jak zawsze skupiając się na winogronach. Nietrudno było jednak zauważyć, że z jej twarzy nie zniknął tajemniczy, marzycielski uśmiech. Późną nocą, wyczerpana i uszczęśliwiona, kąpała się, wskakiwała do łóżka i czekała na Hectora.

Była tak pijana swoim szczęściem i ucieszona obfitymi zbiorami, że nie zauważyła tych samych objawów u Sophie.

– Ja też. – To wszystko, na co zdobyła się najmłodsza siostra, kiedy Clementine skończyła swą opowieść o sekretnych schadzках z wyjątkowym kochankiem. – Ja też.

Minęła chwila, zanim te słowa dotarły do Clementine. Skupiła się na roczniku 88; delikatnym posmaku, jaki zostawiał na języku i łaskoczącym podniebieniu, łagodnym aromacie jabłek.

Nagle jej usta wypełniła gorycz.

– Co to znaczy „ja też”?

– To znaczy „ja też” – powtórzyła Sophie. Twarz miała bladą, a fiołkowe oczy spoglądały na Clementine z niedowierzaniem. – Z Hectorem. On nie zniknął w ciemnościach, Clementine. On przychodził do mnie.

– Do ciebie?

Sophie z przygnębieniem kiwnęła głową. W noc po przyjeździe Hector był naprawdę zajęty. Przyszedł do jej łóżka, tak samo jak przyszedł do łóżka Clementine, z tą tylko różnicą, że było to później, a Sophie czekała na niego chętna i gotowa. Nie zamienili ze sobą nawet słowa; po prostu kochali się trzy czy cztery razy z rzędu. Dokładnie tak, jak przewidziała i jak tego chciała. Następnej nocy wrócił po więcej, a ona mu to dała. I tak co noc. Nawet nie przyszło jej do głowy, by się zastanawiać, co robił, zanim przyszedł do jej łóżka. Myślała, że spędzał czas z La Petite.

Sophie patrzyła, jak na jej oczach szczęście dosłownie wycieka z Clementine, a po jej ciele rozlewa się rozgoryczenie.

To oczywiste, stwierdziła w duchu Clementine, że takie szczęście nie mogło być przeznaczone dla niej. Była głupia, że pozwoliła sobie na chwilę oszołomienia i uwierzyła w podobne brednie. Takie szczęście nigdy nie trafia się grubym, brzydkim prawie dziewczynom, które nie mogą znieść myśli o utraconych dzieciach. Szczęście należy do chudych, małych ladacznic, takich jak Sophie. Słodka Sophie. Milutka Sophie! Jej Sophie! Ach, jakże bolała ją ta zdrada. Clementine cierpiała już tak wiele razy, że nie przypuszczała, by coś jeszcze mogło ją zranić. A jednak. Poczuli się jak ktoś, kto został bez ubrania w szalejącej, śnieżną burzę.

Wstała i – mrużąc coś pod nosem, zupełnie jak biedny ojciec – zniknęła na krętych schodach.

Sophie chciała za nią pobiec, jednak sama również miała złamane serce. Zamiast tego usiadła za beczkami pinot i płakała przez długą chwilę. Przewidywała, że tak będzie, a obecna sytuacja potwierdzała tylko jej teorię na temat szczęśliwych początków, nie zakończeń. Nie przypuszczała jednak, że Clementine będzie głównym dowodem jej tezy. Gdyby wiedziała, oddałaby jej Hectora. Stanęłaby z boku i bez słowa pozwoliła na ten romans. Teraz mogła sobie pozwolić tylko na chwilę.

Podział

Czemu się mazgaisz? – zaczęła Mathilde Sophie, gdy jakiś czas później dziewczyna wróciła do domu. – Tylko mi nie mów, że mała myszka pokłóciła się z wielkim wołem! Słyszałam, jak Clementine z rykiem biegła po schodach. Co się dzieje?

– Sophie! – Głos La Petite nie był donośny, miał jednak dziwną zdolność roznoszenia się po domu niczym zapach albo dym. Sophie i Mathilde podniosły wzrok, jak gdyby oczekiwały, że głos staruszki zmaterializuje się i niczym wąż ześlizgnie po schodach. – Sophie! – powtórzyła La Petite, na co Mathilde cofnęła się z przerażeniem.

– No, to teraz obudziłaś Yodę* [Mistrz Jedi, jeden z bohaterów filmowej sagi „Gwiezdne Wojny”.] – syknęła. – Idź tam i zobacz, czego chce, zanim zaczniesz się naprzykrzać.

La Petite nie naprzykrzała się od chwili, gdy winobranie ruszyło pełną parą, choć prawdą było, że wcześniej rzeczywiście dawała im się we znaki. Wysyłała Sophie do sklepu mięsnego po szczególny rodzaj wędlin albo prosiła Clementine, by zacerowała niewielką dziurę w jej archaicznym majtkach. Siostry Mathilde były nad wyraz uprzejme. Koniec końców cierpiały przecież z powodu braku matki, tak więc łatwo uległy matriarchalnym zapędom La Petite. Tylko Mathilde unikała jej niczym zarazy. Tak bardzo obawiała się konfrontacji ze staruszką, że przechodząc obok jej pokoju, zdejmowała buty i przemykała na palcach pod drzwiami.

Nigdy nie słyszała, by chrapliwy, starczy głos zawołał jej imię, czuła jednak, że przyciągał ją niczym magnes. Zamiast poddać się jego woli, jak uczyniły obie siostry, Mathilde stawiała opór i coraz bardziej się oddalała, wściekła, że La Petite obnażyła jej jedyną prawdziwą słabość: Edie.

Odkąd fakt istnienia jej dziecka został podany do publicznej wiadomości w tym cuchnącym pokoiku, myśl o dziesięcioletniej córce spędzała Mathilde sen z powiek. Miała powody, by ją porzucić. Po prostu nie chciała ich wyjawiać, zwłaszcza swym

tępych siostrach i tej na wpół obłąkanej, pomarszczonej, starej ropusze. Wiedziała, jak na to zareagują; jak zareaguje na to każdy – w końcu była specjalistką od PR. To jej sprawa; jej, George'a i być może owej smarkuli, którą sprowadzili na ten świat dawno, dawno temu, a która poświęcała każdą sekundę swego życia, by zatruć życie własnej matce.

Mathilde przeklinała La Petite za ekshumację jej pogrzebanej rodziny; tak bardzo dręczyły ją myśli o tamtych dwojgu. Co więcej buntował się również jej organizm; skóra pokryła się wysypką, którą Mathilde próbowała ukryć, a która pięła się po szyi, bezlitośnie wpełzając na twarz.

Za każdym razem, gdy patrzyła na swoje siostry, dostrzegała w ich oczach nieme pytania, a każde z nich wywoływało gęsią skórę. „Siedzisz tu przez cały ten czas, a w domu czeka na ciebie córka?” – rozbrzmiewał jej w uszach pełen niedowierzania głos Clementine. Tak wyraźnie widziała Edie, tę nieznośną smarkulę. Jej wizerunki tak bardzo wypełniały myśli Mathilde, że w ogóle nie pamiętała o wspomnianej przez La Petite córeczce Clementine.

– Na litość boską, Edie, pójdziesz do niej wreszcie czy nie! – ryknęła do Sophie, słysząc, że La Petite po raz kolejny ją woła. Usłyszawszy nieznanne imię, Sophie wyglądała na bardziej spłoszoną niż zwykle, więc zarumieniona Mathilde pchnęła ją na schody, próbując zatuszować swoje przejęzyczenie.

– Dobrze już, dobrze, przecież idę – rzuciła Sophie głosem, który rzeczywiście mógł należeć do Edie.

A więc dlatego tak bardzo działasz mi na nerwy, pomyślała Mathilde, patrząc, jak dziewczyna powoli idzie po schodach. Były takie podobne. Nie patrzeć, nie patrzeć. Ale ten smutek, ta nadwrażliwość. Jak mogła nie zauważyć tego wcześniej?

– Wejdz – zakrakała La Petite, a Sophie powlokła swoje żałosne, drobne ciało do pokoju, aż na skraj łóżka.

– A więc już wiesz o Hectorze? – spytała staruszka. – Kot uciekł z worka.

– Tak. Cóż, problem w tym, że są aż dwa worki – odparła

Sophie – ale tylko jeden kot.

La Petite omal nie zakrztusiła się ze śmiechu i pohukując radośnie, przycisnęła dłoń do wychudłej piersi.

– To nie jest śmieszne – zaprotestowała Sophie. – Tylko straszne.

– Może śmieszne i straszne zarazem, co? – odparła La Petite.

– W każdym razie nie jest to coś, z czym nie dałabyś sobie rady.

Sophie otworzyła usta, by zaprotestować, jednak po chwili zastanowienia musiała przyznać, że staruszka ma rację. Mogła sobie z tym poradzić; mogła poradzić sobie ze wszystkim i chociaż teraz nie widziała w tym nic śmiesznego, czuła, że już niebawem zrozumie komizm całej sytuacji. Spojrzała na La Petite, a na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

– Och, Sophie, moja mała. – Cichutki głos staruszki zdawał się należeć do kogoś znacznie mniej żywiołowego. – Musisz opiekować się siostrami. Obie cię potrzebują. Rozpaczliwie. Ty wypełniasz wszystkie luki.

– Luki? – Sophie była zdumiona. – Przecież ja sama jestem jedną, wielką luką. Największą z nas wszystkich. Jestem beznadziejna. Nie potrafię nawet czytać.

– Co ma do tego czytanie? – odparła lekceważąco Cyganka. – Musisz w końcu zrozumieć, że nikt nie jest idealny. Wszyscy składamy się z elementów, które same w sobie nic nie znaczą, ale ułożone we właściwy sposób mają swoją wagę. Spójrz tylko na pinot meunier: samo w sobie jest zbyt owocowe, by zrobić z niego porządne wino, ale w połączeniu z chardonnay i pinot noir, voila! Daje najprzedniejszego szampana!

Sophie miała co do tego pewne wątpliwości.

– Możliwe, ale co, jeśli chardonnay kręci na boku z pinot noir, nie mówiąc nic pinot meunier? Czy z takiej kombinacji też powstanie szampan? A może coś, co lepiej byłoby wypluć niż wypić?

– To już zależy od ciebie – odrzekła staruszka.

– Masz rację. Poradzę sobie z tym – westchnęła Sophie. –

Hectorzy tego świata nie są dla mnie niczym nowym, ale biedna Clementine, La Petite. Flirtując z nami obiema, złamał jej serce! O co mu chodziło?

Gdzieś zza drzwi dało się słyszeć wściekłe parsknięcie, które najwyraźniej nie wywarło na La Petite żadnego wrażenia.

– Ty mała, parszywa dziwko! – Do sypialni wpadła Mathilde, jej twarz wykrzywiał grymas wściekłości. – Sypiasz z robotnikiem? Z Cyganem? Cóż, rozumiem, że mógł cię przelecieć, ale czemu sypiał z tą opasłą górą mięsa? To obrzydliwe. Powinno się odesłać go do domu wariatów, razem ze Starym Orzechem, Małym Orzechem, czy jak inaczej nazywa się ta stara wariatka, zanim odpadnie mu ptaszek, albo zanim jego mózg zmieni się w papkę, choć najwyraźniej jest już za późno, skoro nasz adonis pieprzy Clementine.

La Petite roześmiała się, jak gdyby wiedziała, że nic tak nie rozwściecza zgorzkniałych, wściekłych kobiet, jak ironiczny śmiech.

– Cóż za troska, Mathilde. Jestem wzruszona.

– To dobrze! – warknęła Mathilde. – Bo ich to jakoś nie wzrusza.

W drzwiach pojawiła się Clementine z czerwoną twarzą, opuchniętą od płaczu.

– Co się tu dzieje? – spytała. – O co tyle wrzasku? Mathilde obróciła się w jej stronę.

– To, że sto lat temu podstępem wykorzystyłaś jakiegoś biednego, ślepego, głupiego mężczyznę i miałaś z nim dziecko, nie znaczy, że możesz oferować swe odrażające ciało każdemu...

– Nie waż się tak do niej mówić! – wrzasnęła Sophie, wkraczając do akcji. Jej wyzłocone słońcem policzki były teraz czerwone z wściekłości. – To twoja siostra!

– Nie potrzebuję cię – syknęła w odpowiedzi Clementine. – Potrafię mówić za siebie. Nie waż się tak do mnie odzywać, Mathilde. To nie ma z tobą nic wspólnego. – Zamilkła, a na jej twarzy pojawiło się przerażenie. – Chyba że? o nie, tylko nie ty! Tego bym nie zniosła.

– Nie zniosła czego? – spytał Hector, wnosząc do pokoju tacę z chlebem i miodem dla La Petite. – Może przyszedłem w nieodpowiedniej chwili?

– Boże, uwielbiam, kiedy tyle się dzieje! – krzyknęła jego prababka, klaszcząc w pomarszczone dłonie. – Bis! Bis!

– Proszę, powiedz, że nie spałeś z Mathilde – błagała Clementine.

– Dobra. – Hector wzruszył ramionami i odstawił tacę. – Nie spałem z nią.

– Ale czy naprawdę nie spałeś? – spytała Sophie.

– Clementine prosiła, żebym powiedział, że z nią nie spałem – wyjaśnił Hector, przysiadając na krawędzi łóżka.

– Niezły jesteś – zaskrzeczała La Petite. – Świetny.

– Spałeś z nią? – ryknęła Clementine. – Jeśli spałeś, powiedz, że spałeś, chyba że nie. Nie o to mi chodziło, kiedy mówiłam, żebyś mi nie mówił.

– Chyba się trochę pogubiłem – wyznał radośnie Hector. – Prawda jest jednak taka, że spałem z tobą i Sophie, co było niezwykle miłe i za co serdecznie wam dziękuję, ale nie spałem z Mathilde. Wprawdzie ona również tego pragnęła, ale nie jest w moim typie.

– Ty oślizgły, mały gnojku! – warknęła Mathilde. – Nie przespałabym się z tobą, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na ziemi.

– Nie tak się zachowywałaś, kiedy wślizgnęłaś się do mojego pokoju i szeptałaś mi do ucha o robieniu laski – odparował Hector, na co La Petite zareagowała kolejną salwą śmiechu.

Właściwie od jakiegoś czasu wydawała dziwne, charczące dźwięki, a kiedy nagle ustały, oczy wszystkich zgromadzonych w pokoju zwróciły się ku staruszce.

– Jeszcze nie – warknęła w końcu, nie otwierając oczu. – Nie martwcie się, uprzedzę was we właściwym czasie.

Clementine i Sophie odetchnęły z ulgą. Hector uśmiechnął się; Mathilde skuliła się w sobie.

– Pożałujesz tego! – syknęła, mierząc w niego pokrytym

strupami palcem, zanim w końcu spojrzała na siostry. – Wy także, żałosne idiotki. – Po tych słowach wyszła z pokoju.

– Już żałuję – przyznała Sophie, zerkając na siostrę. – Naprawdę żałuję.

– Ufałam ci – odrzekła Clementine. – Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką. – Ostatnie słowo wymówiła szeptem, tak bardzo było dla niej cenne i obce.

– Ale jestem twoją przyjaciółką – oburzyła się Sophie. – Nie wiedziałam! Hectorze, powiedz jej. Nie miałam pojęcia. W życiu nie zrobiłabym niczego, co mogłoby cię zranić, Mentine. Jesteś wszystkim, co mam. Proszę, nie złość się na mnie. Zrobię, co chcesz, żebyś tylko przestała się gniewać. Poza tym, jeśli się nad tym zastanowić, skoro już musisz być na kogoś zła, czy nie powinnaś się gniewać na Hectora? I czyja również nie powinnam być na niego wściekła?

Spojrzały na Cygana, który ze spokojem rozsmarowywał miód na kromce *pain au levain* i Clementine musiała przyznać, że jego widok nie wyzwał w niej złości.

– Nie jestem Mathilde. – Usłyszała w ciszy miękki głos Sophie.

– Nie wykorzystałam Hectora, by cię zranić. To nie to samo, co z Benoit. Nigdy nie zrobiłabym tego innej kobiecie, a zwłaszcza tobie, Mentine.

Nagle dotarło do niej, że Sophie ma rację: to nie było to samo, co z Benoit. Jej uczucia do dawnego ukochanego były zupełnie inne niż to, co czuła teraz do Hectora. Tu chodziło przede wszystkim o dotyk jego skóry, zapach włosów i subtelny kształt obojczyka. Prawdę powiedziawszy, nie myślała tak bardzo o Hectorze, jak o tym, że została zdradzona przez Sophie. Ale co jeśli nie było żadnej zdrady?

– No właśnie – odezwał się Hector z uroczym uśmiechem. – Po prostu się dzielimy.

– Cóż, nie wiem, czy nasza rodzina lubi się dzielić – odparła beznamytnie Clementine.

– Na pewno nie w takim stopniu – przyznała Sophie.

– Dobra, w takim razie, jeśli muszę wybrać jedną z was,

wybieram ciebie, Clementine – oświadczył, zatapiając zęby w chlebie.

– Naturalnie jeśli to możliwe.

Clementine otworzyła usta, by wyjaśnić, że coś takiego z pewnością nie jest możliwe; że nie zamierza być byle jakim ochłapem, o który można się targować jak o kurze udka w sklepie. Przypomniała sobie jednak, jak cudownie było wtulić się w mocne, brązowe ramiona tego mężczyzny i najzwyczajniej w świecie zaniemówiła.

Sophie wzięła to za „tak” i radośnie klasnęła w dłonie.

– W takim razie postanowione! – ogłosiła i posłała La Petite triumfujące spojrzenie.

– Postanowione – mruknęła bez urazy Clementine. W końcu miło jest zostać wybraną.

Le Cochelet

Następne dni w winnicy Peine były dziwniejsze od innych, a to już coś mówi, zważywszy na fakt, że każdy dzień w domu Peine'ów zasługiwał na miano dziwnego.

Trzy siostry mijaly się i wpadały na siebie niczym zwarzone składniki w kuchennym rondlu. Mathilde unikała pozostałych, podobnie jak wszyscy unikali Mathilde. Clementine, jak tylko mogła, unikała Sophie. Sytuacja z Hectorem jeszcze bardziej wzmocniła łączącą je więź, jednak Clementine czuła się tak wdzięczna, że wdzięczność ta dosłownie ją dusiła. Starła się czymś zająć, wozila skrzynie do winnicy, nadzorowała tłoczenie i odmierzała czas do chwili, gdy zanurzy się w miękkich prześcieradłach i przeistoczy w kobietę, którą zawsze chciała być, dla mężczyzny, o którym nawet jej się nie śniło.

W ciągu dnia nieczęsto zdarzało im się widywać, ale jeśli już tak się stało, Clementine miała wrażenie, że słońce celowo przesuwają swoje promienie i świeci tylko na nich dwoje. Nie chodziło o to, że Hector publicznie okazywał jej uczucia. Nie, nic z tych rzeczy. Zresztą Clementine umarłaby wtedy ze wstydu. Chodziło o to, jak stali blisko siebie. Magiczne chwile, kiedy ich ręce nieomal się dotykały, sprawiając że Clementine czuła się podniecona i żywsza niż kiedykolwiek przedtem. Kilka dni po tym, jak sprawa z Sophie została „postanowiona”, Clementine wpadła na niego na końcu rzędu, kiedy wozila do winiarni następne skrzynki z owocami. Hector odstawił kosz, rozejrzał się dookoła, jak gdyby chciał mieć pewność, że nikt nie patrzy i wskoczył na traktor. Oparł się plecami o zardzewiały przód ciągnika, tak że znalazł się dokładnie naprzeciw niej.

Boże, nikt nie wskakiwał na ciągnik tak, jak on. Poruszał się z wdziękiem pantery, co było porażające, zwłaszcza dla kogoś takiego jak Clementine. Wprawdzie potrafiła przełożyć jedną nogę nad siodełkiem roweru, kiedy nikt nie patrzył, w towarzystwie jednak stawała się niezgrabna i sztywna niczym marionetka w rękach kiepskiego lalkarza. Co gorsza, jej niezgrabność bywała

zaraźliwa. Ci, którzy zazwyczaj byli zwinni i zręczni, przy Clementine tracili poczucie rytmu, potykali się o przedmioty, które zwykle omijali i uderzali biodrami o krawędzie, których unikali od lat. Wyglądało to tak, jak gdyby Clementine pozbawiała niektórych ludzi ich wrodzonej gracji. Ale z Hectorem było zupełnie inaczej. Hector nie zaraził się jej niezgrabnością. Wręcz przeciwnie, to Clementine pochwyciła tę niezwykłą zręczność, z jaką się poruszał i odkryła w sobie kobietę pewną siebie, swojego ciała i seksapilu.

Z chwilą gdy się znalazł na traktorze, zanim dotarło do niej, co właściwie robi, pochyliła się i zatknęła za ucho ciemny kosmyk, który wystawał spod chusty osłaniającej głowę kochanka. Kiedy się uśmiechnął, odpowiedziała uśmiechem i wróciła na niewygodne siedzenie. Jej ruchy nie przypominały ruchów otyłych kobiet, dla których szczytem szczęścia jest przycupnięcie byle gdzie i na byle czym. Nie, ruchy Clementine były teraz lekkie i pełne gracji. Spod portfelowej spódnicy wychylnęło umięśnione, opalone udo, na które Hector zerknął gorącym wzrokiem. Clementine pławiła się w jego spojrzeniu. Pławiła. Chwilę później, kiedy zeskoczył, by wrócić do pracy, zareagowała na to z przesadnym zachwytem, choć nie powinna, i obserwowała jego rozkołysane biodra oraz mocny zarys ramion. W rozmarzeniu odrzuciła do tyłu głowę, zamknęła oczy, czując jak jesienne słońce łaskocze jej rzęsy i prześlizguje się po ustach. Kiedy ponownie otworzyła oczy, zobaczyła Benoit, który także siedział na traktorze, wlokąc za sobą skrzynki pełne winogron.

Po raz pierwszy od osiemnastu lat spojrzeli na siebie. Nie trwało to długo, choć wydawało się wiecznością. Clementine niemalże widziała, jak dzieląca ich odległość wypełnia się słowami – pomieszanymi, oddzielonymi, przeliterowanymi, spisanyymi różną czcionką rozmaitej wielkości, tak by żadne z nich nie uległo zapomnieniu, by nikt ich nie pomylił i nie zbagatelizował. Jak można pomyśleć tyle rzeczy w tak krótkim czasie i żadnej nie wypowiedzieć?, zastanawiała się Clementine. Jak to możliwe, że zrobiliśmy to, co zrobiliśmy i nigdy nawet o

tym nie wspomnieliśmy? Jak to możliwe, że istnieje ktoś, kogo sprowadziliśmy na ten świat, a kogo nigdy nie widzieliśmy? Ktoś, o kim boimy się myśleć? O kim nie mamy pojęcia? Jak to się mogło nam przydarzyć?

Nie wiedziała, czy Benoit cokolwiek rozumiał, czy dostrzegł którekolwiek z tych słów. Widziała tylko, że coś drgnęło w kącikach jego ust, być może nieśmiały uśmiech. Może zamierzał się przywitać, pogratulować albo zapytać: „jak coś takiego mogło się nam przydarzyć”?

Coś nas łączy, wiem na pewno, pomyślała Clementine. Czowała to przez cały ten czas, a teraz owo przekonanie było silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Tylko jaki to miało sens? Wytrzymała jego spojrzenie przez kolejną sekundę, po czym wrzuciła bieg i zniknęła w chmurze dymu.

Po drodze minęła Sophie, z którą wymieniła krótkie spojrzenie. Z uśmiechami Sophie nigdy nie miała problemów; jej własny przypominał kawałek wielkiego arbuza. La Petite miała rację co do serca najmłodszej Peine'ówny. Być może Sophie nie najlepiej radziła sobie ze słowem pisanym, ale miała w sobie dziecięcą serdeczność, połączoną z wrażliwością i zabarwioną zakłopotaniem. Przez jakiś czas trzymała się na uboczu, jednak z radością przyjęła świadomość, że najstarsza siostra wciąż jest jej najlepszą przyjaciółką.

Odwiózłszy winogrona, Clementine patrzyła, jak meunier spada kaskadami do pras i słuchała niemal nierozpoznawalnego chlupotu soku, który rurą spływał do kadzi.

W tym momencie stała dokładnie nad głową Mathilde, która w miarę mijającego winobrania stawała się coraz bardziej pochmurna i zapadnięta w sobie. Wciąż ścisnęła w dłoniach podkładkę, podobnie jak pióro Montblanc, którym wciąż skrobała papier. Jednak porzucony w pokoju telefon kpił sobie z niej, a sny o Edie i George'u zmieniły się w koszmary. Kolekcja pustych butelek po anyżówce rosła z każdym dniem, natomiast zapasy xanaxu systematycznie się kurczyły. Ubiegłej nocy, kiedy nie mogła zasnąć, podniosła ten przeklęty telefon i zaczęła wybierać

numer do domu. Powstrzymał ją jednak lęk. Lęk! Lęk przed czym? Nie umiała znaleźć odpowiedzi. Jedyne, co mogła zrobić, to wzgardzić sobą za to, że w ogóle go odczuwała, napić się anyżówki i czekać, aż sen uśmierzy ból i niedolę.

La Petite wiedziała o wszystkim; czuła to, leżąc w łóżku, gdy z radością oczekiwała na nadchodzącą śmierć, lub – jak kto wolał – na nowe życie. Nie było to nieprzyjemne uczucie; przypominało ulgę, kiedy człowiek znajdzie odpowiednią kombinację serów. Poza tym miała na głowie ważniejsze rzeczy. Śmierć nadchodziła powoli, ponieważ La Petite wciąż jeszcze miała do załatwienia pewne rzeczy. OlMer słusznie niepokoił się o Clementine i Sophie, te dwie jednak były przejrzyste niczym źródłana woda. Pierwsza cierpiała z powodu braku miłości i nie miała pojęcia, jak z nią postępować. Druga rozdawała miłość na prawo i lewo, nie oczekując niczego w zamian. Ale Mathilde, ta dopiero była skomplikowana! Owszem, wiedziała, czym jest miłość, ale jej nie chciała. Uciekała przed nią najdalej, jak tylko mogła, a w jej wypadku oznaczało to naprawdę wielki dystans. Jej sytuacja – dla odmiany – stanowiła nie łąda wyzwanie. Hector nie zdołałby pomóc Mathilde; sam był do niej zbyt podobny. Mathilde potrzebowała rodziny – całej rodziny.

– Myślę, że powinniśmy napisać list, Hectorze – oznajmiła tego samego wieczoru. Jej prawnuk leżał wyciągnięty na łóżku, opierając głowę na splecionych rękach.

– Do Amerykanów? – spytał.

– Oczywiście. Nie mamy zbyt wiele czasu, prawda?

– Jak dla mnie? Myślę, że skończymy jutro.

– Gruba już wie?

– Przecież wiesz, że wcale nie jest taka gruba.

– Tak, tak, ale czy wie, że wyjeżdżasz?

– Myślę, że tak. Zerwaliśmy już prawie wszystko i z pewnością wie, co dalej zrobić. A ty, Petite? Ile czasu ci zostało?

Staruszka uśmiechnęła się.

– Prawdę powiedziawszy, jestem już gotowa. Problem w tym, że Peine'ówny stanowią większy problem, niż mogłam się tego

spodziewać. Musimy napisać ten list. Nie ma takich ustrojstw na świecie, które pomogłyby Mathilde. Potrzebujemy tych dwojga i jeszcze kogoś. Wiesz, co mam na myśli?

– Rozumiem wszystko, oprócz gadki o ustrojstwach, La Petite. Nie używaliśmy tej nazwy od wieków.

Jak zwykle ostatni dzień winobrania uczczono hucznym przyjęciem, nazywanym przez zbieraczy *le cochelet*. Kiedy zerwano już ostatnie grono i wyciśnięto z niego ostatnią kroplę soku, krewni La Petite zgromadzili się na podwórzu, pomiędzy domem a winiarnią i zasiedli przy prowizorycznych stołach pełnych butelek wina, bochenków chleba i parujących mis *potee champenoise*, tradycyjnej potrawy z mięsa, kapusty i innych bogactw z przydomowego ogródka.

Zazwyczaj Clementine nienawidziła *le cochelet*. W minionych latach niechętnie szykowała jedzenie i chowała się w pokoju, gdy zbieracze częstowali się szampanem Peine, ignorując Oliviera, który powoli upijał się pod stołem.

W tym roku było inaczej. Siedziała przy głównym stole u boku Hectora i z wypiekami na twarzy proponowała swoim gościom kolejne butelki szlachetnego wina, które przyniosła z piwniczki.

Jej najmłodsza siostra siedziała przy sąsiednim stole, pomiędzy ciemnookim młodym sobowtórem Hectora a siwowłosym, męskim odpowiednikiem baśniowej Roszpunki, której brwi były tak długie i krzaczaste, że stykały się z włosami. Było to pierwszy *la cochelet* Sophie, która najwyraźniej pokochała to święto z jego beztroską atmosferą, głośną paplaniną, brzękiem kieliszków i talerzy. Nawet La Petite, nie chcąc opuścić zabawy, poprosiła Hectora, by zniósł ją na dół. Królowała teraz przy głównym stole i opatulona kocami, świętowała w rodzinnym gronie, podnosząc co chwila kieliszek do ust.

Tylko Mathilde wymigała się od przyjęcia i zamknęła w pokoju, mając głowę pełną czarnych myśli i niepokój w sercu.

Kiedy zabrzmiała muzyka – pośród gości było co najmniej trzech skrzypków – La Petite pokazała w uśmiechu swe bezzębne dziąsła, patrząc, jak Hector podrywa zza stołu Clementine i wiruje

z nią po brukowanym dziedzińcu.

– Popatrz tylko, co odrobina pieprzonka może uczynić z kobietą! – zakrakała w swym ojczystym języku, do siedzącego obok prawnuka siostry.

– Z pewnością nie wygląda, jak stara, zgorzkniała śliwka, którą zwykle oglądaliśmy o tej porze roku – zaćwierkał, nie odrywając oczu od swojej piętnastoletniej kuzynki w drugiej linii, której goły brzuch przyciągał jego uwagę.

– Śliwka zniknęła – westchnęła La Petite. – Zniknęła. Jednak ta stara śliwka wróciła jeszcze tej samej nocy, gdy Hector – po tym, jak nakarmił ją, napił i kochał się z nią tak namiętnie, że czuła to każda kosteczka w jej ciele – wyslizgnął się z łóżka i oznajmił, że zobaczą się w przyszłym roku.

– Przyszłym roku! – wrzasnęła Clementine, siadając na łóżku; jej krągłe, nagie ramię błyszczało w świetle księżyca. – Ale! Ale! Ale!

– Czego się spodziewałaś? – spytał łagodnie, siadając na skraju łóżka i wbijając wzrok w miękką, przytulną dolinę pomiędzy jej piersiami. – Teraz to ja jestem głową rodziny. Jesteśmy potrzebni gdzie indziej.

– Trzeba się dzielić w innym miejscu, tak? – spytała tęsknie, bo złość już ją opuściła.

– Tak to już jest, Mentine – odparł, całując ją w szyję i szepcząc do ucha: – I czyż to właśnie nie jest idealne? Jak najprzedniejsze zabajone.

Tak niedawno pojawił się w jej życiu i z radosnym śmiechem cisnął wysoko w powietrze wszystkie mroczne myśli, sprawiając, że niczym kamyczki rozsypały się po całej ziemi.

A teraz nadszedł koniec. Wiedziała to. Jednak nie chciała znów stać się rozgoryczoną, porzuconą kobietą, ponieważ wiedziała, że lepiej być przez chwilę kochaną przez kogoś takiego jak Hector, niż w ogóle nie doświadczyć miłości.

Miała w sercu smutek, mnóstwo smutku, ale także radość – ten rodzaj szczęścia, z którego istnienia nie zdawała sobie sprawy aż do chwili, gdy w jej życiu pojawił się Hector.

Zastanawiając się nad tym, nie miała innego wyjścia, jak tylko pozwolić sobie na ostatni, porządny seks, a potem pozwolić kochankowi odejść.

Następni goście

Ciepło opuszczało Dolinę Marny, zabierając ze sobą intensywną zieleń liści winorośli i zostawiając dropiaty, brązowy dywan.

Nadejście pierwszych tej jesieni przymrozków nie zaskoczyło nikogo. Chłód o tej porze roku nie mógł dokonać poważniejszych szkód, rdzewiejące kominy stały więc spokojnie w ciepłych szopach. Tak czy inaczej, liście opadną, a wtedy nadejdzie czas żmudnej pracy przy przycinaniu gałązek.

Jedyną osobą w dolinie, która nie spała tej zimnej nocy, okazała się Mathilde i był to czysty przypadek, że kiedy temperatura spadała, spadał też jej nastrój, który o poranku po cichu sięgnął dna.

Leżała rozbudzona całą noc, a nawet wówczas gdy poranne słońce zajrzało do pozbawionego zasłon okna. Jego promienie były wystarczająco jasne, by ranić jej oczy, jednak nie potrafiły rozgrzać ciała. Nawet kołdra nie dawała schronienia od chłodu, który uparcie kąsał Mathilde. Jedyną rzeczą, która mogła uleczyć skostniałe ciało, była wciśnięta między prześcieradła, niemal pusta butelka.

Gdyby Mathilde była winoroślą, przodkowie z pewnością porównaliby ją z dorodnymi krzewami rosnącymi dookoła domu i sprawdzili jej zdolność przeżycia. Widać było, że coś wpełzło pod jej skórę i wysysało z niej życie. Każdy winiarz z prawdziwego zdarzenia wiedział, że w takiej sytuacji istniały tylko dwa wyjścia: poddać się, wykopać sadzonkę i wyrzucić ją na kompost, albo wytrwać, ocalić usychającą winorośl i zaszczepić ją na nowym, zdrowym krzewie.

Jednak Mathilde nie była winoroślą. Wiedła i marniała w samotności jak roślina na skalistym występie. Nikt nawet nie zauważył, jak wyciekało z niej życie. Tylko jej ciało, słabe, wyniszczone, zależne od butelki, świadczyło o tym, co się z nią działo. Była chuda niczym patyk, a jej skórę pokrywały blizny i strupy po wysypce, której nie mogła się pozbyć. Włosy miała

cienkie i potargane, a czerwone odrosty sprawiały, że zapomniane, paryski blond wydawał się spłowiły. Podobnie jak ciało Mathilde, cierpiała również jej dusza. Zbyt dużo alkoholu i zbyt mało jedzenia zmieniło jej myśli w bezładną plątaninę. Jedyną rzeczą, której była świadoma, był lęk gromadzący się w skurczonym żołądku niczym guz; powiększający się, coraz silniejszy i bardziej dokuczliwy.

Praca w winiarni dobiegła końca kilka, a dni później Mathilde stwierdziła, że nie jest w stanie napisać na kartce kolejnego słowa. Pióro niewygodnie układało się w palcach i rosło w jej dłoni, aż nie była w stanie go utrzymać. Jej myśli również przeszkadzały w pracy; a umysł nie miał wpływu na to, kiedy i o czym chciała myśleć.

Mathilde była tym przerażona, a jednak trwała samotna na swoim skalnym występie. Zraziła do siebie wszystkich złośliwością, tak więc nikt nie zauważył jej stanu i nikt nie przyszedł z pomocą.

Od czasu gdy po wyjeździe Hectora wygłosiła do Clementine kilka kąśliwych uwag, siostry omijały ją szerokim łukiem.

– Na pewno jest już w Ardenach i zabawia się w towarzystwie osiemnastoletniej striptizerki – oznajmiła bez troski. – Cóż za ulga, że wreszcie wyrwał się od takiej kluchowatej, starej baby jak ty.

Jednak to był za ledwie początek upadku Mathilde. Wypowiadając owe słowa, wiedziała, że jakkolwiek okrutne i bolesne, nie przyniosą jej żadnej ulgi ani satysfakcji. Zazwyczaj, gdy trafiała do celu, czuła się jak wytrawny łowca. Nie była to wyimaginowana radość; tylko niemal fizyczne doznanie, bolesny triumf, celny strzał, który uderzał prosto w serce. W normalnych okolicznościach przenikał jej ciało i to z niego czerpała siłę – jak gdyby na chwilę została podłączona do sieci wysokiego napięcia. Jednak teraz owo uczucie zniknęło, zastąpione diabelskim uciskiem w sercu, który mogły zagłuszyć tylko najostrzejsze słowa.

Od tamtego czasu Mathilde czuła, jak resztki zdrowego

rozsądku przeciekają między jej wysuszonymi palcami. Piła całą noc, by zapanować nad tym, co ją dręczyło, i w końcu nie miała już siły, by zwlec się z łóżka, a nikt nie zainteresował się jej losem.

Nikt poza La Petite. Po raz pierwszy w swym długim życiu postanowiła zostać u Peine'ów, podczas gdy pozostali zbieracze wyruszyli w dalszą wędrówkę. Clementine była zdumiona, Sophie rozanielona, Mathilde jednak najchętniej dźwignęłaby staruszkę i wyrzuciła przez okno. Ach, jakże nienawidziła tej starej wiedźmy za to, że zatrąła atmosferę w domu! Jednak pozostałe dwie siostry ignorowały wszelkie protesty i Mathilde przestała wreszcie ciskać gromy, a La Petite niemalże wtopiła się w nowy, przedziwny rytm życia.

Teraz, kiedy Mathilde leżała zmarznięta i odrętwiała pod kołdrą, staruszka usiadła w ciepłym łóżku i głaszcząc leżącego obok Świnka, wyciągnęła chudą, pomarszczoną szyję, by zobaczyć, jakie szkody wyrządził pierwszy tej jesieni przymrozek. Żałowała, że nie może zejść na dół i popatrzeć na świętego Wincentego. Mróz z pewnością ozdobił jego głowę skrzącym się, białym beretem, który zawsze tak bardzo ją śmieszył. Mimo to westchnęła zadowolona, że było jej tak ciepło i blisko do nieba, pomimo że Matka Natura przykryła wszystko wokół zimnym, białym kocem. Westchnienie przerodziło się w czkawkę, a wówczas musiała zawołać Sophie, by przyniosła jej filiżankę herbaty i kawałek zamkniętego w szafce rachatlukum, na które miała wielką ochotę.

Jak wszystkim w domu, brakowało jej Hectora, tego ranka jednak zajmowało ją coś innego; nie woda różana ani pistacjowe przysmaki. To miał być wielki dzień. Ten wielki dzień. Wprawdzie przodkowie Mathilde nie pojawili się w domu, by ostatecznie zdecydować o jej losie, mieli jednak w La Petite sprzymierzeńca i pełnomocnika, bo staruszka nie zamierzała odchodzić z tego świata, dopóki nie będzie miała stuprocentowej pewności, że pędy średniej Peine'ówny zostały przeszczepione, a nie wyrzucone. La Petite z radością odnotowała owo szczególne

uczucie podniecenia, ponieważ wcześniej żywiła pewne obawy, że list został wysłany za późno lub też nie został napisany we właściwy sposób.

Kiedy po raz kolejny powróciła do dręczących ją wątpliwości, gdzieś na zewnątrz dał się słyszeć zgrzyt kół, trzask zamykanych drzwi, chrzęst żwiru pod stopami i – po krótkiej wymianie zdań, która zazwyczaj odbywała się pod pozbawionymi kołatki drzwiami – donośne pukanie.

Na dole Sophie nieomal wyskoczyła ze skóry. Clementine była w piwnicy, szukając pocieszenia pośród dojrzewającego wina, tak więc z pewnością nie ona czaiła się za zamkniętymi drzwiami. Kto to mógł być? Odkąd tu zamieszkała, tylko dwie osoby zapukały do drzwi – ona sama i nerwowy, pryszczaty ksiądz, na którego Clementine nawrzeszczała z taką zjadłością, że biedak uciekł gdzie pieprz rośnie, nie przekroczywszy nawet progu.

Słyszając pukanie, odstawiła tacę z herbatą i kiedy w końcu otworzyła krnąbrne drzwi, spojrzała zdumiona na stojącą w progu miniaturową wersję najstarszej siostry. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś zmniejszył Clementine, wkładając ją do kserokopiarki. Dowcipnie zachował właściwe proporcje, kręcone, rude włosy, podejrzliwe, ciemne oczy, a nawet nieufne, lekko wykrzywione zaciśnięte wargi, z których jedna delikatnie zachodziła na drugą.

Przez chwilę Sophie była kompletnie zdezorientowana.

– Amelie? – spytała. Ale jak to możliwe? Amelie miałyby teraz siedemnaście albo osiemnaście lat. Istota, która stała w drzwiach, była zaledwie słodką dziewczuszką.

– Kim, do cholery, jest Amelie? – spytała szczerze zdumiona słodka dziewczuska, a piegi na jej nosie zafalowały niczym pomarańczowe islandzkie maki.

– Proszę wybaczyć, mademoiselle – wyjaśnił fatalną francuszczyzną wytworny mężczyzna, stając obok małej damy. – Bardzo mi przykro, że nachodzimy panią tak niespodziewanie, jednak sądziłem, że tak będzie najlepiej. Czy możemy wejść?

Procesy myślowe zachodziły w głowie Sophie w zwolnionym tempie. Chwilę później przyjrzała się mężczyźnie. Nosił drogi,

czarny, wełniany płaszcz, cudowne, skórzane rękawiczki i lśniące, wypucowane buty, które – zdaniem Sophie – na pewno czyścił ktoś zupełnie inny. Mężczyzna miał starannie przystrzyżone włosy i wyjątkowo białe zęby. Wyglądał bardzo po amerykańsku. Sophie na chwilę otworzyła usta ze zdumienia.

– George? – Po tych słowach przeniosła wzrok na dziewczynkę. – I Edie? Masz na imię Edie?

– No, przynajmniej tu o nas słyszeli – zwróciła się Edie do ojca, głosem zbyt dojrzałym jak na kogoś, kto wciąż nosił przy pasku od spodni lekko przybrudzoną, różową panterę. Dziewczynka zadrżała pomimo kożuszka z owczych skór i zajrzała do ciemnego korytarza.

– Wybaczcie – rzuciła Sophie, uświadamiając sobie, że wciąż przecież stoją przed drzwiami. Wiatr hulał po zmarzniętej ziemi z taką zajadłością, że koniuszki uszu błyskawicznie przypominały odłamki lodu. – Jestem Sophie. Wejdźcie, wejdźcie, proszę.

– Ale tu śmiesznie pachnie – zauważyła Edie, idąc w głąb korytarza. – Mam nadzieję, że macie ubezpieczenie od pleśni.

– Całkiem nieźle mówisz po francusku – odrzekła Sophie, ignorując uwagę dziewczynki i prowadząc gości do kuchni. – Matka cię nauczyła?

– Tak, jasne – odparła Edie. Chwilę później usiadła przy kuchennym stole i mimochodem musnęła dłonią różową panterę. – Masz jakieś lody z wiórkami czekoladowymi?

– Proszę wybaczyć mojej córce – wtrącił George. – To był długi dzień i dałem jej w samochodzie lukrecję.

Sophie nie do końca wiedziała, co miał na myśli, ale pokiwała współczująco głową i postawiła na stole dzbanek z kawą.

– Chce przez to powiedzieć, że tam, skąd pochodzimy, dzieci nie powinny jeść słodczy wyjaśniła Edie. – Bo robią się nadpobudliwe. A co z żabami? Macie tu żaby? I ślimaki? Je też jecie, prawda? Tak przy okazji, czy jest tu moja mama? Ona nie lubi pleśni. Macie nawilżacze?

– Edie – wtrącił zmęczonym głosem mężczyzna. – Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w samochodzie?

Edie zagryzła usta.

– O tym, że po skorzystaniu z publicznej toalety należy umyć ręce, bo przez kontakt z deską klozetową można mieć dzićcko?

– Edie! – To z pewnością była długa podróż. – Wiesz przecież, że to nieprawda! I przecież nie o tym rozmawialiśmy.

– Tak, tak, tato. – W głosie dziewczynki dała się słyszeć ta sama dorosła nuta. – Wiem. Mam być bardzo cicho i nie przypominać mamie o tym, że uciekła i zostawiła mnie samą.

– Edie!

– Co? – spytała Edie, patrząc na ojca wielkimi, niewinnymi oczami. – Rozmawiam z Sophie. Nie powiedziałaś mi, że mam z nią nie rozmawiać. Nawet o niej nie wspomniałaś.

Sophie przyniosła na stół bagietkę i słoiczek dżemu z mirabelek, a na ten widok twarz dziewczynki natychmiast pojaśniała.

– Fajnie! Jaka wspaniała bułka! Mama mówi wszystkim, że nie mogę jeść glutenu, ale tylko tak mówi, bo przecież nie mam żadnej alergii ani niczego podobnego. Hej – wykrzyknęła z pełnymi ustami – ten dżem jest pyszny. Czy to śliwki? Czuję imbir. Pychota!

George wyglądał, jak gdyby miał ochotę powiedzieć córce, żeby zwolniła tempo, ale zamiast tego rozejrzał się po przytulnej kuchni.

– A więc to tu była przez cały ten czas – zauważył tęsknie. Sophie nie miała zamiaru wyjaśniać, że Mathilde odwiedzała kuchnię tylko wtedy, gdy wszystkie popielniczki w domu były już pełne i musiała znaleźć następną.

– Yhm – zgodziła się, posyłając szwagrowi nieśmiały uśmiech.

– Edie, nie masz ochoty wyjść na podwórko i pobawić się przez kilka minut? – spytał. – Chciałbym porozmawiać z Sophie.

Edie zmierzyła go obojętnym wzrokiem.

– Pobawić się? – odparła, teatralnym gestem odkładając bułkę i dżem z powrotem na talerz. – Gdzie? Czy to nie farma? Czym niby mam się tu bawić? Kombajnem? Stogiem siana? Tato, proszę, ja jestem z Manhattanu.

Sophie nie była w stanie nadażyć za paplaniną dziewczynki, jednak to, co usłyszała, stanowczo jej wystarczyło.

– Chwileczkę – powiedziała, podchodząc do schodów, i gwizdnęła donośnie. Chwilę później z pokoju La Petite wymaszerował Świnek i tanecznym krokiem wszedł za Sophie do kuchni.

Widząc go, Edie nieomal spadła z krzesła.

– Co to ma być? – wykrztusiła. Zapominając o różowej panterze, padła na kolana i wyciągnęła ręce w kierunku miniaturowego konia, który radośnie trącił nosem jej palce. – Jejku! Jego szyja tak pięknie pachnie! – Mówiąc to, wtuliła twarzyczkę w kark zwierzaka. – Jak nowe buty!

– To miniaturowy kucyk – wyjaśniła Sophie – ale nazwany na cześć świnki. Myślę, że możemy tu mówić o małym nieporozumieniu w trakcie porodu.

– Jest uroczy. – Edie była urzeczona, podobnie jak Świnek. – Prawda, tatusiu? Spójrz tylko na ten mały ogon i kopytka! Jest jak pies, tylko milion razy lepszy. – Świnek polizał jej rozpromienioną buzię ostrym, różowym językiem i wśród popiskiwań i śmiechu wybiegli oboje z kuchni wprost na poranny chłód.

Edie

Dostałem list – wyjaśnił George, kiedy dziewczynka zniknęła za drzwiami – od... chyba pisała, że jest waszą prababką, madame Petite?

Sophie roześmiała się. Cóż, La Petite z pewnością była czyjaś prababką i widać musiała uznać, że będzie lepiej, jeśli nie przedstawi się George'owi jako wędrowną zbieraczka winogron, wynajmowana do pracy przez ojca jego przedziwnej żony. – Co pisała? – spytała uprzejmie.

– Napisała, że Mathilde jest tutaj i rozpaczliwie nas potrzebuje. Odniosłem wrażenie, że miała... sam nie wiem, jakieś kłopoty.

– Nie myślałeś o tym, żeby przyjechać wcześniej? Jest tu przecież od maja.

Te słowa dosłownie wyrwały się z jej ust i Sophie pożałowała ich, gdy tylko zerknęła na zbolaną twarz George'a.

– Wiem, co o mnie myślisz – odparł – i wierz mi, ja też tak uważam. Ale prawda jest taka, że boję się latać. Nie siedziałem w samolocie, od czasu gdy byłem w wieku Edie. To znaczy, aż do dziś, do wczoraj, nieważne. Wciąż...

Zamilkł i na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Nagle jego włosy wydały się rzadsze i bardziej siwe; kołnierzyk koszuli nie był już tak świeży i wyprasowany, a paznokcie tak idealnie obcięte i wypielęgnowane.

– Przepraszam – ciągnął po chwili, nie podnosząc głowy znad stołu. – To był bardzo długi dzień. Zgubiliśmy się w drodze z lotniska. Edie zadawała tak wiele koszmarnych pytań, na które nie znałem odpowiedzi. Nie wiem, co się, do cholery, dzieje. Taka jest prawda. Nie wiem, co się, do cholery, dzieje, ale – cholera – to też nie to. Cholera!

Sophie milczała. Widziała już ludzi, którzy próbowali zrozumieć swoje problemy, a George robił to nadzwyczaj kulturalnie. Czekala więc.

– Po pierwsze, nie przyjechałem wcześniej, bo myślałem, że Mathilde niebawem wróci do domu – zaczął w końcu. –

Naprawdę miałem taką nadzieję. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej – znikająca na jakiś czas, zostawiała kilka wiadomości, zachowywała się, jak gdyby nie było w tym nic niezwykłego i wracała z drogimi prezentami. Oczywiście nigdy nie przeproszała. To w jej stylu. Ale jest tego warta. Akceptuję to. To znaczy, akceptowałem przez długi czas. Tym razem jednak było inaczej. Tym razem, zanim zdążyłem się zorientować, tydzień zamienił się w dwa tygodnie, a te w następne cztery. Nie było jej przez miesiąc; przez cały miesiąc i wiesz co? – Kiedy spojrzał na Sophie, w jego oczach błyszczały łzy. – Dotarło do mnie, że wolę, jak jej nie ma. – Głos mu się załamał. – No i Edie, mój Boże, Edie stała się zupełnie innym dzieckiem. Szczęśliwym. Normalnym. Żadnych napadów złości, żadnych awantur. Nic. – Zamilkł i pozwolił, by Sophie naląła mu jeszcze jedną filiżankę kawy.

– Przepraszam – powtórzył po chwili. – Nigdy mi się to nie zdarzyło. Chyba jestem zmęczony po podróży. Nawet mnie nie znasz, a ja otwieram przed tobą serce przy kuchennym stole.

– Nie ma w tym nic złego, to znaczy w stole – odparła pobłaźliwie Sophie. – Chcesz, żebym powiedziała Mathilde o waszym przyjeździe?

George odetchnął głośno.

– Jak ona się czuje?

Sophie zdecydowała się na dyplomację.

– Nie wiem, jaka była wcześniej – zauważyła.

– Wiem, że potrafi być trochę uszczypliwa – przyznał George.

– Można powiedzieć, że słynie z tego, zwłaszcza gdy jest zmęczona. Zbyt ciężko pracuje.

– Z pewnością jest uszczypliwa, odkąd przyjechała – przyznała Sophie. – I nie wygląda najlepiej. Dużo pije i chyba bierze jakieś pigułki. – Prawdę powiedziawszy, nie widziała Mathilde od dwóch dni. – Właśnie przyszło mi do głowy, że od jakiegoś czasu w ogóle nie wychodzi z łóżka.

George milczał. A więc o to chodziło.

– W domu – zaczął – nazywamy to...

– Ty draniu!

Sophie niemalże spadła z krzesła, choć mogła była przypuszczać, że Mathilde czaiła się gdzieś za rogiem, podczas gdy w kuchni wyjawiano jej sekrety.

– Jak śmiesz!

George otworzył usta, by odpowiedzieć żonie, jednak na widok jej stanu całkiem stracił mowę. Szlafrok zsunął jej się, odsłaniając kościste ramię; włosy miała brudne i skołtunione, a zapadnięte oczy przesuwały się nieprzytomnie po kuchni.

– Jak śmiesz tutaj przyjeżdżać?! Jak śmiesz z nią rozmawiać! – Mówiąc to, wyciągnęła w ich kierunku drżący palec. Wyglądała jak wiedźma.

Dokładnie w tej samej chwili Świnek postanowił wrócić do kuchni, ciągnąc za sobą zarumienioną, umazaną błotem Edie. Dziewczynka miała liście we włosach, a lekko zsunięte spodnie odsłaniały blady pasek gładkiego, pulchnego brzuszka.

– Mamo! – zawołała na widok Mathilde. Ruszyła w jej kierunku, nabrała jednak wątpliwości, gdy Świnek zaparł się w miejscu, przewrócił oczami i przerażony pokazał zęby. Edie również przystanęła i natychmiast zmieniła taktykę. – Mogę mieć takiego małego konika, mamusiu?

Mathilde nie próbowała nawet ukryć przerażenia na widok córki. Sophie zaś z trudem powstrzymała okrzyk, gdy na twarzy Edie odmalowały się zmieszanie, zaskoczenie i lęk.

– Mamusiu? – Głos dziewczynki nie był już radosny i brzmiał niczym żałosny skowyt. Edie podniosła z krzesła różową panterę i zaczęła nerwowo szarpać jej ucho. – Będę go karmiła, wyprowadzała na spacer i sprzątała po nim. Po tym małym koniku. Nie będzie tak, jak z psem, mamo. Albo chomikiem. Albo szczurem. Obiecuję. Mamusiu?

W odpowiedzi Mathilde machnęła pastelowym szyfonem, obróciła się na pięcie, wybiegła na korytarz, otworzyła drzwi, wskoczyła do samochodu i odjechała.

– Cholera – warknął George, patrząc, jak zniknęła w tumanach kurzu. – Cholera, cholera, cholera.

– Masz przecież samochód – ponagliła go Sophie. – Jedź za

nią.

– Co takiego zrobiłam? – spytała Edie płaczliwym głosem. – Tatusiu, co ja takiego zrobiłam? Przecież nie powiedziałam ani słowa o tym, że wyjechała. Chciałam tylko mieć małego konio-prosiaka. Tatusiu? Tatusiu?

– Nie teraz, Edie. !

– Zajmę się nią – obiecała Sophie, popychając szwagra w kierunku samochodu. – Niech pan jedzie.

– Ona mnie nienawidzi, nienawidzi mnie, nienawidzi – płakała Edie, patrząc jak ojciec szuka kluczyków i wskakuje do wypożyczonego samochodu, by dogonić Mathilde.

Sophie objęła jej drżące ramiona i wprowadziła małą do domu. Tuż obok nich posłusznie dreptał Świnek. Kiedy weszły do środka, Edie odepchnęła jej ręce i przycupnęła u podnóża schodów, zanosząc się od płaczu. Z początku Sophie starała się ją uspokoić, wiedząc jednak, co czuje dziecko porzucone przez własną matkę, sama również zaczęła płakać.

W takich sytuacjach cierpliwość Świnka była niezwykle ograniczona. Koniec końców dorastał z Clementine i Olivierem, tak więc nie przejmował się innymi emocjami niż gniew. Po kilku minutach przypomniał sobie wygodne łóżko La Petite i obrzuciwszy dwie szlochające istoty ostatnim, pełnym odrazy spojrzeniem, przecisnął się między nimi i stukając kopytkami, poczłapał na górę.

– Sophieeeee. – Niedługo później dało się słyszeć przeciągłe wołanie. – Sophieeeee! – Edie i Sophie otarły łzy i spojrzwały w kierunku sufitu.

– Co to? – Edie pociągnęła nosem. – Brzmi upiornie. Sophie roześmiała się, odzyskała humor i wytarła nos.

– Bo na swój sposób jest upiorne. – Mówiąc to, dźwignęła się ze schodów i wyciągnęła rękę w kierunku dziewczynki. – Chodź, poznasz La Petite.

Kiedy weszły do pokoju, staruszka siedziała na łóżku, drżąc ze zniecierpliwienia.

– Ahaa – zaskrzeczała. – W końcu mam okazję poznać

następne pokolenie. Witaj, moja droga.

Edie podeszła prosto do łóżka, dotknęła pulchnymi palcami pomarszczonej twarzy kobiety i poklepała jej tłusty warkocz. – Jejku! Ile masz lat? – spytała. – Chyba z tysiąc.

– Tak właśnie się czuję – przyznała La Petite. – Ale równie dobrze mogę mieć tylko pięćset. Jak ci się tu podoba?

– Ten mały koń jest świetny – odrzekła Edie, wskakując na łóżko i częstując się rachatlukum. – Ale moja mama uciekła, co nie jest takie dziwne, bo kiedyś już też uciekła. No a tata jest spięty i wściekły. Sama już nie wiem, jak to się wszystko skończy.

Sophie była zdumiona. Zdawało jej się, że Edie i La Petite znają się od lat i kontynuują rozmowę, którą zaczęły wcześniej tego dnia przy herbacie i bułeczkach.

– Znacie się już? – spytała, siadając w nogach łóżka i częstując się słodyczami.

Edie zerknęła na La Petite.

– Wyglądasz jak pani Milligan. Ona mieszka w naszym budynku – zauważyła. – Tylko jej zmarszczki nie rozchodzą się w tak wielu różnych kierunkach.

La Petite wybuchnęła huczącym śmiechem...

– Pani Milligan robi najlepsze czekoladowe ciasteczka – wyjaśniła Edie. – Mówi, że bezglutenowe jedzenie to gówno. – Włożyła do ust kolejny kawałek rachatlukum. – To jest pyszne – mruknęła.

– Smakuje jak kwiaty.

– Jak wszyscy w rodzinie, ty też umiesz mówić – zauważyła uprzejmie La Petite, choć Sophie była innego zdania. – A cóż to za łożki lśnią na tych policzkach?

Edie zerknęła na nią, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– Nooo – zaczęła w końcu, wysuwając figlarnie podbródek – chyba każde dziecko płacze, kiedy matka od niego ucieka. Już dwa razy.

La Petite podała Swinkowi kawałek cukierka, choć wiedziała, że zwierzak przepada za czekoladkami. Kucyk wypluł poczęstunek na płócienne prześcieradło Mathilde i kilkakrotnie

bez entuzjazmu musnął go językiem. W końcu westchnął i przymknął oczy.

– Jak myślisz, dlaczego twoja mama tak bardzo lubi uciekać?

– spytała La Petite.

Edie nerwowo szarpnęła rękaw.

– Myślę, że schrzaniłam jej życie – no wiesz, tym że w ogóle się urodziłam.

– To nieprawda – odparła Sophie. – Nie możesz tak mówić.

– Sama tak mówi – oświadczyła dziewczynka, zbijając ją z tropu.

– Potrafi być naprawdę podła – przyznała La Petite. – Zdążyliśmy to zauważyć.

– Naprawdę? – Edie była zaskoczona. – Zazwyczaj dorośli nazywają to inaczej.

– Dorośli potrafią być denerwujący – ciągnęła staruszka – ale moim zdaniem „podły” znaczy podły; zwłaszcza gdy ofiarą owej podłości pada inny człowiek. Naturalnie istnieją powody, dla których ludzie stają się podli. Nie jest to w pełni naturalny stan rzeczy.

– Ale jakie powody ma Mathilde? – Sophie czuła, że musi zadać to pytanie. – Dostała wszystko, o czym można marzyć. Czego jej brakuje?

– No, Edie? – spytała La Petite. – Czego jej brakuje?

Edie zmarszczyła nosek i wzięła głęboki oddech. To, że nikt nigdy nie pytał jej o zdanie, nie oznaczało, że go nie miała.

– Myślę, że jej życie nie potoczyło się tak, jak tego chciała – odparła tonem, który sprawił, że Sophie znów zebrało się na płacz.

– Może nie wiedziała, jak to jest mieć dziecko, i gdybym była parą butów, odniosłaby mnie do sklepu i zażądała zwrotu pieniędzy, tłumacząc, że nie pasują. Tyle że z dziećmi nie wolno robić takich rzeczy. Są pewne prawa.

– Jak na mój gust wyglądasz zupełnie w porządku – oświadczyła La Petite. – Dlaczego myślisz, że możesz jej nie pasować?

– No cóż... – zawahała się Edie, szarpiąc długie, rude lok –

chyba woli blondynki...

– Przecież to tylko włosy! – jęknęła coraz bardziej zrozpaczona Sophie.

– Tak, ale nie jestem taka ładna, jak ona, no i jestem dość okrągła. Naprawdę lubię lody z wiórkami czekoladowymi, chociaż mama powtarza wszystkim, że mam alergię na laktozę i gluten. Ale nie jestem, no wiecie, żadną alergiczką. Po prostu mama nie pozwala mi jeść pewnych rzeczy.

– No to pięknie. – La Petite wydawała się niewzruszona. – Biedne dziecko. Przyjechałaś tu w odpowiednim czasie. Nie martw się, moja słodka, ani o mamę, ani o tatę, ani o nic innego. Wszystko będzie dobrze.

Pradziadek La Petite powtarzał jej, że biedne, strapione dusze czekają tylko, by ktoś im powiedział, że wszystko dobrze się ułoży. Nie było w tym żadnej magii.

– A co ze szkołą? – ciągnęła staruszka.

– A, to. – Twarz Edie spoważniała i Sophie poczuła w piersi znajome ukłucie. – No cóż, dobra wiadomość jest taka, że według testów wcale nie jestem aż tak głupia; mam tylko pewne problemy z pisaniem i czytaniem. Nie jestem jedyną osobą w piątej klasie, która ma dodatkowe lekcje, ale to mamę strasznie wkurza.

Mała, pulchna rączka sięgnęła do pudełka z rachatlukum, wzbijając w powietrze chmurę cukru pudru.

– Edie – odezwała się La Petite poważnym tonem. – Powiem ci coś, czego być może nie powie ci nikt inny i chcę, abyś słuchała mnie bardzo uważnie. Kiedy odejdę, chcę, żebyś słuchała swojej ciotki Sophie, ponieważ ona powie ci dokładnie to samo. To coś, co powinnaś wiedzieć.

Edie spojrzała na nią spod oka.

– Jeśli chodzi o męski penis i kobiecą waginę, już o tym słyszałam i prawdę powiedziawszy, nie dziwię się, że wszyscy tak dużo pijecie.

– Obiecuję, że kwestię penisa i waginę zostawię komu innemu – odparła La Petite, zachowując kamienną twarz.

– Cóż za ulga – odparła Edie. – Dobra, wal.

– W swoim życiu, które jak wiesz, było całkiem długie – zaczęła staruszka, poprawiając się na łóżku i składając na kołdrze pomarszczone dłonie – widziałam wiele, wiele małych dziewczynek, z którymi było coś nie tak. Dlatego tu i teraz mogę złożyć oficjalne oświadczenie, że ty nie jesteś jedną z nich. Wszystko jest z tobą w porządku! Wszystko! Jesteś po prostu idealna. Idealna. Problem w tym – i nie chodzi tu wcale o ciebie – że twoja mama jest podła. To nie jej wina, co nie zmienia faktu, że taka właśnie jest. Podła. Nigdy nie nauczyła się być dobrą matką i to fatalnie dla was obu. Jednak dobra wiadomość jest taka, że jeszcze nie za późno. Nigdy nie jest za późno. Twoje ciotki i ja zamierzamy jej pomóc.

– Naprawdę? – Sophie miała pewne wątpliwości. – A czy Clementine o tym wie?

– Naprawdę. Zwłaszcza Clementine. Jeszcze o tym nie wie, ale się dowie. Twój ojciec też nam pomoże – zwróciła się La Petite do Edie – choć niewykluczone, że będziemy musiały załatwić mu nowy kręgosłup.

– Mój tata jest całkiem fajny – wtrąciła Edie. – Może nie fajny, ale przynajmniej nie zrujnowałam mu życia. Tak mi powiedział. Mówi, że jego życie jest lepsze, odkąd się w nim pojawiłam. To miło, że mówi takie rzeczy własnemu dziecku, prawda?

– Ty, moja słodka – zauważyła La Petite, wyciągając ku dziewczynce otwarte ramiona – możesz być lepsza od ideału.

– A ty możesz być lepsza od pani Milligan – przyznała Edie, tuląc się do staruszki. – Jej ciasteczka są dobre, ale cuchnie kulkami na mole.

Przyjaźń

Przez dwie godziny George przeczesywał ruchliwe autostrady i wąskie boczne drogi w Dolinie Marny, pomiędzy Chierry i Boursault. Bez skutku. Jego francuszczyzna była tak kiepska, że nie bardzo wiedział, jak spytać o Mathilde napotkanych ludzi. Mimo to robił, co mógł. Wydawało się, że rozumieli, co do nich mówił, nawet jeśli odpowiedzi ograniczały się do smętnego kręcenia głową i pełnych współczucia spojrzeń. Kiedy wrócił z twarzą poszarzałą ze zmęczenia i niepokoju, przerażona jego widokiem Sophie, zaproponowała, że tym razem oboje wyruszą na poszukiwania. George chętnie przystał na jej propozycję.

– Co z Edie? – szepnął w korytarzu. – Chyba nie powinna jechać z nami. Nie chcę, żeby widziała swoją matkę...

– Poproszę Clementine, żeby się nią zajęła – odparła Sophie z udawaną pewnością siebie.

Słyszała, co Clementine myśli o prawie każdym z okolicznych dzieci i żaden z owych sądów nie był pochlebny. Jednak poznała siostrę na tyle dobrze, by wiedzieć, że ta niechęć była wyłącznie przykrywką dla niebywalej wrażliwości w tej kwestii. Tak więc George zaczekał w samochodzie, a Sophie zabrała Edie do winiarni. Świnek – jak zwykle – odmówił zejścia po spiralnych schodach, tak więc tylko we dwie kluczyły pomiędzy kadziami wina.

– Spójrz tylko na jej włosy! – wykrzyknęła Edie, gdy w końcu dostrzegła Clementine. – Są dokładnie takie, jak moje!

Clementine nie widziała jej ani nie słyszała, wsłuchana w swoje pomrukiwanie, które od czasu wyjazdu Hectora regularnie przybierało na sile.

– Proszę, Mentine – błagała Sophie, szarpiąc ją za ramię z nadzwyczajną zajadłością.

Clementine musiała coś poczuć, bo wyprostowała się i wytrzeszczyła oczy na widok stojącej przed nią miniaturowej kopii samej siebie.

– To jest Edie – rzuciła pospiesznie Sophie. – Córka Mathilde.

Czy mogłaby zostać z tobą, kiedy jej ojciec i ja...

– Edie? – powtórzyła zdumiona Clementine. – Jej ojciec i ty? Zostać tu, kiedy wy... ?

– Trudno to wytłumaczyć. – Sophie była wyraźnie podenerwowana. – Ale George i ja musimy odnaleźć Mathilde. Ona... uciekła. Zniknęła.

– Co to za zapach? – spytała Edie, próbując ustalić, co takiego robi jej ciotka, czyli podejrzeć, jak należy filtrować wino, które zamknięte w dębowych kadziach fermentowało aż do chwili mieszania (kolejny powód do mruczenia).

– Clementine! – Głos Sophie był ostry niczym brzytwa. Czowała, że powinna już iść. – Zostawiam Edie z tobą, dobrze?

Clementine wzruszyła ramionami i jak urzeczona wbiła wzrok w stojącego w mroku piwniczki, miniaturowego sobowtóra. Nie mogąc się powstrzymać, wyciągnęła dłoń i dotknęła jednego rudego pukla, rozwinęła go i patrzyła, jak z powrotem skreślił się w wąski pierścionek.

– Są takie same, takie same, widzisz? – zauważyła radośnie Edie, unosząc pulchne ramiona i chwytając jeden z loków Clementine. – Co jeszcze? Umiem dobrze pływać, ale nie potrafię szybko biegać. Złamałam rękę tylko raz, kiedy pojechaliśmy na narty. Nie jestem dobra w koszykówce. I nigdy nie wybierają mnie do gry w siatkówkę. W tegorocznych jasełkach mam być pasterzem, ale nie mówię żadnej kwestii. A! Ale umiem robić tak! – Uniosła oba kciuki i wygięła je do tyłu, tak że dotykały nadgarstków.

Clementine, najwyraźniej przytłoczona tą litanią sportowych porażek, uniosła kciuki i wygięła je prawie tak mocno jak jej siostrzenica.

– Fajnie! – zapiszczała Edie. – Jak bliźniaczki! Hej, wiem już, co to za zapach. To jeżyny! Moje ulubione. Czy we Francji jest teraz sezon na jeżyny?

– Jeżyny? – Wino, które przelewała, gdy przyszła Edie, pochodziło z krzewów rosnących w niższych partiach doliny, pinot noir. Tego roku miało wyjątkowo mocny smak. Wyczuła go

już w owocach i powiedziała Hectorowi, że smakuje jak jeżyny.

Delikatnie oszołomiona, wlała do kieliszka odrobinę młodego pinot noir i podała je siostrzenicy.

– Częstojesz mnie winem? – spytała zaskoczona dziewczynka.

– Przecież mam dopiero dziesięć lat!

– Jesteś Peine’ówną – wyjaśniła Clementine. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Powinnaś kosztować win, odkąd ukończyłaś pięć lat. No dalej, weź je do ust. Nie, nie łykaj. Sącz! Właśnie tak. Opłucz nim podniebienie. Musisz poczuć je na języku i w gardle. Teraz wypluj i powiedz, co o nim sądzisz.

Edie posłusznie wypluła wino.

– Myślę, że dietetyczna cola ma lepsze bąbelki – przyznała. – Tata mówił, że szampan też ma bąbelki.

– Jeszcze się nie pojawiły – wyjaśniła Clementine. – To później. Mam pomysł, razem zmieszamy te niemusujące wina. – Mówiąc to, stłumiła rodzący się w krtani pomruk. – Później przelejemy je do butelek i zaczekamy kilka lat, aż narodzą się bąbelki; co w przypadku dietetycznej coli zajmuje niespełna cztery sekundy. Zresztą, nie interesuje mnie dietetyczna cola. Interesuje mnie, co myślisz o pinot noir.

– Dobrze już, dobrze. Nie gorączkuj się tak! – Edie pociągnęła następny łyk, opłukała nim usta, poczuła smak na języku i na podniebieniu, po czym wypluła wino. – Zdecydowanie wyczuwam tu jeżyny – stwierdziła z powagą. – Tyle że to nie smakuje tak, jak sok jeżynowy. Wprawdzie nigdy nie piłam prawdziwego soku z jeżyn, ale wydaje mi się, że byłby bardziej wodnisty. Ten jest gęstszy, trochę jak mleko, ale czuje się to dopiero przy połykaniu. Wiesz co? Trochę przypomina syrop przeciwkaszlowy – stwierdziła, wyciągając kieliszek i prosząc o dolewkę – tylko że ten jest dobry.

Tym razem Clementine była naprawdę oszołomiona. To dziecko natychmiast potrafiło wychwycić smak jeżyn – co oznaczało jedno: miało talent, którym nie mogła się poszczycić znaczna większość dorosłych. Ale żeby umieć określić konsystencję? Docenić smak? W wieku dziesięciu lat?

– Lubię cię – zwróciła się do Edie. – Bardzo cię lubię.

– To dobrze – odparła pragmatycznie dziewczynka – bo potrzebuję tylu przyjaciół, ilu uda mi się znaleźć.

Zanim Sophie i George wrócili do domu – wciąż bez Mathilde – Clementine i Edie wychwyciły jaśmin i orzechy w chardonnay, a także morele oraz mango w meunier. Clementine, która nigdy w życiu nie jadła owoców mango, była kompletnie zdumiona, zwłaszcza gdy Edie opisała owoc, jako „rodzaj letniej balonowej gumy do żucia; niezbyt rozciągliwej i oślizgłej niczym brzoskwinie z puszki”. Clementine dokładnie wiedziała, o czym mowa.

Jednak dziecięca pewność siebie stopniała niczym śnieg, gdy George i Sophie wrócili do domu bez Mathilde.

– Nie znaleźliście jej? – spytała Edie i na widok wchodzących do kuchni ojca i ciotki nerwowo szarpnęła rękaw bluzy. Siedziały z Clementine przy torcie szwarcwaldzkim, który słusznie przyniósł Bernadettę i jej alzackim korzeniom niemałą sławę.

– Dobry Boże! – jęknął George, spoglądając na córkę i siedzącą obok niej kobietę. Obie były umazane czekoladą tak, jak mogą być umazane jedynie prawdziwe miłośniczki tortu szwarcwaldzkiego.

– Ty musisz być tą drugą siostrą!

– Och, wybacz – wyjaśniła Sophie. – George, to Clementine.

– Zadziwiające podobieństwo – odrzekł. – Mogłabyś być... – Choć nie powiedział tego na głos, wszyscy wiedzieli, że chciał dodać „matką Edie”. Clementine i jej siostrzenica spojrzały na siebie i oblizwały usta; najwyraźniej ta uwaga nie budziła w nich niechęci. Właściwie jedna z nich potrzebowała córki, a druga matki, tak więc trudno było im się dziwić.

– Byliśmy wszędzie, Mentine – odezwała się łagodnie Sophie – ale nie mogliśmy jej znaleźć. Pojechaliśmy nawet do Epernay. Przeszukaliśmy miasteczko i stację, na wypadek gdyby chciała wsiąść w jakiś pociąg, ale nigdzie nie ma ani śladu samochodu; poza tym nie jest odpowiednio ubrana. Poszłam do biura Christophe’a, ale on też nie ma pojęcia, dokąd mogła uciec. W

drodze powrotnej zajrzeliśmy do Le Bois, ale tam też jej nie było.

– Może powinniśmy zawiadomić policję? – spytał niepewnie George. – Sam już nie wiem, co robić.

W tej samej chwili usłyszeli przeraźliwy ryk klaksonu i na podwórzu wjechał samochód. George i Sophie ruszyli do drzwi, patrząc w osłupieniu na wysiadającą z peugeota wściekłą Odile Geoffroy. Na miejscu pasażera siedziała niepewnie Mathilde.

Sophie obróciła się i chcąc oszczędzić Clementine i Edie przykrego widoku, zatrzymała je w drzwiach.

– W porządku – wyjaśniła spokojnie. – George i ja zajmiemy się tym. Clementine, może weźmiesz Świnka nad rzekę? Jestem pewna, że Edie chętnie zobaczy, jak pływa.

– To on potrafi pływać? – Twarz dziewczynki pojaśniała w tak czarujący sposób, że Clementine – chociaż ciekawa, co za chwilę wydarzy się na podwórzu – gwizdnęła na konika, który uprzejmie opuścił La Petite i zszedł do kuchni, by towarzyszyć nowej przyjaciółce.

Tymczasem gotująca się ze złości Odile kuśtykała nieporadnie na swych niepraktycznych obcasach, by otworzyć Mathilde drzwi.

– Wszystkie jesteście takie same, wy żałosne Peine'ówny. Nic niewarte. Dlaczego nie wyświadcycie nam wszystkim przysługi, nie sprzedacie winnicy i nie wyniesiecie się stąd? Wyjedźcie i zapijcie się na śmierć gdzieś, gdzie ziemia nie jest cenniejsza od złota! Pomyśleć tylko, ile dobrego można by zrobić z waszym pinot noir!

– Zamknij się i nie waż mówić złego słowa o naszym pinot noir! – Mówiąc to, Sophie zaskoczyła samą siebie. – Nie będzie ci do śmiechu, kiedy zobaczysz, co Clementine zrobiła w tym roku. Nasze wino będzie lepsze niż kiedykolwiek!

Odile obróciła się i spojrzała jej prosto w twarz.

– Kogo ty chcesz oszukać? Bez Oliviera nie ma Domu Peine – odparła złośliwie. – Nawet kiedy jeszcze żył, wasz szampan zaczynał smakować jak kocie szczyny. Olivier wiedział o tym, my o tym wiedzieliśmy i wiedziało całe Saint-Vincent-sur-Marne. Wasze dni są policzone, ty mały bękarcie Fifi. Dlaczego nie

wrócisz tam, skąd się przywlokłeś?

George precyzyjnie przesunął się obok Sophie i stanął tak blisko Odile, że gdyby chciał, mógłby napluć jej w twarz.

– Wynoś się stąd albo każę aresztować cię pod zarzutem uprowadzenia – warknął, choć Odile potrzebowała kilku chwil, by zrozumieć, o co mu chodziło. Kiedy dotarło to do niej, jej i tak już skwaszona twarz, wykrzywiła się jeszcze bardziej.

– Uprowadzenie? Kimkolwiek jesteś, chyba sobie żartujesz! Ta głupia, pijana dziwka – mówiąc to, zajrzała do samochodu i spoliczkowała Mathilde – przysłała do mojego domu i...

– Jeszcze raz spróbuj tknąć moją żonę – syknął lodowatym tonem George, chwytając rękę Odile w żelazny uścisk – a oprócz uprowadzenia usłyszysz też zarzut napaści. Jesteś na terenie naszej posiadłości i prosiliśmy cię, żebyś ją opuściła.

– Twoją żonę? – Odile zmrużyła oczy i wyrwała dłoń z uścisku George'a. Cofnęła się i skrzyżowała ręce, opierając je na jasnyniebieskim swetrze, spod którego wylewały się nadzwyczaj obfite piersi. – A może by tak trzymał pan swoją żonę z dala od mojego męża? W przeciwnym razie pożałujecie wszyscy, że w ogóle się urodziliście.

– Słyszałaś, Sophie? To groźba. Musimy to udokumentować.

Na tym etapie dyskusji, Sophie poczuła się kompletnie zagubiona. Wiedziała tylko, że należy natychmiast zakończyć temat Mathilde i Benoit, który nawet pod nieobecność Clementine zwiastował kłopoty.

– Chyba nie jest zbyt ciężka – zwróciła się do George'a, zerkając na Mathilde, kompletnie nieprzytomną i niemającą pojęcia, co się dzieje dookoła. – Trzeba zanieść ją do środka.

Chwilę później George wyciągnął z samochodu bezwładne ciało żony i wzięwszy ją na ręce, poczłapał w kierunku domu. Sophie miała rację: Mathilde była lekka niczym piórko.

Odile nie marnowała czasu i tak szybko, jak pozwoliła jej na to zbyt obcisła czarna minispódnica, wsiadła do samochodu.

– Dopilnujcie, żeby ta dziwka trzymała się z daleka od mojego Benoit! – ryknęła przez otwarte okno, zasypując podwórze

gradem żwiru i znikając w tumanach kurzu.

Gdy Mathilde obudziła się w środku nocy z jękiem i potwornym uczuciem trzeźwości, przed oczami mignęły jej na wpół zapamiętanę koszmary minionego dnia. Dopiero po chwili dotarło do niej, że tuż obok leży George, który wpatruje się w nią ze swym piekielnym wyrazem twarzy! Zanim przyszło jej do głowy coś, co mogłaby powiedzieć; coś, dzięki czemu mogłaby uciec przed dręczącym ją, potwornym uczuciem, rozplakała się jak dziecko.

Płakała nawet wówczas, gdy jeden potworny dzień przechodził powoli w kolejny.

Chmura

Jeśli George przypuszczał, że po odnalezieniu Mathilde jego kłopoty dobiegną końca, mylił się.

Wprawdzie wróciła do domu cała i zdrowa, jednak jej zachowanie było ponad jego siły.

Przez pierwszy tydzień zostawił ją w spokoju, jednak w drugim poczuł, że traci grunt pod nogami i za namową Sophie poszukał porady u kogoś znacznie starszego i mądrzejszego niż on sam: La Petite.

Chciał tylko usłyszeć, jak nakłonić żonę, by wróciła z nim do Stanów. Niestety, staruszka miała inne plany.

– Edie uważa, że macierzyństwo było dla Mathilde wielkim rozczarowaniem – rzekła, kiedy usiadł na jednym z rozklekotanych krzeseł, których kilka stało w sypialni. – Myślisz, że to prawda?

George się zarumienił.

– Czuję się niezręcznie, mówiąc o... – zaczął.

– Niezręcznie? Daj spokój! – parsknęła La Petite. – Myślisz, że to, co mówi Edie, jest prawdą?

– A skąd miałbym to wiedzieć! – odparł chmurnie George, zanim Sophie posłała mu piorunujące spojrzenie. Próbował się rozluźnić i ukryć skrępowanie.

– George – zaczęła La Petite. W jej ustach imię brzmiało jak „Yorg”, co sprawiło, że wzdrygał się mimowolnie. – Nie oceniam Mathilde ani ciebie. Pytam tylko, czy zgadzasz się z opinią waszej córki.

– O tym, że Mathilde jest rozczarowana? – spytał znużonym tonem. – Tak, przypuszczam, że to możliwe, ale...

– Ale co?

Zawahał się na chwilę.

– Nie chcę być nielojalny, zwłaszcza teraz, kiedy Mathilde nie czuje się najlepiej, ale ją łatwo rozczarować. Ja sam wiem o tym najlepiej.

– Cóż, jesteś dorosłym mężczyzną, Yorg – zauważyła La Petite

– i być może zrobiłeś coś, co rozczarowało Mathilde, ale wasza córka zaledwie skończyła dziesięć lat i z pewnością nie miała ku temu żadnej okazji.

George wiercił się na krześle i kręcił głową, jak gdyby kołnierzyk koszuli drapał go w spoconą szyję.

– Przyznaję, że niełatwo mówić o takich rzeczach. – ciągnęła La Petite. – Tobie, twojej żonie, nam wszystkim. Jednak jest tu pewna mała dziewczynka, która ma przed sobą całe życie, i dla jej dobra musimy o tym mówić. Bo chodzi o jej szczęśliwe życie.

– Ona potrzebuje matki – zauważyła smutno Sophie, wyglądając przez okno. Myślała o tym, jak bardzo sama jej potrzebowała.

– Wiem – przyznał George. – Wiem. Ale Mathilde jest taka... okropna. Ostatnim razem, kiedy wydarzyło się coś podobnego, było inaczej. Nie reagowała emocjonalnie. Nie płakała. Po prostu siedziała w pokoju, nie wstawiała z łóżka, z nikim nie rozmawiała, nie chciała wziąć... – zamilkł.

– Dziecka? – La Petite dokończyła za niego. – Nie chciała wziąć na ręce dziecka?

George pokiwał głową, ale nie podniósł wzroku.

– Chcesz powiedzieć, że Mathilde cierpi na depresję poporodową?

– spytała Sophie. W swoim życiu widziała wiele podobnych sytuacji i wiedziała, jak tragiczne były ich skutki. Do głowy jej jednak nie przyszło, że Mathilde cierpi z tego właśnie powodu.

– Nikt nigdy tego nie zdiagnozował – odparł George – ponieważ Mathilde nie chciała pójść do lekarza po nic innego, jak tylko po następne recepty. Zresztą to było dawno temu. Teraz trudno mówić o jakiejś depresji poporodowej.

– Z początku mogła to być depresja, a potem, nieleczona, zmieniła się w coś gorszego – snuła przypuszczenia Sophie. – To się zdarza, prawda, La Petite?

– Z całą pewnością – odrzekła staruszka. – Tam, skąd pochodzę, nazywamy coś takiego *le nuage*, chmura. Może się przytrafić każdemu i o każdej porze, najczęściej jednak spada na

młode matki i trzyma je przez kilka godzin, dni, a czasem lat. Naturalnie różnica pomiędzy nami i wami polega na tym, że my nie łykamy tabletek, by walczyć z chorobą, tylko ją ośmielamy.

– Ośmielacie? – George nie wierzył własnym uszom. – Depresję?

– Dla nas jest ona częścią życia – wyjaśniła, wzruszając ramionami. – Aby cieszyć się dobrym zdrowiem, musimy poradzić sobie z depresją, to wszystko. Jeśli jakiś szkodnik zaatakuje winorośl, nie naprawisz szkód, ignorując go, prawda? Nie. Ścigasz go, łapiesz i niszczysz. Przynajmniej tak robiono kiedyś. Oczywiście teraz wszystko wygląda inaczej. Ale musisz walczyć z problemem, nie udajesz, że go nie ma. I tak samo jest z tą chorobą, tak myślę. Nic nie pomoże, jeśli człowiek próbuje używać tych sztucznych środków, wywołujących seksualne nieporozumienia. Och, Sophie, jak one się nazywają?

– Feromony?

– Tak, feromony. No właśnie. – La Petite zamilkła. Seksualne nieporozumienia. Miała co do tego mieszane uczucia. Wszyscy Cyganie je mieli.

– Hmm, *le nuage*? – zastanawiała się Sophie.

– My ludzie, nie różnimy się od winorośli – wyjaśniła pośpiesznie La Petite, jak gdyby wciąż miała w pamięci to, co powiedziała przed chwilą. – Choć w ludzkich żyłach płynie krew, a w tamtych sok, ich rany wymagają takiej samej pielęgnacji. Rozumiecie, o czym mówię?

– Jeśli mam być absolutnie szczery, pani Petite – George wiedział, że nie jest to jej prawdziwe imię, ale nie potrafił inaczej zwracać się do staruszki – to nie.

– W takim razie ujmę to prościej. Mathilde nie umie sobie radzić ze swoimi szkodnikami. Czy teraz rozumiesz?

– Mathilde nie jest przecież winoroślą. – George wydawał się zniecierpliwiony. – Nie ma żadnych szkodników. Chryste, nie wiem nawet, o jakich szkodnikach pani mówi. To jakaś paranoja.

– Zaufaj mi, Yorg. – W głosie La Petite pobrzmiwało ostrzeżenie. – Kobieta, która nie potrafi spojrzeć w oczy własnej

córcie, ma problem ze szkodnikami. Dużymi szkodnikami.

Tym razem George nie był w stanie ukryć rozdrażnienia; zaczął mimowolnie uderzać stopą o deski podłogi.

– Niech pani posłucha, doceniam to, co pani mówi, ale uważam, że w tej chwili jest najważniejsze, aby Mathilde przestała płakać.

– Podejź tu, Yorg. – La Petite opadła na poduszki i skinęła dłonią. – No już. Bliżej. Jeszcze bliżej. Bliżej, mówię. Nachyl się. Bliżej. Bliżej. Bliżej. A teraz masz, ty głupcze.

Ręka, chuda niczym łapa angielskiego charta, przecięła powietrze i zdzieliła go przez głowę. Chwilę później z ust staruszki posypały się dziwne, niezrozumiałe słowa, które George instynktownie odczytał jako obelżywe.

– Co takiego zrobiłem? – jęknął, odsuwając się i rozcierając obolałe ucho. – No co?

– Nie doceniłeś tego, co powiedziałam – warknęła La Petite, a jej małe oczy, przypominające rodzyнки błysnęły wściekle. – Ponieważ mnie nie wysłuchałeś. Mathilde musi płakać. Nie powinieneś jej tego zabraniać. Najpierw musisz się zastanowić, dlaczego w ogóle płacze.

– La Petite – przerwała Sophie, najwyraźniej obawiając się o George'a. – Nie sądzisz, że jesteś trochę za ostra? On tylko stara się pomóc.

– Ach, to twoje wrażliwe serce – odparła La Petite, spoglądając na nią czule. – Zawsze we właściwym miejscu, ale nie zawsze o odpowiedniej porze. Nie! – Po dotychczasowej czułości nie został nawet ślad. – Niedobra pomoc jest gorsza niż brak jakiegokolwiek pomocy. Mathilde potrzebuje jej tak ze względu na Edie, jak i siebie samą. Ale to niełatwe zadanie, a nasz Yorg najwyraźniej nie umie sobie z tym poradzić. Miała trzydzieści pięć lat, by stać się tym, kim jest teraz. Trzeba naprawić wiele szkód. Myślicie, że Mathilde urodziła się zgorzkniała i nieczuła? Myślicie, że taka wyszła z łona matki? Macie pojęcie, ile niedobrych, antypatycznych dzieci przychodzi na ten świat? Nie? Cóż, a ja to wiem. Zero. Właśnie tyle. Ani jedno. Wszyscy rodzimy się z tą

samą umiejętnością przynoszenia owoców, ale ktoś musi się nami zaopiekować.

– Myślę, że byłoby świetnie, gdyby to wszystko było takie proste – odparł George, wciąż pocierając ucho. – Ale nie jest. A przy okazji, ja już dość się naopiekowałem, pani Petite.

– No cóż, pańskim winoroślom też przydałaby się odrobina więcej uwagi, ale to już inna bajka.

– O cholera! – Widok siostry, która drząc żałośnie, opierała się o drzwi, odebrał Sophie mowę.

Na ułamek sekundy w pokoju zapadła cisza. Nikt nie wiedział, jak długo Mathilde słuchała tyrady La Petite na temat zaniedbanych winorośli. Wiedzieli tylko, że słowa staruszki uderzyły w głęboko skrywaną, mroczną strunę.

– Nigdy mnie nie wybrała – szepnęła Mathilde, osuwając się po futrynie i po raz kolejny wybuchając płaczem. – Moja matka. Nigdy nie wybrała mnie.

La Petite wyciągnęła pomarszczone, zwiotczone ramiona, a zmordowana płaczem Mathilde wpadła w nie niczym spłoszony ptak.

Naturalnie był to ogromny postęp. Któż mógłby przypuszczać, że Mathilde tak łatwo obnaży swoją słabość i bezbronność? Studenci psychologii na całym świecie – nawet ci zbyt zajęci paleniem trawki, by chodzić na zajęcia – przyznaliby wspólnie, że była to chwila, gdy Mathilde pokazała światu rany własnego, nieszczęśliwego dzieciństwa i pozwoliła, by ktoś je uleczył.

Jednak zmiany, jakie miały nastąpić w antypatycznej zimnej Mathilde, nie dokonały się w ciągu jednej nocy. Średnia siostra Peine nie stała się od razu słodka i łagodna. Prawdę powiedziawszy, daleko jej było do tego. Przez pierwsze dni po tym, jak weszła do łóżka La Petite, nie chciała go opuścić, warczała i krzyczała na wszystkich, którzy wchodzili do pokoju. Teraz, kiedy wtajemniczyła staruszkę w swoje sekrety, nie chciała się z nią rozstać i regularnie nakazywała swym siostram, mężowi, córce i – oczywiście – Świnkowi, by zostawili je w spokoju. Naturalnie w jej ustach nie brzmiało to tak kulturalnie.

W końcu udręczona La Petite, która czuła się coraz słabsza, wyszeptała do ucha Mathilde wystarczająco wiele łagodnych słów, by ta zgodziła się wrócić do pokoju męża.

. Dopiero wówczas się okazało, że być może jaja Yorga wcale nie były takie małe.

Kiedyś myślał, że życie z pedantyczną, doskonale zorganizowaną Mathilde jest prawdziwym wyzwaniem, ale teraz życie z poszukującą siebie kobietą, która miała obsesję na punkcie własnej osoby, stało się prawdziwą torturą. W jednej chwili krzyczała na niego, by zniknął jej z oczu i nigdy więcej nie wracał, a w następnej szlochała, błagając go, by wziął ją w ramiona i zatrzymał na zawsze.

Po kilku dniach zawstydzony George musiał przyznać przed samym sobą, że skłania się ku pierwszej opcji. Prawda była taka, że pragnął wrócić do Nowego Jorku. Im dłużej przebywał w Domu Peine, tym bardziej miał tego wszystkiego dosyć.

Naturalnie nigdy nie przypuszczał, że Mathilde porzuci rodzinę na długie miesiące, pozostawiając jedynie krótką wiadomość nagraną na automatyczną sekretarkę. Nie podejrzewał również, że jego żona będzie wymagała ciągłej uwagi i pocieszenia. To właśnie gdzieś pomiędzy tym wszystkim znajdowała się prawdziwa Mathilde, był tego pewien, musiał jednak poczekać, aż odkryje samą siebie. On tymczasem marzył, by pojechać na lotnisko Charlesa de Gaulle'a, połknąć wystarczającą ilość valium, wsiąść do samolotu i wrócić do Stanów.

– Muszę wracać do domu – oznajmił swojej córce pod koniec miesiąca. – Ale nie jestem pewien, czy mama jest gotowa, by wrócić ze mną.

Siedzieli w 2 CV, wracając z Epernay, gdzie George zagłuszył poczucie winy, robiąc zakupy, które wystarczyłyby na kolejne dziesięć lat.

– Jak to? – spytała Edie. Jej dolna warga zaczęła drżeć, a do oczu napłynęły łzy. – A co ze mną?

– Jeśli wyjedziemy jutro, będziesz jeszcze mogła brać udział w próbach do jasełek.

Usta dziewczynki przestały drżeć.

– Przecież nic na ten temat nie mówię – odparła Edie, wyglądając przez szybę na białe, kredowe ścieżki, wijące się wśród wzgórz niczym ślady ślimaka. Pomyślała o kochanym, futrzastym Świnku i La Petite, która wręcz emanowała dobrocią. Pomyślała o Sophie, młodszej ciotce, składającej wszystko do kupy i Clementine, najlepszej ciotce, jaką mogła sobie wymarzyć. Dopiero wówczas wspomniała Mercedes McLaren, filigranową blondynkę, która trzeci rok z rzędu grała Matkę Boską, a ta rola była znacznie dłuższa niż role pozostałych dzieci.

Nie myślała o Mathilde, jednak zwróciła się do ojca.

– Czy ja też muszę jechać? Nie mogę tu zostać?

George był dobrym człowiekiem, choć niezbyt odważnym. Mógłby przeprowadzić niewielką batalię, by rodzina wróciła z nim do domu, ale skoro Edie chciała zostać z matką, nie zamierzał protestować.

Zima

Olivier

Groźba śniegu wisiała na niebie przez cały pierwszy tydzień grudnia. Dolina Marny wyjęła z szafy posępny szary płaszcz.

Clementine przez większość czasu przycinała pędy w winnicach i choć dłonie miała czerwone i skostniałe z zimna, towarzystwo Edie dodawało jej policzkom zdrowych rumieńców. Dziewczynka zaczęła chodzić do miejscowej szkoły i natychmiast polubiła nauczycielkę, co oznaczało, że była szczęśliwa, jak każda mała dziewczynka, która do tej pory nie przepadała za nauką.

Mathilde, która mniej więcej wróciła do dawnej formy, upajała się swoją rehabilitacją. Wciąż trudno jej było okazać serce pozostałym domownikom, znalazła jednak pociechę w porządkowaniu rodzinnych finansów.

Tymczasem Sophie ćwiczyła się w pieczeniu piernika według ścisłych wskazówek La Petite i spędzała większość czasu ze staruszką, której oddech stawał się coraz krótszy z każdym, kolejnym, zimowym dniem.

Taka równowaga została osiągnięta w domu przed drugim czwartkiem miesiąca: siostry były w stanie tolerować się na tyle długo, by móc siedzieć razem w kuchni i popijać kawę.

Nie był to stan absolutnego pokoju, lecz raczej osobliwe zawieszenie broni. Ale nawet ono stanowiło dobry początek.

Tego dnia jednak zmartwiły się i zaniepokoiły, gdy La Petite nie zjadła śniadania.

Staruszka bezustannie przypominała im, że ledwie żyje, jej koniec jest już bliski, a odległy głos woła ją w kierunku jasnego światła, wszakże nigdy dotąd, aż do dziś, nie odmówiła sobie śniadania.

Sophie dumiała właśnie nad nietkniętą *croque monsieur*, która stygła na blacie nieopodal zlewu, kiedy drzwi wejściowe stanęły otworem, a w progu pojawili się Edie i towarzyszący jej Świnek. Oboje wyglądali, jak cytrynowe ciasto, pokryte białym delikatnym, kruchym lukrem.

– Pada śnieg! – zawołała z zachwytem, siadając obok

Clementine. Chwilę później Świnek oparł głowę na jej kolanach. Grzywę miał wilgotną, przyprószoną płatkami śniegu. – I wiecie co? Ten śnieg jest lepszy od nowojorskiego! Jest cały francuski!

Oczy dziewczynki zatrzymały się na *croque monsieur*, oczy jej pojaśniały.

– Podzielimy się kanapką, Mentine?

– Edie, naprawdę musisz to zjeść? – spytała Mathilde. Clementine zamierzała właśnie stanąć w obronie siostrzenicy, gdy – ku zaskoczeniu wszystkich – rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

– Ach, zapomniałam! – rzuciła Edie. – Na podjeździe był jakiś obcy facet.

– Mężczyzna? – Siostry nadstawiły uszu.

– Jaki mężczyzna? – spytała Mathilde.

– Hmm, wysoki – odrzekła Edie. – Starszy ode mnie, ale młodszy od taty. Z daleka wyglądał trochę jak Johnny Depp.

Kim jest Johnny Depp? – zastanawiała się w duchu Clementine.

Hector? – zastanawiała się Sophie. Dokładnie w chwili gdy wymówiła w myślach jego imię i przypomniała sobie, jak smakował jego pot, Hector pojawił się w kuchni. Zapukał wyłącznie z grzeczności; poza tym nikt się nie pofatygował, by otworzyć mu drzwi.

– Drogie panie – zwrócił się do sióstr – i panienko. Miło mi panienkę poznać. – Z bliska nie był już tak podobny do Johnny’ego Deppa; przypominał natomiast lukrowane ciasto cytrynowe i nawet Edie przyszło do głowy, jak musiało być pyszne.

Siostry milczały. Mathilde, ponieważ wciąż boleśnie odczuwała skutki tego, co się między nimi nie wydarzyło, Clementine, ponieważ nagle poczuła osobliwą tęsknotę za Benoit, a Sophie, ponieważ wyraz zapiekana kanapka z serem twarzy gościa zdradzał, że istotnie są podstawy, by denerwować się brakiem apetytu La Petite. Inaczej po co Hector by wracał?

– Nie, nie, nie – jęknęła, zrywając się na równe nogi. – Proszę, jeszcze nie teraz!

– Nie, jeszcze nie teraz – odrzekł łagodnie Hector, delikatnie ściskając jej ramię – ale już wkrótce. Powinniśmy iść na górę. Wiem, że będzie chciała z nami porozmawiać. Z nami wszystkimi. Tak, z tobą również – dodał, zerkając na Edie.

– Daj spokój – mruknęła Mathilde, przyłączywszy się do sunącej po schodach, posępnej procesji, którą zamykali Edie i idący tuż za nią Świnek. Kiedy weszli do pokoju La Petite, Sophie pomyślała, że być może Hector się pomylił i przybyli za późno. Staruszka leżała nieruchomo; oczy miała zamknięte, twarz szarą i wychudzoną.

Jej widok nie zaskoczył Hectora. Przycupnął na skraju łóżka, a siostry kolejno zajmowały krzesła, na których zwykle siadywały wcześniej.

Świnek potruchtał do wezglowia łóżka i złożył łeb na poduszce obok pomarszczonej twarzy La Petite. Sądząc po zaschniętych strużkach śliny, widocznych na wytwornej pościeli, robił to nie pierwszy raz. Mathilde syknęła na niego i machnęła dłonią, ale bez skutku.

– Zostaw go – szepnęła wściekle Clementine.

– Pilnuj swojego nosa – warknęła Mathilde. – Edie, wyprowadź stąd tego zwierzaka.

– Nie, Clementine ma rację. Zostaw go – szepnęła dziewczynka, przysuwając swoje krzesło do krzesła Clementine.

– Rób, co ci każę! – rozkazała Mathilde, z trudem opanowując irytację.

– W takim razie każ mi zrobić coś innego! – warknęła jej córka.

– Jak śmiesz! – Tym razem Mathilde nie panowała już nad głosem.

– Jak ty śmiesz! – Clementine była w bojowym nastroju. – Zostaw to biedne dziecko w spokoju!

– A co tobie do tego? – Mathilde była wściekła. – To nie twoja córka. Zresztą Bóg jeden wie, gdzie to biedactwo jest...

– Przestańcie! – wrzasnęła Sophie. – Wszystkie! Po prostu przestańcie!

– Na litość świętego Wincentego – dobiegł z łóżka zmęczony

głos La Petite. – Dziękuję ci, Sophie. – Mówiąc to, otworzyła oczy i uśmiechnęła się do Hectora. – O, jesteś. Tak myślałam, że to już dziś. Nigdy wcześniej nie odmówiłam sobie ementalera.

– La Petite – odezwał się czule jej prawnuk (czy też kimkolwiek był) i pochyliwszy się nad staruszką, pocałował ją w czoło.

Siostry zamilkły.

La Petite zakasłała dramatycznie, za każdym razem podnosząc się na poduszce wyżej, niż było to potrzebne.

– Wiecie, że nie czuję się najlepiej – oznajmiła, drżąc na całym ciele. – Tym razem mówię poważnie. Odchodzę. Odchodzę na dobre. Ale zanim to się stanie, chcę ofiarować wam pomoc, moje biedne Peine'ówny.

– Pomoc? Biedne Peine'ówny? Daj spokój... – zaczęła Mathilde.

– Jeśli to wszystko, co masz do powiedzenia, to lepiej siedź cicho – zgasiła ją La Petite, głosem tak stanowczym, że z pewnością nie mógł należeć do kogoś, kto szykował się na śmierć. – Ofiaruję wam pomoc, a wy zaszczycicie mnie, przyjmując ją bez słowa. Ponieważ jest to przysługa, jaką wyświadczam waszemu ojcu, który bardzo was kochał.

Sophie, bliska płaczu, przycisnęła dłonie do piersi, a Clementine zaczęła wiercić się na krześle. Tylko Mathilde nie była w stanie ukryć pogardy.

– Czyżbyś miała na myśli naszego ojca, który zmarł dziewięć miesięcy temu, a przez całe życie miał nas gdzieś?

– Ależ z pewnością nie miał was gdzieś – oburzyła się La Petite. – Nie wrócił też z zaświatów, by poprosić mnie o pomoc, jeśli to masz na myśli. Niezależnie od tego, co słyszałyście, nie potrafię się kontaktować ze światem umarłych. Nie, poprosił mnie o to jeszcze przed śmiercią – i to dużo wcześniej, kiedy tylko zrozumiał, że nie będzie najlepszym ojcem.

– Potrafił przewidzieć coś takiego? – spytała z niedowierzaniem Mathilde.

– To lepsze niż gdyby w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy,

nie sędzicie? Zwłaszcza ty, Mathilde?

Oczy Edie nieomal wyskoczyły z orbit, jednak dziewczynka przezornie milczała, jak gdyby obawiając się, że zostanie wyproszona. Wyczuła, że nie są to sprawy, w które zazwyczaj wtajemnicza się dzieci i choć kompletnie nie miała pojęcia, o co chodzi, za wszelką cenę chciała pozostać w pokoju.

– Ale skąd mógł wiedzieć, że nie będzie dobrym ojcem? – spytała Sophie.

– Oto dobre pytanie, a ja mam równie dobrą odpowiedź – odparła La Petite. Czowała, że jej dusza dryfuje powoli ku odległemu miejscu, gdzie *chocolat chaud* podawana była o każdej porze dnia, a w powietrzu unosił się zapach wawrzynka. – Mówiłam wam już, że wszyscy rodzimy się z tą samą umiejętnością kochania i okazywania miłości. Czasami jednak życie funduje nam tak przykre niespodzianki, że bum... tracimy ją. Naturalnie w naszym świecie takie rzeczy nie zdarzają się zbyt często. Moja trzecia kuzynka, Tomasina, zaraz, kiedy to było...

– La Petite – wtrącił łagodnie Hector. Leżał teraz wyciągnięty obok staruszki, brudząc butami ulubioną pościel Mathilde. – Wszyscy rodzimy się z tą samą umiejętnością...

– Olivier nie był wyjątkiem – podjęła gładko staruszka. – Miał wszystko, czego trzeba, żeby być najbardziej oddanym z ojców. Jednak serce mu pękło, kiedy przyszedł na świat, Clementine; na długo przed pojawieniem się Mathilde, nie wspominając o tobie, Sophie. Choć to smutne, wolał zobojętnieć, popaść w odrętwienie i wybrać butelkę, zamiast pomyśleć o własnym sercu. Nie mogę sobie wyobrazić tego uczucia. Czy ktokolwiek z was potrafi?

Wszyscy spojrzeli na Mathilde, która zaciskając zęby wyglądała przez okno.

– Ale Olivier znał się przede wszystkim na uprawie winorośli. I jak każdy dobry winiarz, wiedział, że głodzenie was zahamuje wasz wzrost. A mimo to was głodził. Godne pożałowania? Owszem. Nieodwracalne? Nie. Nie był aż tak bezduszny, by zlekceważyć konsekwencje swojego postępowania. To rzadkie w przypadku winiarzy. Tak więc podjął pewne kroki, żebyście nie

uschły na dobre.

gorąca czekolada Poprosił mnie, bym któregoś dnia, gdy nadejdzie właściwy moment i będziecie razem, powiedziała wam to, czego on sam nigdy nie zdołał przekazać.

– Daj spokój, przecież to śmieszne – skwitowała Mathilde.

– Wcale nie. To piękne! – wykrzyknęła Sophie.

La Petite wypluła z płuc potężną grudę flegmy i z niebywałą precyzją splunęła przez lekko uchylone okno sypialni. To z pewnością przykuło uwagę sióstr. Edie niemal eksplodowała. Na Manhattanie nikt nigdy nie pluł przez okno.

– Posłuchajcie mnie uważnie – zaczęła La Petite, podnosząc się na łóżku i przybierając poważną minę, na jaką może sobie pozwolić ktoś wiekowy i bliski śmierci. – Wiem, myślicie, że wasz ojciec był podłym, starym łajdakiem i muszę przyznać, że ostatnimi czasy naprawdę nie dbał o siebie, a tym bardziej o swoich bliskich, ale... – zaniósła się długim, suchym kaszlem, jak gdyby chciała przypomnieć zgromadzonym o przyzywającym ją, jasnym świetle – ... nie zawsze był taki. Musicie to wiedzieć. Jako młody chłopiec wasz ojciec miał w sobie tyle serca, tyle nadziei. Widzę go, jakby to było wczoraj; tę śliczną główkę, włosy barwy miedzi, niebieskie oczy i ten uśmiech!

Tylko Sophie słuchała jej słów jak urzeczona i oczyma wyobraźni widziała przystojną, pełną uroku twarz swego nieznanego ojca. Clementine posłała Mathilde przelotne, sceptyczne spojrzenie, na co ta odpowiedziała uniesieniem brwi. Żadna z nich nie pamiętała owych miedzianych włosów, niebieskich oczu, a już z pewnością uśmiechu.

– Wiecie, kiedy wasz ojciec przyszedł na świat, winiarzom w Szampanii nie powodziło się tak dobrze, jak dziś – ciągnęła La Petite.

– Kiedy przyszedł na świat? – Mathilde była zdumiona. – Ile to jeszcze potrwa? Muszę załatwić kilka telefonów.

– To moje ostatnie tchnienie – odparła pogardliwie staruszka – i nie zamierzam marnować go na jakąś egocentryczną, źle wychowaną anorektyczkę, tak więc jeśli pasujesz do tego opisu,

wyjdź Stąd.

Kto by pomyślał, że La Petite wiedziała, co to anoreksja? Kto by pomyślał, że jej riposta odbierze Mathilde pewność siebie? Sophie była zaskoczona, Clementine zszokowana, a Edie patrzyła na staruszkę jak na swoją mentorkę.

– Na czym to stanęłam? – podjęła na nowo La Petite, podczas gdy Mathilde odchrząknęła i nerwowo zerknęła na zegarek.

Nie umknęło to uwagi Cyganki. La Petite spojrzała na nią jednym paciorkowym okiem, uniosła drobną, wysuszoną dłoń i wymierzyła chudy palec w Mathilde.

– Ty! – szepnęła. Ze świstem chwyciła w płuca długi, rżący haust powietrza, zamknęła oczy i opadła na poduszki.

– Proszę, nie! – wrzasnęła Sophie, zrywając się na nogi i gnając w kierunku łóżka. Położyła drobną dłoń na jeszcze ciepłym czole staruszki, czując na plecach oddech Clementine. – Boże, Clementine, chyba nie...

La Petite otworzyła jedno oko i widząc nad sobą przerażone twarze, mrugnęła figlarnie. Hector, który do tej pory nawet się nie poruszył, potrząsnął głową i westchnął.

– Myślę, że odeszła – oświadczyła beznamiętnie Clementine, podejmując tą osobliwą grę – wśród należącej do Mathilde, najprzedniejszej pościeli. Obawiam się, że już nigdy nie będzie taka sama.

– Mentine? – Skrzywiona twarz Edie mówiła, że dziewczynka była bliska płaczu.

– Och, na litość boską, kretynki – warknęła Mathilde, podnosząc się z krzesła i stojąc przy łóżku. – Widziałyście kiedyś „Ostry dyżur”? – Mówiąc to, szarpnęła La Petite za duży palec u stopy.

– Ona udaje.

Staruszka otworzyła oczy i obdarzyła Mathilde bezzębnym uśmiechem.

– Jak na kogoś tak podłego masz w sobie dużo odwagi – rzuciła.

– Jesteśmy prawie takie same.

– Jak chcesz. – Mathilde ze złością przewróciła oczami, wróciła jednak na miejsce, zakładając jedną chudą nogę na drugą. – Po prostu skończ już, dobrze?

Beczki

Winiarzom w Szampanii nie powodziło się tak dobrze, jak dziś, pamiętasz, La Petite? – podpowiedziała Sophie, kiedy wszyscy wrócili na swoje miejsca.

– Ach, moja maleńka, jesteś taka jak twoja babka – westchnęła staruszka, budząc w sercu Clementine uczucie zazdrości – choć Clementine bardziej przypominają wyglądem. Cóż to była za cudowna kobieta! A jaka silna! Wytworna i bystra, zupełnie jak ty, Mathilde, choć z tego, co wiem, nie była tak złośliwa. Wiele przeszła w swym życiu: głód, ubóstwo, wdowieństwo, Hitlera.

W pokoju zrobiło się chłodno i Clementine mocniej otuliła się zjedzonym przez mole swetrem.

– Wasz dziadek zmarł na początku drugiej wojny światowej – ciągnęła La Petite – a niedługo po jego śmierci przyjechaliśmy na winobranie. No, tak. Biedna Micheline została sama z małym synkiem. Mówię wam, widziałam w swoim życiu niejedne kiepskie zbiory, ale w trzydziestym dziewiątym nie dojrzał żaden owoc; zresztą nie było mężczyzn, którzy mogliby je zrywać lub wyciskać. Tylko kobiety i dzieci. Wasz ojciec, Olivier, miał wówczas dopiero dziesięć lat – był w twoim wieku, Edie – i całymi dniami pracował u boku swej matki.

Na samą myśl o tym dziewczynka wykrzywiła buzię.

– To były straszne czasy – ciągnęła La Petite, lekko potrząsając głową. – Chyba sam Hitler wpadł na pomysł, że istnieje jeden sposób, by zniszczyć Francuza – wypić jego wino. Nawet wbity w serce miecz nie mógłby sprawić większego bólu. Pamiętam, jak byliśmy w LeMensilsurOger w dniu, kiedy pojawili się Niemcy na swych lśniących motorach i oczyścili miasto z najlepszych roczników. To było straszne! Nie dali się skusić na te trujące świńskie pomyje, które po drugiej stronie drogi robił stary Rimochin. O nie! Wszystko, co najlepsze dla sługusów Hitlera!

– Czy wzięli też naszego szampana? – Oczy Sophie były wielkie niczym spodki.

– Mieli taki zamiar. W owych czasach nazwisko Peine

oznaczało uznaną markę i żołnierze usłyszeli o tym od kogoś, kto z pewnością próbował ocalić własną skórę. W każdym razie pewnego ranka przyjechali i wasz ojciec, który miał wówczas jedenaście, może dwanaście lat, musiał zatrzymać ich z dala od piwnic, tak by wasza babka mogła zrobić w nich pewne przetasowanie. Powiadam wam, tamtego dnia nie wzięli niczego, czego nie chciała im dać. Byłybyście zaskoczone, wiedząc, do czego była gotowa się posunąć. Wspaniała kobieta! Olivier wiele się od niej nauczył.

– Wiele czego? – spytała Mathilde. – No powiedz. Ta niepewność mnie zabija.

– Cóż, to ja tu jestem od umierania, więc zważaj na swoje słowa – warknęła La Petite. – Poza tym, sama musisz się jeszcze wiele dowiedzieć, mądralo. Peine'owie zawsze potrafili dobrze schować pewne rzeczy, a potem, gdy nadszedł odpowiedni czas, odkrywać je cegła po cegle, jeśli zaszła taka potrzeba. Ty też powinnaś spróbować, Mathilde. Założę się, że byłabyś wówczas kimś dużo lepszym.

– Lubię się taką, jaką jestem – odparła Mathilde.

– To twoje zdanie – skwitowała La Petite. – Na twoim miejscu nie kazałabym nam jednak głosować.

Edie zachichotała, Clementine zerknęła na swoje buty, a Sophie przez chwilę wierciła się na krześle.

– Co jeszcze masz do powiedzenia? O wojnie? o tacie? – spytała, przerywając tym samym niezręczną ciszę.

– Poznał matkę Clementine – odparła z dumą La Petite – swoją wielką miłość.

Clementine poczuła na ciele dziwny dreszcz i podniosła wzrok, by zauważyć, że staruszka patrzy na nią spod przymrużonych powiek.

– Straszna szkoda, że nigdy o niej nie rozmawiał z tobą – ciągnęła La Petite – ponieważ była wspaniałą kobietą i stanowili cudowną parę. Była miła, uczciwa i bystra, a według twojego ojca wyglądała jak Mona Lisa.

– To samo mówiono o mojej matce – zauważyła Sophie. – Że

wyglądała jak Mona Lisa.

– O mojej też – rzuciła ziewając Mathilde. – Wielka mi rzecz.

– Chyba można powiedzieć, że Juliette Binoche też ma w sobie coś z Mony Lisy? – Sophie była wyraźnie podekscytowana. – Ten tajemniczy uśmiech. Być może tamtej nocy przed witryną...

– Do diabła z Juliette Binoche – wtrąciła Clementine. – Co z moją... – nie była w stanie wymówić słowa „matka”. – Co z Marie-France?

– Przyjechała tu na winobranie w roku czterdziestym trzecim, lepszym od trzydziestego dziewiątego, choć i tak kiepskim. W każdym razie twoja babka nigdy nie wybaczyła rządowi Francji, że tak łatwo uległ Niemcom, i pomagała ruchowi oporu, ukrywając w piwnicach partyzantów. Zresztą nie ona jedna. W tamtym okresie wszystkie piwnice Francji kryły bojowników ruchu oporu. W Moët w Epernay powstało pod ziemią dosłownie całe miasto. Mieli tam nawet szpital! Jeśli dobrze się przyjrzeć, na niektórych ścianach wciąż widać jeszcze znaki – czerwony krzyż oznaczający punkt pomocy medycznej, niebieski – kuchnię, a biały – kryjówkę. To były straszne czasy...

– Marie-France – mruknął Hector, który leżał na plecach i z zamkniętymi oczami przysłuchiwał się rozmowie.

– Tak, tak, Marie-France – odparła La Petite, wracając do rzeczywistości. – Miała zaledwie czternaście lat, kiedy tu przyjechała. Jej rodziców aresztowano w Paryżu i ruch oporu starał się przerzucić ją do Anglii. Byłam tu, kiedy po raz pierwszy stanęła pod tymi drzwiami i od razu stało się jasne, że między nią a twoim ojcem, Clementine, coś się wydarzy. Było w powietrzu coś takiego; coś, co wyczuwali wszyscy dookoła. To przypomniało nam, że na tym świecie wciąż jest jeszcze miejsce na radość i nadzieję.

– Och, Clementine! – zawołała Sophie, patrząc na siostrę ze łzami w oczach. – Możesz w to uwierzyć?

Clementine chciała w to wierzyć całym sercem.

– Widzę ich jak dziś – ciągnęła rozmarzona Cyganka – skulonych za beczkami z winem, jak szeptali coś do siebie.

Młodzieńcza miłość, nie ma nic piękniejszego. Po tygodniu trzeba ją było stąd zabrać – pozostawanie w jednym miejscu było zbyt ryzykowne – tyle że wyniknął problem z transportem. Jeśli dobrze pamiętam, podróż koleją nie była już bezpieczna. W każdym razie to twój ojciec wpadł na pomysł, jak najbezpieczniej wywieźć ją z kraju. Ocalił jej życie – prawdę powiedziawszy, ocalił wiele ludzkich istnień.

– Był bohaterem – westchnęła Sophie.

– Chyba tak – przyznała La Petite. – Chociaż on sam powiedziałby pewnie, że zrobił tylko to, co należało. Był synem winiarzy, do tego zakochanym młodym chłopcem. Jak myślicie, co zrobił? Pomyślał, że dziewczyna tak drobna, jak jego przyszła żona, bez trudu zmieści się w beczce po winie. Tam też ją ukrył. Następnie przewiózł na wozie przez linię demarkacyjną i niemieckie posterunki aż do miejsca, gdzie została odebrana i przewieziona przez Kanał.

– W beczce? – rzuciła z pogardą Mathilde. – Żartujesz sobie z nas?

– Jakim cudem wcisnęli ją do beczki? – spytała Sophie. – Przecież tam jest tylko maleńki otwór.

– Tak, jakim cudem zamknęli ją w beczce? – chciała wiedzieć Clementine.

– Nie tyle ona weszła do beczki, ile beczka powstała wokół niej, klepka po klepcie. Potrzeba było dwóch godzin, żeby zbić beczkę, a potem jeszcze dwóch, by wydostać z niej Marie-France. Ach, pamiętam zmęczoną twarz twojego ojca, gdy odjeżdżał ze swoją przyszłą żoną, zamkniętą w beczce, ustawionej wraz z innymi na starym, drewnianym wózku. Jeśli był przerażony, nie dał nic po sobie poznać. Tamtego dnia zrobiłby wszystko, by ją ocalić. A miał zaledwie kilkanaście lat!

– Ale dlaczego wysłali właśnie jego? – zastanawiała się Sophie. – Przecież był tylko chłopcem.

– A ty nie zrobiłabyś czegoś takiego w wieku czternastu lat, Sophie? Myślę, że byłabyś do tego zdolna. Twoja babka chciała jechać, ale Olivier się uparł. Zresztą rozsądniej było, żeby młody

chłopak rozwoził beczki z winem, niż miałyby to robić kobieta.

Potem powtarzał tę trasę jeszcze wiele razy. Olivier Peine ocalił wiele ludzkich istnień. Bez niego świat byłby znacznie uboższy.

Clementine miała co do tego pewne wątpliwości, jako że w jej mniemaniu świat z Olivierem Peine'em był równie ubogi, jak bez niego.

– Co się stało później? – spytała.

– Czekał – odparła La Petite – i czekał, i czekał. A wiele lat później, długo po wojnie, Marie-France wróciła, zupełnie tak, jak obiecywała.

– Boże, jakie to romantyczne! – wykrzyknęła Sophie. – Nie sądzicie? Czekał na nią, a ona wróciła.

– Ale czemu to tyle trwało? – spytała z ironią Mathilde.

– Tego nie jestem pewna – odparła La Petite. – Jak się okazało, jej rodzice zginęli w obozach koncentracyjnych, a ona sama została odesłana do Kanady czy innego zimnego kraju. Nie znam szczegółów; wiem tylko, że wróciła. A on na nią czekał. Nawet jeśli w tym czasie stał się zimny, jej widok roztopił wszelkie lody. – Z wilgotnego oka La Petite spłynęła samotna łza. – To wszystko. Pobrali się, byli szczęśliwi jak aniołki i starali się o dziecko, którym okazałaś się ty, Clementine.

Słuchając słów Cyganki, Clementine doświadczała przedziwnych uczuć. Była to przepiękna, romantyczna historia, nawet dla kogoś, kto nie wierzył w romanse. Co w takim razie poszło nie tak?

– To była choroba – ciągnęła La Petite, odpowiadając na jej niewypowiedziane pytanie. – Ta sama, która i dziś zabija ludzi. Prawdopodobnie Marie-France cierpiała na nią już od jakiegoś czasu. To cud, że w ogóle przyszłaś na świat, Mentine. Wszyscy to powtarzali.

– Wszyscy, z wyjątkiem Oliviera – warknęła Clementine głosem ostrzejszym, niż zamierzała.

– Ależ nie, on pierwszy to powiedział – zapewniła ją La Petite. – Pewnie uważasz, że cię nie kochał, ale wiedz, że nigdy nie widziałam ojca, który patrzyłby na swoje dziecko z takim

uwielbieniem. Czuł się pobłogosławiony, Clementine, naprawdę pobłogosławiony. Byłaś dla niego oczkiem w głowie, wiosną jego życia. Kochał cię ogromnie. Jednak kiedy Marie-France odeszła... no cóż... twoja babka nie czuła się najlepiej, miała kłopoty z pamięcią. Próbowwała ugotować buty i ubierać się w chleb. Kiedy odeszła, Olivier poczuł się osamotniony. Nie umiał temu sprostać.

– Jak na kogoś wyjątkowo dzielnego, okazał się niezłym mięczakiem – parsknęła lodowato Mathilde.

– Nie sądzę, abys wiedziała, co to znaczy, gdy człowiek traci miłość swojego życia, Mathilde. Nie sądzę, ponieważ ty nigdy takowej nie miałaś – odparła surowym tonem La Petite. – Clementine to wie, choć było to dawno, dawno temu. Nie ufała jej wówczas i być może już w nią nie wierzy, ale wciąż wie i jest silniejsza od waszego ojca, ponieważ przeżyła podobną stratę. Co do mojej małej Sophie, to miała w swoim życiu więcej miłości, niż my wszystkie razem wzięte. Spójrzcie tylko na nią. Nie tylko przeżyła, żeby o tym opowiedzieć, ale chciała żyć, by o tym mówić. Ale ty, Mathilde! Nie rozpoznałabyś miłości swojego życia, nawet gdyby wymierzyła ci kopniaka! Byłabyś zbyt zajęta jazdą w przeciwnym kierunku, prowadząc luksusowy samochód, popijając wódkę i paląc papierosa.

– La Petite – rzucił Hector, otwierając oczy – uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

Mathilde oniemiała.

– Nie chodzi tu tylko o ciebie, Mathilde. – La Petite zwróciła się teraz bezpośrednio do niej. – Chodzi o twoją córkę. o córki was wszystkich. – Mówiąc to, spojrzała kolejno na Mathilde, Sophie i Clementine. – Pamiętajcie, że ten dom jest również ich domem. Musicie wiedzieć, jak bardzo byliście kochane, abyście mogły odwzajemnić tę miłość. Właśnie tak to działa; to normalna kolej rzeczy. A ponieważ byliście kochane – dodała – oznacza to, że wy również potraficie kochać.

Sophie zaczęła szlochać. Clementine w milczeniu przetykała łyzy. Nawet dziesięcioletnia Edie, która nie myślała jeszcze o córce, miała łyzy w oczach. Tylko Mathilde pozostała

niewzruszona, jak gdyby nie wierzyła w ani jedno słowo staruszki. Potrzebowała dowodu na to, że była kochana; a na dowody było już za późno.

– To wszystko? – spytała chłodno. – To ma być ta twoja pomoc, pomocna dłoń?

La Petite zakasłała i przytknęła oczy.

– Być może następnym razem użyję pomocnej stopy – mruknęła zmęczona. – I nawet wiem, gdzie ją przyłożyć. – Odetchnęła głęboko i opadła na poduszki. – Cegła po cegle! – powtórzyła cicho. – Pamiętajcie.

Wczesnym porankiem La Petite cichutko wymknęła się do rajcu pełnego gorącej czekolady i pachnącego wawrzynkiem. Świnek leżał po jednej stronie łóżka, Hector po drugiej, Sophie czuwała w nogach. Stara zbieraczka winogron odeszła bez walki, a łagodny uśmiech pozostał na jej ustach jeszcze długo po tym, gdy wydała ostatnie tchnienie. I choć Sophie gorzko płakała po jej odejściu, jej łzy nie były łzami współczucia dla starej kobiety, a jedynie łzami żalu, że nie mogła cieszyć się obecnością La Petite przez dłuższy czas.

Hector przez jakiś czas trzymał prababkę w objęciach, tulił ją do siebie i płacząc, śpiewał jej do ucha nieznaną kołysankę. Kiedy łzy na jego policzkach wyschły, delikatnie złożył głowę staruszki na poduszce, pocałował palce i przytknął je do uśmiechniętych ust zmarłej. Potem wziął Sophie za rękę i poprowadził korytarzem do pokoju dziewczyny i tam kochał się z nią tak delikatnie, jak nigdy dotąd.

Clementine zbudził łagodny śpiew Hectora i stłumiony szloch Sophie. Słyszała, jak oboje po cichu wyslizgnęli się z pokoju La Petite. Leżała, zastanawiając się, dlaczego nie jest rozzalona. Niebawem zrozumiała, że Hector był doskonałym pocieszycielem i nikt nie potrzebował go w tej chwili bardziej niż Sophie. Dlatego owinęła się kołdrą i wróciła do sennego świata marzeń.

O świcie Hector wyslizgnął się z łóżka Sophie i zaczął się ubierać.

– Muszę zabrać ją ze sobą – wyjaśnił – do naszych ludzi. Nie

chciałaby spocząć nieopodal kościoła.

Sophie skinęła głową; w jej oczach zabłyśły łzy.

– Nie jest to dla nas smutny dzień – ciągnął Hector, jednak Sophie nie rozumiała, kim są tamci „oni”. – To dzień radości. Wy tłumacz to pozostałym, dobrze? – Mówiąc to, podszedł do łóżka i pocałował ją w policzki. – Wrócę tu za rok, maleńka – dodał. – Wtedy się zobaczymy.

I tak po prostu Cyganie odeszli.

Szczęśliwego Nowego Roku

Nowy Rok przyniósł ze sobą obfite opady śniegu, które zmieniły smętne poletka brązowych winorośli w prawdziwie wytworny krajobraz, robiąc z nimi to, co futro z norek potrafi uczynić do pewnego wieku z każdą przeciętną kobietą.

Kiedy ponure kikuty zginęły pod puszystym, białym welonem, dolina roziskrzyła się tysiącami barw.

Tymczasem w domu Peine'ów panował posępny nastrój. La Petite, odchodząc pozostawiła po sobie pustkę, która ciążyła siostronom niczym zawieszony u szyi kamień. Najdotkliwiej odczuwały to Sophie i Clementine, choć Mathilde również zdawała się przygaszona. Przez następne dni rozbrzmiewał jej w uszach chrapliwy głos, mówiący o kochaniu i byciu kochaną, chociaż zwykle była głucha na tak ostrą krytykę. Gdy skończyło się otępienie wywołane alkoholem i tabletkami uspakajającymi, do głosu dochodziła rzeczywistość, tak więc niektóre słowa staruszki przedarły się przez pęknięcia w pancerzu Mathilde. Średnia siostra Peine była samolubna i arogancka, co do tego nikt nie miał żadnych wątpliwości. Nie była jednak głupia. Przez krótki, niewykorzystany czas w przeszłości, naprawdę nie chciała, by Edie czuła wobec niej to, co ona sama czuła do swojej matki. Nie mając wzoru, na którym mogłaby się oprzeć, Mathilde natknęła się na pustą studnię tam, gdzie chciała pokazać córce, że ją kocha. Starła się okazywać Edie uczucia, chwilami jednak opuszczała ją odwaga i to, co miało być serdecznym uściskiem, stawało się obojętnym muśnięciem włosów, a przelotny pocałunek w policzek zmieniał się w oglądanie piegów. Czymże jednak jest miłość? To, że sama Mathilde nie doświadczyła jej zbyt wiele, wcale nie oznaczało, że nie rozumiała jej istoty. Edie ze swoją intuicją bystrego dziecka wyczuwała zbliżającą się odwilż i w doskonałym humorze oczekiwała nadejścia świąt.

Nalegała, by wszystkie poszły na pasterkę, a Świnek uparł się, by im towarzyszyć, co z pewnością zszokowało ojca Philippe'a. Kucyk zachowywał się jednak jak należy i uprzejmię powstrzymał

się od publicznego zaznaczenia swojej obecności, potruchtał natomiast do leżącego w zakrystii dzieciątka Jezus, obwąchał je, parsknął, położył się obok dwukrotnie od siebie większego gipsowego osła i zasnął.

Sophie, która nigdy w ten sposób nie obchodziła Świąt Bożego Narodzenia, zaproponowała – choć bez entuzjazmu – by zgodnie z tradycją wróciły do domu na *reveillon*, tradycyjną, świąteczną kolację. Clementine nie dała się jednak przekonać. Dla niej Wigilia Bożego Narodzenia stanowiła dumną kropkę na końcu niebywale długiego procesu zwanego przycinaniem. W grudniu harowała po czternaście godzin dziennie, wykorzystując sytuację, że śnieg wciąż jeszcze się z nimi drażnił i nie przykrył ziemi na dobre. Krzaki winorośli były teraz doskonale przycięte i opatulone, tak aby mogły bezpiecznie przespać całą zimę. Zadowolona z ukończenia pracy, Clementine skostniałymi i opuchniętymi od zimna rękami wyjęła z szafy najlepsze ubrania. Ona także chciała przespać zimę i na dowód tego pochrapywała delikatnie w trakcie nijakiego kazania na temat życzliwości, które wygłosił ojciec Philippe.

Po powrocie do domu ożywiła się na tyle, by zjeść kilka kawałków ogromnego *buche de Noel* – upieczonej przez Sophie, rolady czekoladowej. Dopiero wówczas, zbyt zmęczona, by zetrzeć z kącików ust resztki czekolady, powłokła się do sypialni, znużonym głosem życząc wszystkim dobrej nocy i obiecując Edie, że rano będą na nią czekały prezenty.

Spała głębokim snem, śniąc o ciemnowłosym mężczyźnie na mrużącym miękko traktorze i obudziła się z uczuciem dziwnego zadowolenia, zwłaszcza gdy przypomniała sobie o czekającej na nią w kuchni, całkiem sporej *buche de Noel*. Kiedy Clementine zeszła na dół, jej siostry i siostrzenica zajadały się ciastem w najlepsze, a Edie aż podskakiwała na myśl o czekających na nią prezentach.

Ojciec przysłał jej telefon komórkowy, który niemal całkowicie umknął jej uwagi, Mathilde zaś podarowała jej ubrania, które George kupił aż w Barneys. Okazały się o jeden rozmiar za małe,

co Sophie i Clementine skwitowały wymianą posepnych spojrzeń. Edie natomiast była wyraźnie uradowana, ponieważ w ubiegłym roku dostała rzeczy aż o trzy numery za małe i tamte prezenty nietknięte leżały na dnie szafy w ich nowojorskim mieszkaniu. Ten jeden rozmiar można było wytrzymać.

Ale stos kolorowych ciuszków poszedł w ką, bo Sophie zaskoczyła wszystkich, ofiarując Edie akwarelę z widokiem rozciągającym się z poddasza, na którym spała dziewczynka. Na widok obrazka Mathilde szeroko otworzyła usta. Być może Sophie miała poważne problemy z pisaniem i czytaniem, jednak teraz jej wrodzony talent zabłysnął niczym diament. Pejzaż przedstawiał otaczające dom winnice i ciemniejącą w oddali bramę z wygiętych prętów. Promień zimowego słońca, niczym strumień żywego srebra, rozjaśniał widoczną przy podjeździe, zapomnianą żardinierę obsadzoną czerwonym geranium.

– Nie wiedziałam, że jesteś aż tak uzdolniona – westchnęła Mathilde bez cienia sarkazmu.

– Jesteś lepsza od cholernego Andy’ego Warhola! – wykrzyknęła podekscytowana Edie. – Mogłabym sprzedać ten obrazek na eBay za milion dolarów, ale oczywiście tego nie zrobię.

– Te kolory są takie prawdziwe – zauważyła Clementine, która nigdy nie słyszała o Andym Warhole, a tym bardziej o eBay. – W życiu nie widziałam takich barw w pudełku z farbami – dodała.

– Jakimś cudem zawsze radziłam sobie z kolorami – odrzekła nieśmiało Sophie. Widać było jednak, że komplementy sióstr sprawiły jej nieopisaną radość.

Ale żadne obcisłe spodnie dzwony czy bajeczne akwarele nie mogły równać się z prezentem, który Clementine podarowała siostrzenicy.

Tym podarunkiem był Świnek.

Clementine długo zastanawiała się, co mogłaby dać dziewczynce i od pierwszej chwili wiedziała, że najprawdopodobniej będzie to miniaturowy konik. Jednak Świnek tak wiele dla niej znaczył.

Gdyby nie on, przez te ostatnie lata umarłaby z samotności.

Przez tak długi czas był jej jedynym przyjacielem. I właśnie dlatego, a nie pomimo to (samopoznanie zaczęło zyskiwać popularność wśród sióstr Peine), zawiązała mu wstążkę na szyi i kiedy z czekoladowej rolady pozostały tylko kremowe okruszyny, podarowała go siostrzenicy.

Widok buzi Edie był wart każdego poświęcenia i tysiąca miniaturowych koników. Łzy napłynęły jej do oczu; Edie rzuciła się do kucyka, oplótła go ramionami i tuliła tak mocno, jak tylko mogła. Świnek oparł łeb na jej ramieniu i spojrzął na świat załzawionymi oczami, jak gdyby także płakał ze szczęścia – choć mogło to być zwyczajne zapalenie spojówek, do którego miał niebywałą skłonność.

Widząc to, Clementine nabrała przekonania, że dobrze zrobiła, oddając go dziewczynce. Od śmierci La Petite Świnek nie był sobą, zresztą podobnie jak one wszystkie. Jednak tylko on zginął po odejściu staruszki na dwa długie dni i wrócił przygnębiony do domu, niosąc ze sobą woń spalonych wrzosów. Clementine zastanawiała się nawet, czy przypadkiem nie poszedł za Hectorem i nie brał udziału w ceremonii pożegnania. Naturalnie miało to pozostać tajemnicą, która – nawet jeśli rzeczywiście kucyk brał udział w pogrzebie – ani trochę nie podniosła go na duchu. Po powrocie spędzał większość czasu skulony, leżąc smętnie u podnóża schodów, jednak z chwilą gdy został podarowany swej piegowatej dziesięcioletniej przyjaciółce, dosłownie odzyskał radość życia. Nawet Mathilde, która powitała ów pomysł z wyraźnym niezadowoleniem, nie skonfiskowała konika ani też nie otruła Świnka i Clementine.

Spokojnie i bez zbędnego zamieszania wkroczyły w nowy rok i jak na rodowite mieszkanki Szampanii przystało, spędziły pierwszy tydzień stycznia w błogim lenistwie. Wytrawni winiarze, którzy podjęli już decyzje związane z mieszaniem, pozostawali w stanie uśpienia przez cały styczeń niczym ich winorośl.

Jednak w Domu Peine przez dwadzieścia cztery godziny na dobę słychać było mruczenie Clementine, które w połowie miesiąca zaczęło doprowadzać Mathilde do szału.

– To jakby helikopter latał ci nad głową! – wrzasnęła pewnego popołudnia, kiedy zszarpane nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. – Clementine, możesz przestać?

Częściowo problem polegał na tym, że od jakiegoś czasu Mathilde spędzała w winiarni większość dnia. Pracowała w przypominającym szopę zagraconym kantorku Oliviera i starała się zainstalować na nowym laptopie arkusz kalkulacyjny. Skatalogowała na komputerze zawartość piwniczki, rachunki i napływające powoli zamówienia, co zważywszy na brak sekretarki, księgowej, a nawet przyzwoitego krzesła, które nie zaciągałoby nitek w każdej spódnicy, było niezwykle skomplikowaną sprawą. Początkowo Mathilde przychodziła tu niezbyt chętnie, jednak w jej żyłach płynęła krew rodu Peine. Jeśli miała być wobec siebie szczerą, musiała przyznać, że lubiła drożdżowo-owocowy zapach winiarni prawie tak samo, jak Clementine i uwielbiała rozmawiać słodkim głosem przez telefon z potencjalnymi klientami, patrząc jednocześnie na pełne wina, ciemne, dębowe beczki. Oczywiście nie przyznawała się do tego głośno. Zamiast tego oznajmiła siostrze, że woli pracować w winiarni, ponieważ to jedyne miejsce, gdzie nie drażni jej ten cholerny, głupi koń, którego cholerna Clementine podarowała jej cholernej córce. (Terapia Mathilde wciąż trwała).

Tak więc tego wyjątkowo mroźnego, styczniowego ranka, panika, która narastała w głowie Clementine na myśl o nadchodzącym mieszaniu, wbrew zdrowemu rozsądkowi nie pozwoliła jej znosić obojętnie złośliwych uwag Mathilde.

– Nie, nie mogę! Nie mogę! Nie mogę! – ryknęła w odpowiedzi, po tym jak po raz dwunasty skosztowała pinot meunier, które za każdym razem smakowało inaczej niż poprzednio. – Nie mogę, bo nie jestem pewna, czy tegoroczne wino można uznać za dobry rocznik. Nie mogę, bo nie wiem, czy pinot noir nie jest zbyt mocne w smaku. Nie mogę, bo mamy dużo doskonałego chardonnay, ale nie mamy pojęcia o produkcji *blanc de blancs*. Nie mogę, bo boję się, że chociaż mamy wszystkie komponenty potrzebne do stworzenia szampana wszech czasów,

ale nie wiem, czy potrafię połączyć je w idealną całość. I nie mogę, bo robię to zupełnie sama, ty głupia, chuda, nieczuła, okropna jędrzo! Nie mogę! Po prostu nie mogę!

Słyszając to, Mathilde wyszła ze swojego zapuszczonego kantorka i zbliżyła się do Clementine, która szlochała oparta o beczki znieawidzonego meunier.

Zdjęła okulary od Gucciego i patrząc na siostrę, postukała się oprawką po podbródku.

– Gdybyś choć na chwilę przestała histeryzować – odparła chłodno – zauważyłabyś, że wcale nie jesteś sama.

Clementine podniosła głowę.

– Och, doprawdy? A któż mi pomoże, ty? – Jej głos był drżący od łez. – Skosztujesz zapasów i powiesz mi, jakich składników dodać do tegorocznego wina? Zdecydujesz, ile meunier, ile pinot noir i ile chardonnay powinnam dolać do wytrawnego szampana? Jakiej ilości zapasów powinnam użyć? Ile zatrzymać? Pomożesz mi z tym wszystkim?

– Nie bądź głupia – odrzekła znużonym głosem Mathilde. – Wino przyprawia mnie o ból głowy, ile razy mam ci to powtarzać? Ja odpowiadam wyłącznie za sprzedaż, Clementine. Ty za produkcję. Sama posadziłaś krzewy, z którymi – jak rozumiem – jesteś przecież na ty. Własnoręcznie zbierałaś, wyciskałaś owoce, sok wlewałaś do beczek, gdzie zmienił się w to cenne wino, które tylko czeka, abyś coś z nim zrobiła. Może więc ruszysz tyłek, przelejesz je do butelek i poczekasz, aż zrobią się bąbelki, tak abyśmy mogły sprzedać całą tę partię? Nasz debet nie może trwać wiecznie, Clementine. Nie stać nas na kolejne opóźnienia. Miną co najmniej trzy lata, zanim zarobimy na tym winie pierwszego centa, a wierz mi, potrzebujemy pieniędzy.

– Ale mieszanie! – wykrzyknęła Clementine. – Nie rozumiesz, chodzi o mieszanie! Nigdy nie robiłam tego sama!

– Sama? Jesteś pijana? – warknęła zniecierpliwiona Mathilde, wkładając na nos okulary. – Rozejrzyj się: dookoła jest więcej Peine'ówien niż było ich tu w ciągu ostatnich stuleci. Jesteśmy jak winogrona – trzymamy się razem, na litość boską. Dlaczego więc

tego nie wykorzystać? Przestań jęczeć, że jesteś sama, weź do pomocy Sophie i Edie. I wyrzuć w diabły tę okropną spódnicę. Od samego patrzenia na nią robi mi się niedobrze.

Po tych słowach obróciła się na pięcie i stukając szpilkami, wróciła do kantorka.

Clementine przysiadła na kamiennej podłodze, czując jak rozlane meunier przesiąka przez sztruks spódnicy. Znowu nienawidziła Mathilde. Co więcej, z całego serca pragnęła, żeby siostrze poplątały się te patykowate nogi i by wywalila się jak długa, bo wtedy można by ją było dźgnąć widłami.

Clementine doskonale wiedziała, gdzie stoją widły.

Smak!

Jak zawsze, widły stały dokładnie tam, gdzie je zostawiono. Następnego dnia Clementine zbudziła się o świcie i spaliła sztruksową spódnicę. Co więcej, dzień później zapanowała nad atakiem paniki, łkaniem i drzeniem i udała się na poszukiwania Sophie i Edie.

Znalazła je w rzadko używanym pokoju dziennym, leżące do góry nogami na ustawionej przy oknie, starej, zapadniętej sofie. Świnek zwinął się w kłębek obok nich na podłodze, na pachnącej stęchlizną poduszce i z podkulonymi nogami bardziej niż kiedykolwiek przypominał świnię.

– No, popatrz na niebo – Sophie tłumaczyła Edie. – Zaczniemy od chmur. Widzisz tę, która wygląda, jak ogromna panda? Ma szare plamy zamiast oczu, a z boku, tuż nad łapą, ciemną łatę. Spójrz niżej, a zobaczysz szeroki pas błękitnego nieba – nie jest jasnoniebieskie, ani bladoniebieskie, tylko ma ten wyjątkowy, zimowy odcień błękitu, charakterystyczny dla Doliny Marny. Przypomina mleczne bławatki. Widzisz? Dobrze, teraz bardzo powoli przesunij wzrok w kierunku ziemi. Widzisz, jak niebo zmienia kolor? Jak niezauważalnie przechodzi z mlecznych bławatków w bławatkowe mleko, które niepostrzeżenie zmienia się w samo mleko, zanim się zorientujesz, że wcale nie patrzysz już na niebo, tylko na najczystszy śnieg. To samo się dzieje, kiedy spojrzysz w górę, choć w ten sposób jest to bardziej widoczne. Tak właśnie uczysz się mieszać.

– O czym rozmawiacie? – Głos Clementine sprawił, że Sophie i Edie podskoczyły na sofie. Chwilę później odwróciły się i usiadły. Twarze miały zaczerwienione.

– Właśnie opowiadałam Edie, jak malowałam oczy klientkom, kiedy pracowałam w stoisku Guerlaina – wyjaśniła Sophie. Dla Clementine, która nie miała pojęcia o jej pracy, ani nawet o tym, co to jest ów Guerlain, brzmiało to niczym pozbawiony sensu bełkot.

– Nieważne – rzuciła. – Co miałaś na myśli, mówiąc, że tak

właśnie uczysz się mieszać?

– Kolory, Mathilde, cienie do powiek. To była moja specjalność, kiedy pracowałam w stoisku Guerlaina w Le Bon Marche. Nawet moja szefowa, ta która... nieważne. Nawet moja szefowa musiała przyznać, że doskonale radziłam sobie z kolorami. – Spojrzała na Edie. – To się często zdarza ludziom, którzy mają problemy z pisaniem albo czytaniem – wyjaśniła.

Clementine otworzyła usta, by coś powiedzieć, jednak przytłoczona świadomością własnych niedoskonałości, wybuchnęła płaczem, chociaż tak bardzo starała się zapanować nad łzami.

Sophie i Edie zerwały się natychmiast, posadziły ją między sobą i robiły, co mogły, by utulić siostrę.

– Nie dam rady bez Oliviera – szlochała Clementine. – Potrafię zrobić wszystko, ale nie poradzę sobie z mieszaniem. To zawsze robił sam. Szampan należał do niego. To on decydował o jego smaku. Wiedział, co połączyć. Po prostu wiedział. Miał to we krwi. Wiele mi przekazał, ale nie wiedzę na temat mieszania. Nie umiem tego zrobić, Sophie, po prostu nie umiem. Mam mętlik w głowie. Czuję, że jestem zupełnie sama, rozglądam się dookoła i jestem przerażona, bo jeśli tegoroczny szampan nie będzie naprawdę dobry, jesteśmy skończone. A duchy przodków rodziny Peine'ów wpędzą mnie do grobu, co wcale nie będzie takie złe, zważywszy na to, że tu, na ziemi, czeka mnie prawdziwe piekło. Nie robię trujących świńskich pomyj jak Rimochin, ale nie jestem pewna, czy potrafię stworzyć coś lepszego.

– o czym ona mówi? – spytała Edie, wyraźnie poruszona widokiem szlochającej zdruzgotanej ciotki.

Sophie uspokoiła Clementine, przyciągnęła ją tak blisko, jak tylko mogła i szepnęła ponad jej głową:

– *Assemblage*. To proces mieszania win, by stworzyć idealny szampan, zanim jeszcze powstaną bąbelki. To wyjątkowa sztuka, którą doskonale znał nasz ojciec, ale teraz...

– Teraz odszedł, a ja jestem ślepa, ślepa, ślepa! – zawodziła Clementine.

– Nie jesteś ślepa, Mentine – odrzekła pocieszająco Sophie. – Tylko tak ci się zdaje. A to nie to samo.

– A nawet jeśli tak jest – dodała z wahaniem Edie – to Sophie ma doskonały wzrok, a ja smak. Sama tak mówiłaś, Mentine. Ty wiesz całą resztę na temat bąbelków i takich tam, więc... może zrobimy to razem?

Właśnie o tym mówiła Mathilde. Naturalnie cały pomysł był odrobinę nedorzeczny. Sophie, która przez większość życia stołowała się na śmietnikach, miała wyjątkowo niewrażliwe kubki smakowe. A Edie? Cóż... Edie była zaledwie dziesięcioletnią pół-Amerykanką. Ale czyż z owoców chardonnay nie powstawało wino chardonnay? Czyż winogrona pinot nie dawały wina o tej samej nazwie i smaku? Na tym właśnie polegał sekret szampana, by połączyć je razem w doskonałą całość.

Tak więc następnego dnia rano spotkały się w kuchni, gdzie Clementine przygotowała zestaw niezbędny do pierwszego rodzinnego procesu mieszania.

Było tam dziewiętnaście próbek wina pochodzącego z rozmaitych parceli i jeszcze dwanaście, pochodzących z sześciioletnich zapasów pinot noir i chardonnay. To dawało trzydzieści jeden butelek, które oznaczono i ustawiono w najlepszym porządku na zniszczonym, dębowym stole. Tuż obok leżał notes Oliviera. Na czystej kartce u góry dużymi, drukowanymi literami były wypisane trzy imiona. Na podłodze czekały pojemniki do płucia, na stole leżał chleb, aby wyczyścić podniebienie, a na kredensie spoczywała śliwkowa tarta, dzięki której miały przetrwać do południa.

Zaczęły od najstarszych zapasów chardonnay. Clementine rozlała niewielką ilość wina do kieliszków, po czym wszystkie zgodnie uniosły je do światła, porównując kolor.

– Jak nazwałybyście ten kolor? – spytała Clementine.

– Ja bym go nazwała kolorem wina – odparła niepewnym głosem Edie.

– To kolor starego złota – stwierdziła Sophie z wyraźną pewnością siebie – z domieszką słomy.

Clementine poruszyła kieliszkiem, a chłodne promienie zimowego słońca delikatnie musnęły szkło. Była pewna, że Olivier również określiliby barwę wina jako stare złoto z domieszką słomy.

– Bardziej żółte złoto – określiła Sophie następne wino – z niewielką domieszką starego złota.

– Czysta słoma – opisała następne. – Właściwie czysta, jasna słoma.

– Zielonozłoty z nutą srebrnoszarego – ogłosiła, spoglądając na rocznik 2002.

Słyszając to, Clementine pozbyła się wszelkich wątpliwości. Zgadzała się z każdym słowem siostry, skrupulatnie notując każdą, choćby najdrobniejszą uwagę. („Spójrz tylko, jak ona pisze – jęknęła tęsknie Edie. – Przecież to wszystko jest do siebie takie podobne”). Odrobina wiary przerodziła się w pewność. Olivier powtarzał zawsze, że to kolor określa charakter wina w równym stopniu, co jego smak. Clementine rozmyślała nad tym, patrząc, jak Sophie ocenia rocznik 2003. Przez chwilę widziała w swojej najmłodszej siostrze odbicie starego, zrzędliwego ojca, zwłaszcza gdy Sophie patrzyła na zawartość kieliszka z różnych stron, tak jak zwykł robić to Olivier.

Co więcej, okazało się, że mimo czasu, jaki spędziła, buszując po paryskich śmietnikach – a może właśnie dzięki temu – Sophie miała równie dobry węch, co wzrok.

– Czuję miód z domieszką śmietany! – wykrzyknęła w pewnej chwili. – I świeże figi! To pachnie zielenią. Czy to możliwe? Czuję tu jabłka Granny Smith – stwierdziła bez cienia wątpliwości. – A w tym meunier są pomarańcze albo inne owoce cytrusowe. Właściwie to chyba mandarynka.

– W porządku, Sophie – stwierdziła Clementine, kończąc zapiski na temat aromatu. – Czas na degustację. Tu będziemy potrzebować twojej pomocy, Edie. Pamiętaj, że chcę znać twoje pierwsze wrażenie i następne. Wiesz, co mam na myśli?

Edie potrząsnęła głową.

– Pierwsze wrażenie czujesz na języku, zębach i podniebieniu.

To głębia prawdziwego smaku. Drugie wrażenie to wszystko, z czym kojarzy ci się ten smak i to, jak się po nim czujesz. Wiem, że to brzmi odrobinę niedorzecznie, ale tak właśnie robił Olivier, a także Geoffroyowie i Tarlantowie. O ile łatwiej byłoby, gdybyśmy miały do czynienia z naukami ścisłymi! Niestety, nic z tego.

– Wcale nie – zaszczębiotała radośnie Edie. – Jestem beznadziejna z przedmiotów ścisłych.

– Zaczniemy od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego – zaproponowała Clementine, powoli kręcąc kieliszkiem i wdychając zapach wina. Potem upiła łyżek. To samo zrobiła Sophie, a po niej Edie.

Pozwoliły, by płyn rozlał się między zębami, opłukał język i musnął podniebienie. Dopiero wówczas wypluły wino.

– Dla mnie smakuje jak banany, ale przypomina miód – stwierdziła Edie.

– Zgadza się – dodała Sophie, biorąc do ust następny łyk. – Choć dopiero ty mi to uświadomiłaś.

– Jest owocowe – zgodziła się Clementine. – Ma smak owoców tropikalnych. Myślę, że czuć tu także twoje mango. Co ty na to, Edie?

– Aha. – Edie pokiwała głową. – I coś jeszcze. Przypomina placek kokosowy, który piekła babcia, kiedy przyjeżdżaliśmy do niej z wizytą.

Chwilę później pociągnęły kolejny łyk.

– Kokos – przyznała Clementine. – To naprawdę kokos!

Pozostała dwójka entuzjastycznie pokiwała głowami, wymieniając pełne zachwyty spojrzenia. Widząc to, Clementine nie mogła się powstrzymać. Odchyliła głowę i wybuchnęła czystym, radosnym śmiechem, który w niczym nie przypominał posępnego pomrukiwania.

Tamtego poranka poczyniła szczegółowe notatki na temat wszystkich zapasów wina. Następnego dnia dokonały degustacji tegorocznego meunier, trzeciego pinot noir, a czwartego dnia kosztowały chardonnay. Chardonnay z ostatniego winobrania smakowało lepiej niż zwykle, a winogrona z parceli za domem,

najbliżej lasu – te same, które, jak obawiała się Clementine, nie były wystarczająco dojrzałe – dały wino o niebywale intensywnym smaku.

– Smakuje jak serek śmietankowy Philly i morele – oświadczyła z powagą Edie, która do tej pory zyskała już miano eksperta. – Ale przypomina mi *pain au chocolat amande* Bernadette.

Pain au chocolat amande był smakołykiem, który Bernadette piekła co drugą sobotę. Było to najzwyklejsze francuskie ciasto, posmarowane sosem migdałowym i czekoladą Valrhona, zanim zostało zwinięte, upieczone i hojnie posypane lukrowanymi migdałami i cukrem pudrem. Clementine i Edie mogły rozmawiać o nim godzinami i nawet Mathilde budziła się z dziwnym dreszczem podniecenia, wiedząc, że na dole czeka ją prawdziwa słodka uczta.

– Jesteś taka dobra! – wykrzyknęła Sophie. – Mnie też to przypomina *pain au chocolat amande*, ale zanim powiedziałaś, nie byłam w stanie określić tego smaku. Jesteś geniuszem, Edie.

– To prawda – przyznała Clementine. – To najprawdziwsze *pain au chocolat amande*. Ta maślana konsystencja, przypuszczam, że to efekt dębowych beczek; ma też lekką goryczkę czekolady Valrhona. Jednak wcześniej nie czułam migdałów. Masz rację, Edie. Jest tak wyraźny, jak nos na twojej twarzy. Czuję morele i chyba także delikatny smak mięty.

Pain au chocolat chardonnay, jak nazwały wino, było na głowę pozostałe. Przyznały również zgodnie, że swą kremową, owocową nutą przypominało chardonnay, które od czterech lub pięciu lat dojrzewało w dębowych beczkach. To młode wino miało wyjątkowy charakter, co było niezwykle rzadkie i pokrzepiające.

Kiedy opisały już wszystkie młode wina, podzieliły je na najzwyklejsze, niezwykle, intensywne, kwaśne, słodkie, oraz takie, których smak długo pozostawał na języku i te, których smak szybko zanikał, z wyraźną trwałą nutą i bez.

Dopiero wówczas wyróżniły trzy, kolejne grupy: cierpkie, gładkie i specjalne.

W końcu, kiedy postanowiły, że nowa odmiana powinna być odrobinę łagodniejsza, Clementine podniosła ze stołu szklaną miarkę i wlała do niej jednakową ilość win z kategorii „gładkie”, wypełniając nimi jedną trzecią naczynia.

– Chcemy też smak jeżyn, prawda? – dopytywała się Edie.

– Nie w winie wytrawnym, tylko w szlachetnym – zdecydowała Clementine, wiedząc z całą pewnością, że stworzą takie i że będzie ono wyjątkowe. – Dodamy do niego później *au chocolat* chardonnay. To będzie naprawdę coś powalającego.

– A więc zostawiamy te dwa? – spytała Edie. – Nie użyjemy ich do zwykłego wina?

W żyłach Edie płynęła krew Peine'ów; to wszystko tłumaczyło.

Dzień Świętego Wincentego

Obie siostry oraz ich siostrzenica pracowały niezmiernie przez prawie dwa tygodnie. Idealne połączenie na wytrawny szampan było gotowe dwudziestego pierwszego dnia miesiąca, w wigilię Dnia Świętego Wincentego. Mieszanka zawierała znacznie więcej chardonnay niż w ubiegłych latach, ale w końcu był to wyjątkowo udany rok, jeśli chodzi o białe wino. Swe bogactwo czerpała również z budzącego wspomnienia rocznika '99, który kilka miesięcy temu tak bardzo zbliżył do siebie Sophie i Clementine. Po wielu trudach poczuły, że oto udało im się osiągnąć równowagę pomiędzy ostrym i łagodnym, po dodaniu odpowiednich ilości każdego ze smaków. Teraz ich wino przypominało legendarny smak dawnego szampana Peine, choć miało w sobie domieszkę czegoś nowego i wyjątkowego.

– Z bąbelkami – ogłosiła Edie, po raz ostatni kosztując gotową mieszankę – będzie idealne.

– A teraz – dodała uroczyście Clementine – zabierzmy się do *vintage*.

Jak się okazało, było to prostsze, niż mogło się wydawać. Wystarczyło połączyć podobną ilość jeżynowego pinot noir *z pain au chocolat* chardonnay i dodać odrobinę ostrzejszego pinot meunier z krzaków rosnących u stóp figury świętego Wincentego.

– Jest mięciutkie niczym chmury, ale słodkie jak cukierek! – zawołała Edie.

– Można by pomyśleć, że mięta będzie się gryzła ze smakiem jeżyny, a tak nie jest – dodała Sophie. – Jakimś sposobem chardonnay tuszuje wszystkie niedoskonałości. To zadziwiające.

Istotnie otrzymały wino o wyjątkowej mocy i specyfice. Lecz choć Clementine instynktownie czuła, że stanowiło doskonałą odmianę, wciąż dręczyły ją wątpliwości i lęk. Było to wino, jakiego nigdy nie stworzył Dom Peine ani żaden inny.

– A czy to nie fajnie? – zastanawiała się Edie. – Przecież nie musimy robić tego samego co wszyscy.

– Problem w tym, że jeśli będzie zbyt odmienne – wyjaśniła

Clementine – może wyglądać na to, że w ogóle nie mamy pojęcia, co robimy.

– Ale przecież ty wiesz, co robisz, Mentine – upierała się Sophie. – Masz to we krwi, zupełnie jak tata.

Część Clementine (dawnej Clementine) miała ochotę spytać Sophie, ile wiedziała na temat taty, jednak druga część (ta nowa) pragnęła uwierzyć siostrze. Jak człowiek, który tuż po śniadaniu sięgał po anyżówkę, mógł stworzyć dobre wino? Kto powiedział, że nie miała takiej samej wiedzy? Jeśli nie większej.

– Po prostu nie jestem pewna – odparły jednogłośnie dawna i nowa Clementine. Zmiany, jakie dokonały się w niej przez ostatni czas, postępowały milowymi krokami, jednak niektóre wątpliwości pozostały. – Po prostu nie wiem.

– A jest ktoś, kto to wie? – spytała nagle Edie. – No wiesz, ktoś, kogo mogłybyśmy zapytać.

Sophie wbiła w Clementine wyczekujące spojrzenie. Pomysł Edie wcale nie był taki głupi.

– Kto? – powtórzyła zamyślona Clementine. Kto jeszcze był w podobnej sytuacji i mógłby im pomóc? Jej twarz spochmurniała. Oczywiście Benoit był najwłaściwszą osobą i w innych warunkach to właśnie jego spytałaby o radę. Jednak w innych warunkach po prostu byłiby teraz razem, z Amelie i rozwrzeszczaną gromadą ładnych dzieciaków. Ten wyimaginowany obraz ścisnął ją za serce; jakiegokolwiek nadzieje na życie w idealnym świecie rozwiąły się osiemnaście lat temu. Próbowwała skłąć Mathilde tak, jak robiła to w przeszłości; wyrzyczyć głośno te wszystkie pretensje, które bulgotały pod powierzchnią jej gniewu i fatalnego nastroju. Jednak ku swemu zaskoczeniu nie znalazła w sobie dawnej zajadłości, a tam, gdzie jeszcze niedawno znajdowały się siedliska goryczy, było teraz pusto. Amelie, pomyślała tęsknie Clementine, koncentrując się na obrazie młodej kobiety, w którą zmieniała się jej córka, stojąca teraz niczym zjawą pomiędzy jej siostrą a siostrzenicą.

– Co się stało? – spytała Sophie. – Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Ducha? – pomyślała Clementine. W jej wyobrażeniach Amelie o ciemnych, kręconych włosach, choć pulchna, była niesamowicie piękna. Miała cudowne usta Benoit i promienny uśmiech, którego nie odziedziczyła po żadnym z rodziców.

– Mentine. – Edie szarpnęła ją za rękaw. – Nic ci nie jest? Clementine zamrugła oczami. Może teraz nie było tu jej córki, ale przecież istniała naprawdę. Nie była duchem ani wytworem wyobraźni.

– Nigdy nie czułam się lepiej – odparła ze spokojem.

To prawda. Nigdy przedtem nie czuła takiej chęci życia. Jej smutna egzystencja zmieniła się nie do poznania po zjawieniu się sióstr i niewykluczone, że jeszcze mogła się zmienić.

– Cóż, skoro jesteś w tak dobrym humorze – zaczęła ostrożnie Sophie – to może poszłybyśmy jutro na festyn z okazji Dnia Świętego Wincentego. Edie aż się pali, żeby zobaczyć procesję i musisz przyznać, że od świąt rzadko wychodziłyśmy z domu.

– A czy Edie zdaje sobie sprawę, że to oznacza kolejną wizytę w kościele? – spytała szorstko Clementine, choć tak naprawdę wcale nie myślała o kościele. Myślała o innej procesji w Dniu Świętego Wincentego, wiele lat temu.

– Tak, ale później jest przyjęcie, prawda? – Edie aż podrygiwała z podniecenia. – Laurent Laborde mi powiedział.

– Przyjęcie? – mruknęła Clementine. – Cóż, ja nie nazwałabym tego przyjęciem. To bardziej posiedzenie plotkar i gaduł narzekających na ostatnie zbiory.

– No, daj spokój, Mentine – naciskała Sophie, mając w oczach ten dziwny błysk. – Pójdziemy razem. To będzie rodzinna wyprawa. Może nawet będzie fajnie.

Clementine spodziewała się, że normalna w takich sytuacjach kula goryczy i żalu utknie jej w gardle i odbierze głos, nic takiego jednak się nie stało. Nawet jeśli przez ostatnie osiemnaście lat miała ochotę wziąć udział w styczniowym święcie, było to niemożliwe ze względu na Oliviera, który co rusz pakował się w jakąś bijatykę z okolicznymi winiarzami. W poprzednich latach siedziała więc w zimnym domu z milczącym ojcem, przeklinając

cholernego patrona za to, że nie umiał się nimi zaopiekować. W końcu nie chodziło tylko o to, by święty chronił winnice przed mrozem i podnosił temperaturę, gdy nadchodził czas dojrzewania winogron.

Tego roku za namową sióstr wyjątkowo niechętnie wzięła udział we mszy i procesji, podczas której okoliczni mieszkańcy składali dary pod figurą świętego Wincentego. Clementine uważała, że przebieranie się za starodawnych zbieraczy było cokolwiek niedorzeczne, miło było jednak widzieć Edie, która choć kategorycznie odmówiła włożenia wełnianej czapki z daszkiem i fartucha, spacerowała w towarzystwie Świnka pośród gromady roztańczonych dzieci. Wyglądała tak zwyczajnie, tak radośnie i tak naturalnie, że jej widok sprawiał Clementine ogromną radość. Wiedziała, że dla dziewczynki jest to równie ważne wydarzenie, jak kilkanaście lat temu dla niej samej.

Był piękny, rześki dzień. Gruba warstwa śniegu wciąż skrzypiała pod stopami. Dolina Marny wyglądała tak ładnie, że Clementine nie mogła nadziwić się jej urokowi. Wszyscy dookoła uśmiechali się, czasem nawet do niej. Mathilde stała pogrążona w rozmowie z burmistrzem, Sophie flirtowała z przystojnym młodzieńcem w chodakach, a roześmiana Edie pokazywała dzieciom, jak nauczyła Świnka stawać na tylnych nogach i prosić jak pies.

Clementine była tak zajęta zachwycaniem się swoją nową rodziną, że nie zauważyła starej madame Monet – garbuski mieszkającej w chacie na samym skraju miasteczka – która nagle zjawiała się obok niej, sprawiając, że Clementine straciła równowagę. W ostatniej chwili odchyliła się do tyłu, by nie potrącić starej wiedźmy i nadepnęła na nogę komuś stojącemu z tyłu. Kiedy obróciła się niezgrabnie, wpadła prosto w ramiona Benoit Geoffroya.

Chwycił ją za łokcie i przytrzymał przez chwilę. Spojrzał na Clementine swymi wilgotnymi, brązowymi oczami, pełnymi mrocznych tajemnic.

Wioska, tłum, procesja, zgiełk i chłód – wszystko nagle

zniknęło i pozostali tylko oni, dwie nieruchome wpatrzone w siebie postacie.

Jak to się mogło nam przydarzyć? – pytała się w duchu Clementine. Jak to możliwe, że wszystkie te lata minęły, a między nami nie było nic więcej, oprócz tych kilku skradzionych spojrzeń? Wstrzymała oddech, czekając aż uścisk na jej ramionach zelżeje, jednak tak się nie stało. Benoit trzymał ją nadal. Równie mocno.

„Amelie” – wydało jej się, że słyszy własny szept. Wysięk, jaki włożyła, aby nie powiedzieć mu o ich córce, był niczym fizyczny ból, potworne zaciskanie się obręczy wokół serca. Nie wiem dokładnie, jak wygląda, wyobrażała sobie, że właśnie wypowiada te słowa, ale przypuszczam, że ma twoje usta.

– Clementine – jęknął zmieszany Benoit, wciąż nie wypuszczając jej z ramion.

– Muszę wiedzieć – szepnęła i niemal natychmiast zapragnęła cofnąć te słowa. – Muszę wiedzieć.

– Co musisz wiedzieć?

Robiła z siebie największą idiotkę. Wiedziała to. Mogła ratować swoją godność, pytając o mieszanie win, tegoroczne zbiory, jego ojca, o cokolwiek. Jednak jej serce nie zgodziło się na to.

– Czy naprawdę chciałeś, żebym wtedy, dawno temu, poszła z tobą na festyn... – Po jej policzkach potoczyły się łzy. Jakże łatwo było z nim rozmawiać! Jak wiele lat straciła, wierząc, że to niemożliwe!

Dopiero patrząc na niego z bliska, zauważyła, że włosy miał przyprószone siwizną, a brązowe oczy otaczała gęsta siateczka zmarszczek. Podobnie jak ona sama, Benoit wydawał się ogorzały od wiatru i posiwiwały od życia wśród winorośli. Mimo że nieczęsto miała okazję oglądać go z tak bliska, każdy skrawek jego ciała wydawał się taki znajomy; niczym słynny obraz wiecznie oglądany w oryginale po latach wpatrywania się w marną kopię.

– Oczywiście – odparł, jeszcze mocniej ściskając ją za łokcie. –

Tak.

– Nie powinnam była... gdyby tylko...

– Nie, to moja wina – przerwał jej ochryłym głosem. – Tak mi...

– Nie przepraszaj. – Clementine nie mogła tego znieść. – Proszę, tylko nie mów, że jest ci przykro.

– Kiedy tak właśnie jest – odparł.

Miał zamiar coś dodać, opuścił jednak dłonie, zupełnie jakby coś go sparzyło. Spojrzał gdzieś ponad nią, a w jego oczach pojawił się twardy błysk. W tej samej chwili czyjeś ostre, wymanikiowane szpony boleśnie wbiły się w ramię Clementine.

– Co z wami jest, Peine'ówny? – warknęła Odile Geoffroy, odwracając Clementine twarzą ku sobie. – Zabierajcie łapy precz od mojego męża, słyszycie? Powiedziałam to już twojej zdzirowatej siostrze, a teraz mówię tobie. Znajdźcie sobie mężów. Mojego zostawcie w spokoju!

– Uspokój się, Odile. – Benoit starał się przemówić żonie do rozsądku, choć widać było, jak bardzo jest zdenerwowany. – Nie ma potrzeby mówić takich rzeczy.

– Mojej siostrze? – wyjąkała Clementine. – Nie rozumiem. My tylko rozmawialiśmy. Prosiłam tylko...

– Już dobrze wiem, o co prosiłaś mojego męża, ty ladacznico – syknęła Odile. – O to samo, o co ta twoja przekłeta siostra, kiedy na wpół naga zjawiała się na progu naszego domu. o kawałek mojego męża. Na wypadek gdybyście nie wiedziały, mój Benoit nie jest do wzięcia, więc posłuchajcie mnie: Odwalcie się i zostawcie nas w spokoju albo pożałujecie. Wszystkie pożałujecie!

– Odile, nie bądź śmieszna – wtrącił Benoit. – Jesteśmy sąsiadami. Powinniśmy...

– Ja? Śmieszna? Jak śmiesz tak mnie upokarzać? To podłe! – W głosie jego żony zabrzmiało głębokie oburzenie, jej podwójny podbródek drżał spazmatycznie. – A co do ciebie – zwróciła się do Clementine – ty pryszczaty flejtuchu, trzymaj łapy przy sobie i powiedz swojej zapijaczonej, amerykańskiej siostrzyczce, żeby zrobiła dokładnie to samo. To mój mąż, rozumiesz? Mój!

W tym momencie zakłopotany Benoit chwycił ją brutalnie za ramię i z taką samą siłą pchnął w kierunku tłumu, pozostawiając zawstydzoną Clementine samą.

– Chodź, Mentine! – krzyknęła śmiejąc się, Sophie, która pojawiła się w tej chwili i nie była świadkiem całej sytuacji. – W ratuszu jest przyjęcie. Będzie gęś. Twoja ulubiona! Słyszałam też, że Bernadette przeszła samą siebie jeśli chodzi o tarte wiśniową i bezy Chantilly. Mathilde mówi, że burmistrz...

– Zostaw mnie! – wrzasnęła Clementine i odwróciwszy się na pięcie, pobiegła w stronę domu. Zdeptany śnieg wydał jej się brudny i rozmokły, a otaczający ją ludzie nie byli już tacy życzliwi i uśmiechnięci.

Miała nadzieję, że świadomość, iż tamto wydarzenie sprzed lat nie było tworem jej wyobraźni, a Benoit naprawdę chciał zaprosić ją na procesję, na zawsze odmieni jej życie. Myliła się. Żadne słowo, nieważne jak istotne, nie mogło zmienić faktu, że poślubił Odile.

Po powrocie do domu Clementine położyła się do łóżka z pudełkiem nugatowych czekoladek i płakała w poduszkę za czymś, co utraciła i czego już nigdy nie miała odzyskać.

Płakała nad Benoit i Amelie.

Płakała nad sobą.

To była długa, bezsenna noc.

Miłość

Rankiem, chora od nadmiaru czekolady i braku snu, zapłakana i roztrzęsiona Clementine pojawiła się przy kuchennym stole.

Jej siostry i siostrzenica najwyraźniej kończyły coś, co wyglądało jak suflet.

– Mentine, zobacz co... – zaczęła Sophie, Clementine jednak przerwała jej niecierpliwym machnięciem ręki.

– A ja już zaczęłam przyzwyczajając się do ciebie – zwróciła się do Mathilde – i wierzyć, że naprawdę ci na nas zależy. I prawie uwierzyłam, że wszystko będzie dobrze. Naprawdę. Jak mogłam być aż tak głupia? Nie wystarczył ci tamten raz, co? Musiałś wrócić i zabrać mi go po raz kolejny!

Mathilde popatrzyła na nią oszołomiona.

– O czym ty, do cholery, mówisz? Nigdzie nikogo nie zabierałam.

– Benoit – odparła beznamiętnie Clementine. – Tak, o nim mówię. Wiem, że znowu tam poszłaś, prawie naga i próbowałaś go uwieść na oczach jego żony. Tak, wczoraj na festynie Odile wszystko mi powiedziała! Myślała, że chcę zrobić to samo. Nazwała mnie flejtuchem i ladacznicą! Czym sobie na to zasłużyłam, Mathilde? Powiedz mi? Czym?

Mathilde zakasłała subtelnie i wytarła kąciki ust chusteczką.

– Edie, skarbie, może wyjdiesz na podwórko i pobawisz się ze swoim małym mułem – zaproponowała nadzwyczaj uprzejmym głosem.

Dziewczynka spoglądała to na nią, to na Clementine, jak gdyby rozumiała, że coś wisi w powietrzu. Po chwili odłożyła bagietkę i wybiegła, trzaskając drzwiami.

– Clementine, chyba powinnaś usiąść – odezwała się nerwowo Sophie. Kobieta, na którą teraz patrzyła, nie była tą samą, ciepłą i życzliwą Clementine, którą widywała w ostatnich miesiącach, ale zgorzkniałą, niezrównoważoną dziwaczką, którą zastała w domu tuż po swoim przyjeździe.

Clementine zignorowała jej prośbę.

– Dlaczego czerpiesz taką przyjemność z pastwienia się nademną? – zwróciła się do Mathilde.

– Jak zwykle nic nie rozumiesz – odparła tamta zniecierpliwiona. – Możliwe, że kilka razy poszłam, by z nim porozmawiać, ale to były czysto sąsiedzkie pogaduszki. Co mogę poradzić na to, że ta jędza od razu myśli tylko o jednym?

– Owszem, Mathilde, możesz! Dlaczego po prostu nie zostawisz go w spokoju? Przecież nic dla ciebie nie znaczy. Możesz mieć, kogokolwiek zechcesz i kiedy tylko zechcesz, a ja całe życie marzyłam tylko o Benoit! Całe życie! I nigdy go nie dostanę! Nigdy.

– A więc to cię tak wkurza! – parsknęła Mathilde. – Cóż, na początek powiem ci, że to kompletna bzdura. I pozwolę sobie dodać, że gdybyś tylko chciała, bez trudu mogłabyś go zabrać tej starej wiedźmie.

– Nie mogłabym! – wrzasnęła Clementine. – Nie mogłabym. Widzisz? Po prostu nic nie rozumiesz. Nie możesz nawet pojąć, że inni nie mają tego, co ty. Że nie każdemu wszystko przychodzi tak łatwo, jak tobie. Że niektórzy ludzie żyją w rozpacz, pełni wątpliwości i żalu. Żalu! Wiesz, jak to jest, Mathilde? Siedzieć tu, patrzeć na twoje szczupłe, długie nogi, ten... ten rowek między piersiami i wyczuwać ohydny, emanujący z ciebie seksapil?

– Szczerze? Nie, nie wiem – odparła chłodno Mathilde. – Ale też nie spędzam całych dni, taplając się w błocie niczym hipopotam i użalając się nad sobą. Nie wiń mnie za to, że pozwoliłaś, by Benoit wyslizgnął ci się z rąk czy też kopyt. Jesteś wystarczająco dorosła i brzydka, by znieść z honorem taką porażkę.

Clementine rzuciła się przez kuchnię i byłaby udusiła Mathilde, gdyby nie Sophie, która stanęła między nimi.

– Przestań, Mentine – jęknęła błagalnym tonem.

– Tak, zmierz się z kimś o podobnych gabarytach, jeśli znajdziesz kogoś, kto wygląda jak stodoła – warknęła Mathilde, chwytając najmłodszą siostrę za biodra i zasłaniając się nią. Wściekła Sophie wyrwała się z jej uścisku.

– Dlaczego zawsze wszystko psujesz? – spytała. – Nie widzisz, jakie to dla niej trudne? Nie obchodzi cię, jak bardzo ją raniśz?

– Czym? – spytała Mathilde. – Tym, że sto lat temu zabawiłam się z chłopakiem z sąsiedztwa, kiedy potrzebowałam towarzystwa? To nie przestępstwo. Naprawdę nie wiem, o co tak się wściekacie.

Sophie odsunęła się, objęła Clementine szczupłym ramieniem i poprowadziła ją w kierunku krzesła. Zmusiła siostrę, by usiadła i klękawszy obok niej, zaczęła gładzić niesforne, rude loki.

– Ona naprawdę nie wie, jak to jest, Mentine – tłumaczyła kojącym głosem. – Dlatego wciąż tak robi. To nie jej wina, ale właśnie dlatego może ranić ciebie i Edie. Ona nie ma pojęcia, jak to jest.

– Och, na litość boską, przestań gadać bzdury – warknęła Mathilde.

– Ranić Clementine? Ranić Edie? Nikogo nie ranie. Pilnuję tylko swoich interesów. Naszych interesów. Nie wiem, o co wam chodzi, do cholery.

Sophie przestała gładzić włosy Clementine.

– Skrzywdziłaś Clementine, tak jak skrzywdziłaś Edie. – Jej głos brzmiał nadspodziewanie silnie. – Uwierz mi, moja matka też mnie porzuciła i to cholernie bolało.

– Wielkie mi co! – syknęła Mathilde. – Czas się otrząsnąć.

– Tak jak ty otrząsnęłaś się z tego, co ci robiła twoja matka? – Sophie powoli dźwignęła się z podłogi i spojrzała Mathilde prosto w oczy. – I jak tego dokonałaś, Mathilde? Może nie jesteś tą samą nieszczęśliwą dziewczynką, którą byłaś, kiedy przyjechałaś tu po raz pierwszy, ale patrząc na ciebie, mam wrażenie, że wciąż przed czymś uciekasz.

– Jak śmiesz, ty mała gówniario? – wycodziła przez zęby Mathilde.

– Gdybyś przeżyła to, co ja, wiedziałabyś, jak sobie z tym poradziłam, ale lepiej zachowaj tę swoją niewydarzoną psychogadkę dla siebie. Moja matka podrzucała mnie komu popadło, za każdym razem gdy tylko zwęszyła nowego kochasia.

Kiedyś zniknęła na cały cholerny rok, więc nie mów mi, że nie wiem, jak to jest. Po prostu nie jestem tak słaba i żałosna, żebym musiała o tym trąbić.

– Ale okazywanie uczuć nie jest niczym żalosnym ani ułomnym. – Sophie buntowniczo oparła ręce na biodrach i wyglądała teraz jak rozczochrany Piotruś Pan. – To ludzkie. Normalne. Najlepsze, co mogłabyś zrobić dla Edie, to okazać jej uczucie; nie ignorować jej i unikać, tak jak unikała cię własna matka. Nie widzisz tego? Właśnie to próbowała powiedzieć nam La Petite.

– Ta stara wiedźma! – wrzasnęła Mathilde, choć jej głos nie był ani tak silny, ani stanowczy jak głos Sophie. – To stek bzdur. Nie unikam... – Zaczynała tracić panowanie nad sobą. – Ona nie wie. Próbowałam. Chodzi o to, że ja... – Każdy kolejny oddech był płytszy od poprzedniego. Mathilde wykrzywiła się i cała zapadła w sobie. Rozklejała się na ich oczach. – Kiedy myślę o Edie, czuję... och, nawet nie... ale wiem, że to tylko... Wy, idiotki, i tak tego nie rozumiecie, ale dla mnie to coś innego. Uważam, że to wszystko jest zupełnie... – rozplakała się jak dziecko – nie do zniesienia. Czasami, kiedy na nią patrzę, robi mi się niedobrze na myśl, że jestem taka, taka, taka... – Kolejne słowa utonęły pośród urywanych szlochów.

– I co z tego? – spytała łagodnie Sophie, zdejmując ręce z bioder.

– Boję się! – ryknęła Mathilde. – Jestem cholernie przerażona!

– Przerażona czym?

– Nie wiem. Po prostu się boję. Boję się jak cholera!

– Ale Mathilde – szepnęła uspokajająco Sophie – to właśnie jest miłość.

– Nieprawda! – wrzasnęła Mathilde. – Miłość nie sprawia, że masz ochotę ukryć się przed całym światem albo wyrwać sobie serce i je podeptać. Nie jest aż tak przerażająca. Nie jest nieokiełznana. Nie przynosi tylu pieprzonych rozczarowań.

– Właśnie, że tak – szepnęła jakby do siebie Clementine, nie mogąc przestać myśleć o Benoit i Amelie. – Właśnie, że tak.

– Jest trudna, Mathilde, ponieważ gdy bardzo ci na kimś zależy, masz wiele do stracenia. To właśnie boli najbardziej – dodała Sophie.

– Ale dlaczego? – zawodziła Mathilde. – Jak to możliwe? Kto mógłby chcieć znosić coś takiego? – Cała roztrzęsiona, głośno chwytając powietrze, jednocześnie próbując odzyskać panowanie nad sobą. – Co się, do cholery, ze mną dzieje? – szlochała. – Co jest ze mną nie tak?

Patrząc na nią, Clementine poczuła ogromne współczucie. Doskonale wiedziała, co znaczy doświadczać tej skomplikowanej huśtawki uczuć. Któż mógłby przypuszczać, że właśnie to połączy ją z Mathilde? Obróciła się ku Sophie i podniosła dłonie w geście bezsilności.

Sophie podeszła do Mathilde i dała znać Clementine, że i ona powinna podejść.

– Nic się z tobą nie dzieje – zaczęła, otaczając ją ramieniem. – Musisz tylko zrozumieć, że lepiej czuć to, co czujesz, niż nie czuć kompletnie nic.

W jej cierpliwym, czułym uścisku Mathilde wkrótce doszła do siebie.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała. – Przecież jesteś nikim.

– Ona nie jest nikim – odparła szorstko Clementine, podchodząc do Mathilde i kładąc spracowaną dłoń na dłoni Sophie. – Jest jedną z nas.

Uśmiech Sophie powiedział jej wszystko. Dziewczyna przytuliła się do Clementine.

– I ty także, głuptasie – Clementine zwróciła się teraz do Mathilde. – Więc przestań się mazać.

Mathilde podniosła drżące ręce i położyła je na dłoniach sióstr. Wszystkie trzy stały tak przez dłuższą chwilę, obejmując się wzajemnie w tej dziwnie pokrępowanej ciszy.

Każdy, kto wiedział cokolwiek na temat rodziny Peine, zemdlałby z niedowierzania, gdyby zajrzał przez kuchenne okno i zobaczył ową scenę. Nikt jednak jej nie widział. Pograżeni w beztroskiej zabawie Edie i Świnek nie widzieli niczego, choć – co

dziwne – kucyk już nigdy więcej nie kładł uszu i nie szczyrzył zębów na widok Mathilde.

Kiedy następnego ranka zeszła do kuchni na późne śniadanie, Sophie przywitała ją życzliwym „dzień dobry”, a Clementine nieśmiałym, choć serdecznym uśmiechem.

– Ktoś ma ochotę na kawę? – spytała Mathilde.

Nigdy wcześniej o to nie pytała, ale nie samo to pytanie wydawało się ważne. Była to wszakże jedna z owych chwil, gdy wszyscy zdają sobie sprawę, że oto właśnie wydarzyło się coś istotnego. Upadł niewidzialny mur i już nigdy więcej nie zostanie odbudowany. Wydawało się to nieco krępujące, jako że żadna ze starszych sióstr nie była przyzwyczajona do takiej sytuacji, i teraz obie czuły się jakby nagie. Miało to jednak swój urok.

Mathilde nalała sobie kawy i podchodząc do stołu, delikatnie uścisnęła ramię Clementine.

Zaskoczona Clementine podniosła wzrok, jednak nie odezwała się ani słowem.

– Tak sobie myślałam – zaczęła cichutko Mathilde – o tym, co wczoraj powiedziałaś, o żalu i tym wszystkim. – Była dziwnie zakłopotana, za wszelką cenę jednak starała się dokończyć wypowiedź. – Myślałam o Benoit i tym, co dla ciebie znaczył, Clementine. I teraz rozumiem, że może był kimś więcej niż tylko chłopakiem z sąsiedztwa.

Sophie wyciągnęła dłoń i ścisnęła rękę Clementine leżącą nieruchomo na stole.

– Nie bój się, Mentine. Może powinnaś jej powiedzieć, dlaczego Benoit tak wiele dla ciebie znaczy. Może zbyt długo ukrywałaś ten sekret.

– I co z twoją córką? – dodała Mathilde. – Już dawno powinnam cię o nią zapytać.

– Amelie – szepnęła Clementine, patrząc przed siebie. – Ma na imię Amelie.

– A Benoit jest jej ojcem? Siostra pokiwała głową.

– Ale czy on o tym wie?

Głowa Clementine znieruchomiała.

– Dlaczego mu nie powiedziałaś?

– Nie rozmawiałam z nim od czasu, kiedy ty i on...

– Nie ma żadnego on i ja, Clementine.

– Ale było. Wtedy. Poszłam tam. Tylko ten jeden raz. Po tym, jak ty i on... Wiedziałaś, że go pragnęłam, Mathilde, a mimo to poszłaś tam i zabrałaś mi go.

– Nie rozmawiałaś z nim od tamtego czasu? – Mathilde była zdumiona. – Ale to niedorzeczne, Clementine. To się wydarzyło dawno temu, a ja byłam napaloną siedemnastolatką i zrobiłam to, co robią napalone siedemnastolatki. Nie wiedziałam, co do niego czujesz, a nawet jeśli wiedziałam, w ogóle mnie to nie obchodziło. Teraz jest inaczej. Wiem i obchodzi mnie to. I jest mi przykro. Naprawdę bardzo mi przykro.

Mijały sekundy i po chwili Clementine zrozumiała, że to szczerą prawdą; że całą tę nieszczęsną sytuację spowodowały szalejące hormony i że Mathilde naprawdę żałuje tego, co zrobiła.

Musiała teraz zdecydować, czy dalej uparcie trwać w rozgoryczeniu, czy też wyrzucić je z serca. Przez moment postanowiła nie odpuszczać. Tak długo gniew był częścią jej życia, że życie bez niego napawało ją lękiem. Jednak wewnętrzna radość, jaką niosło wybaczenie – tak rzadka w jej życiu – znajdowała się zaledwie na wyciągnięcie ręki. Była jak pokusa, której nie można się oprzeć. Jak czekoladowe ekierki.

– Przeprosiny przyjęte? – spytała ostrożnie Mathilde.

– Przyjęte – odparła niechętnie Clementine, a cały jej smutek uleciał niczym napęczniony gorącym powietrzem balon.

Siostry

Sroga, zimowa pogoda ciągnęła się przez kolejny miesiąc, jednak krzaki winorośli drzemały bezpiecznie pod grubym śnieżnobiałym kocem. Tymczasem w domu sióstr Peine nastąpiła prawdziwa odwilż. Naturalnie ściany wciąż pozostawały jeszcze chłodne, a okna odrobinę zamarznięte, atmosfera jednak była już istic wiosenna. Prawdę powiedziawszy przypadkowy przechodzień, który nie dalej jak miesiąc temu byłby zde gustowany, zaglądając przez kuchenne okno, teraz mógłby szczerze pozazdrościć życzliwej atmosfery, jaka zapanowała w domu.

Któż mógłby przypuszczać, że sielanka sióstr Peine będzie wzbudzała w ludziach taką zazdrość?

Edie cieszyła się feriami, kompletnie zaskoczona radością, z jaką Francuzi witali każdy wolny dzień. Co tydzień rozmawiała z ojcem przez telefon, opowiadając podekscytowanym głosem o pieczeniu kasztanów i lepieniu bałwana, zanim przekazała słuchawkę Mathilde. Sophie uczyła ją malować i piec, rozwijając tym samym zdolności dziewczynki i dodając jej pewności siebie.

Podczas gdy jej córka znalazła nową rodzinę, Mathilde z radością poświęciła się kampanii na rzecz nowego szampana Peine, którą prowadziła w tak wielu restauracjach i sklepach, jak było to możliwe. Krążyła po winiarni i rozmawiała przez telefon, zbierając zamówienia, podczas gdy Clementine wolno i ze spokojem kończyła proces mieszania.

Młode, gotowe wino, zamknięte bezpiecznie w beczkach czekało, aż Clementine rozleje je do butelek.

Jednak w winnicach nie ma czasu na odpoczynek i niebawem nadszedł czas oczyszczania szampana, z którego sprzedają tak świetnie radziła sobie Mathilde. Było to gigantyczne zadanie, wymagające wielu rąk do pracy, jednak Clementine nie przyjęła żadnej pomocy, w obawie, że niektóre z owych rąk mogą zbyt łatwo upuścić butelki, a tym samym zmarnować cenny trunek.

– Nasz dyrektor banku ma mały problem – ogłosiła Mathilde

pewnego popołudnia, w połowie lutego, po powrocie z Epernay. Nie wspomniała, że ów problem polegał na tym, iż dyrektor zrozumiał w końcu, że nigdy nie położy swoich spoconych palców na jej smukłych udach, co wprowadziło go w naprawdę fatalny nastrój. – Robi się odrobinę nieprzyjemny – dodała – w kwestii naszego debetu i musimy przedstawić sprawozdanie z przepływu środków pieniężnych. Jak myślisz Clementine, kiedy będziemy mogły rozpocząć sprzedaż?

– Wszystkie butelki zostały już poruszone, ale potrzebujemy tygodnia na oczyszczenie – jeśli będziemy ostrożne i ograniczymy do minimum wszelkie potknięcia.

– Tak, tak, a później?

– Później wino będzie leżakowało jeszcze przez sześć tygodni.

– Sześć tygodni! – Mathilde przewróciła oczami zę złością. – Żartujesz? Ten piekielny trunek leżakuje już od dobrych czterech lat!

– Właśnie dlatego musimy pozwolić mu jeszcze trochę leżakować – upierała się Clementine. – Zrozum, Mathilde, przez cały ten czas nasze butelki leżą w piwnicy i produkują bąbelki. Później nachylamy je szyjkami w dół, zamrażamy szyjki, zdejmujemy kapsle, usuwamy osad, odwracamy butelki i korkujemy je. Wyobraź sobie, co by to było, gdyby aż tyle rzeczy przytrafiło ci się w zaledwie jeden dzień? Zaufaj mi, wino musi jeszcze trochę poleżakować. Jeśli postąpimy inaczej, wykażemy się wyjątkową nieroztropnością, a może okrucieństwem.

Mathilde przez chwilę zastanawiała się, jak by to było, gdyby ktoś zdjął z niej kapsel i postawił ją do pionu. Od ostatniego razu minęło już trochę czasu; korek utknął w niej na dobre, a wyobrażenie, by mogło być inaczej, wydawało się nedorzeczne.

Porzuciła zatem podobne myśli.

– A więc gdybyśmy oczyściły je teraz, mogłybyśmy zacząć sprzedaż pod koniec marca? – spytała.

– Raczej na początku kwietnia. Wtedy mogłybyśmy zabutelkować nowe wino, bo miałybyśmy więcej miejsca w piwniczce. – Wytwarzanie wina przypominało bezustanną

zonglerkę. Każdą minutę należało wykorzystać w ten czy inny sposób; podobnie, jak każdy centymetr wolnej przestrzeni.

– W porządku – odparła kategorycznie Mathilde. – Musimy zatem rozpocząć oczyszczanie tak szybko, jak będzie to możliwe, i wypuścić nasz szampan na rynek. Ja zajmę się dyrektorem banku. Myślę, że dam radę powstrzymać go jeszcze przez jakiś czas. – Przynajmniej miała numer telefonu do jego szefa w Paryżu i mogła zagrozić, że zadzwoni do niego, jeśli dyrektor z Epernay nie zaczeka kolejnego miesiąca. – Ważne jest jednak, abyśmy mogły wskazać jakieś konkretne daty; musimy też zdążyć przed ostatecznymi terminami. Jeśli rozpoczniemy dystrybucję w kwietniu, pierwsze pieniądze spłyną do nas na początku maja. Muszę dopilnować, aby tak było, ale już wcześniej to robiłam, poradzę sobie. To bardzo istotne, żebyśmy szybko otrzymały zapłatę, jeśli zamierzamy... – Urwała, nie chcąc niepokoić sióstr, jednak było już za późno. Może Sophie nie miała głowy do finansów, ale niczym pies gończy umiała wyczuć nadciągające ubóstwo.

– Mamy kłopoty?

– Balansujemy na krawędzi – przyznała Mathilde. – Ale ludzie mają gorsze problemy. Generalnie chodzi o to, że musimy na bieżąco informować naszych odbiorców, kiedy mogą spodziewać się dostaw i wiedzieć, kiedy dostaniemy pieniądze.

– Przynajmniej wypuścimy na rynek rocznik dwa tysiące drugi – odrzekła Clementine. – To był dobry rok i mamy całkiem spore zapasy.

W Domu Peine szampan dojrzewał dłużej niż w innych winnicach – był to wymysł Oliviera – z których wiele wyprzedawało już rocznik dwa tysiące trzeci. W dwa tysiące drugim roku najpierw przyszły mrozy, potem upały, więc uda im się wysłać do sklepów i restauracji chociaż połowę tego, co zwykle.

– Według mnie oznacza to, że w przyszłym roku i tak będziemy miały problemy z przepływem gotówki – dodała ponuro.

– Do diabła z przyszłym rokiem – rzuciła lakonicznie Mathilde.

– Jeśli będzie trzeba, poradzimy sobie i z tym problemem. Najpierw musimy przeżyć ten rok.

Tego wieczoru Clementine wyprowadziła ze stodoły zardzewiały wózek widłowy i podjechała nim na skraj winiarni. Jedną z zalet piwniczki zrobionej przez ich przodków było to, że znajdowała się pod ziemią, gdzie niezależnie od pory roku utrzymywała się niska temperatura. Jej największa wada natomiast polegała na tym, że trudno było coś do niej wnieść lub z niej wydostać. Podczas winobrania sok wędrował z ostatniego piętra do piwniczki rurami, a winiarze schodzili na dół po wąskich krętych schodach. Jednak aby umieścić cokolwiek na dole bądź wyjąć z podziemi beczki, butelki, kadzie czy inne przedmioty o dość pokaźnych gabarytach, należało przyprowadzić wózek na wykopany w ziemi, stromy podjazd, pod ciężkie, stalowe drzwi, które – podobnie jak brama – zawodziły zawsze wtedy, gdy człowiek najmniej się tego spodziewał.

Przez kolejne dni Clementine wielokrotnie zmagала się ze stromym podjazdem i złośliwymi drzwiami. Przy akompaniamencie zgrzytających biegów, buchających spalin i soczystych przekleństw podnosiła palety wzruszonych butelek i przewoziła zapasy na najwyższy poziom piwniczki, gdzie czekało je oczyszczanie. Kiedy przewiozła już wszystkie butelki, zwerbowała do pomocy siostry i Edie.

Co pół godziny przypominała im, by uważały na to, co robią, ograniczając do minimum fatalne w skutkach błędy. Przez tydzień cała czwórka pracowała na swoistej linii produkcyjnej: zamrażały szyjki butelek, usuwały osad, dodawały starego wina i cukru, a potem korkowały wino, dopasowując koszyczki, zakładały folię i pakowały butelki z powrotem na palety. Była to hałaśliwa i wyczerpująca praca i pod koniec każdego dnia dosłownie leciały z nóg.

Tym większą jednak poczuły satysfakcję po południu ostatniego dnia. Clementine objęła wzrokiem pięćdziesiąt tysięcy butelek, które zbliżyły je do dnia, w którym uświetnią swymi doskonałymi bąbelkami niejedną wyjątkową okazję.

Podkasała spódnicę (wprawdzie nie był to jeszcze model Chanel, ale stanowiła znaczną poprawę w porównaniu do sztruksowego worka) i zamierzała właśnie wskoczyć na wózek, kiedy zatrzymała ją Sophie.

– Co robisz, Mentine?

– Zamierzam odstawić palety z powrotem do piwnicy – odparła Clementine zmęczonym głosem. – Czego nie zrobię dziś, będę musiała zrobić jutro.

– Daj spokój – zaprotestowała Mathilde. – Urobiłyśmy się po łokcie. Musimy to uczcić.

– Tak, Mentine, co powiesz na butelkę rocznika osiemdziesiątego ósmego? Zasłużyłaś na nią. – Sophie kosztowała go zaledwie kilka razy, jednak nie miała nic przeciwko temu, żeby przypominać sobie ów smak tak często, jak to możliwe.

Clementine pomyślała o Olivierze, jego niechęci, by dzielić się z kimkolwiek radością ze swojej pracy, i nieumiejętności korzystania z tego, na co tak ciężko pracował. Zdecydowała, że wózek widłowy może poczekać do jutra.

– Masz rację – przyznała. – Przyniosę butelkę, a wy idźcie do domu i rozpalcie ogień w kominku.

Jakiś czas później siedziały odprężone w często teraz używanym saloniku. Żarzące się węgle rozjaśniały pokój ciepłym, bursztynowym blaskiem, oświetlając Clementine, która siedziała na podłodze oparta o sfatygowaną sofę, tuląc w ramionach śpiącą Edie.

Dziewczynka wypila cały kieliszek szampana, wychwyciła najsubtelniejsze ziołowe nuty i zapadła w spokojny, słodki sen. Właśnie dziś zaczęły się zajęcia w szkole i choć lekcje w Saint-Vincent-sur-Marne były znacznie przyjemniejsze niż na Manhattanie, sen dawał miłe wytchnienie po ciężkim dniu.

– Byłabyś dobrą matką, Clementine – zauważyła zamyślona Mathilde.

Ogień trzasnął w kominku, gdzieś na górze zaskrzypiały deski podłogi.

– Myślałaś kiedyś, żeby ją odszukać? Odnaleźć Amelie?

Sophie zaburczało w brzuchu. Miała problemy z niestrawnością, a w dodatku obawa przed reakcją Clementine na to pytanie dosłownie zacisnęła jej żołądek. Mimo to z uwagą czekała na odpowiedź siostry. Tymczasem Clementine wbiła wzrok w rozżarzone węgle. Pulsujące pomarańczowożółte płomienie przywodziły jej na myśl miniaturowe, roztańczone sylwetki jej ciemnowłosej córki.

– Chyba nie – odparła ze spokojem. Jeszcze niedawno nie śmiała nawet pomyśleć o swojej córce.

– A pomyślisz o tym teraz? – spytała Sophie.

Clementine pochyliła się i wtuliła twarz we włosy Edie. Pachniały drożdżowo-kwiatowym zapachem winiarni i słodkawą wonią cukierkowego szamponu dla małych dziewczynek.

– I co miałabym zrobić? – zastanawiała się głośno. – Powiedzmy, że ją odnajdę i zgodzi się ze mną spotkać. Przecież nie przywiozę jej tutaj. Jej ojciec mieszka w domu obok i nawet nie wie, że ona istnieje. A jeżeli jest do niego podobna? Jeśli przypadkiem ją zobaczy?

– A gdybyś mu powiedziała? – zaproponowała Mathilde. – Co by się stało?

– Odile by mnie udusiła – odparła Clementine. – Spójrz tylko, co się stało, kiedy chciałam z nim porozmawiać na festynie. Wyobrażasz sobie, co by zrobiła, gdybym pojawiła się tam z naszą córką?

– Przecież nie mają własnych dzieci – zauważyła Mathilde. – Mogłabyś zaskoczyć Benoit, ale pamiętaj, że równie dobrze on mógłby zaskoczyć ciebie.

– Już raz go zaskoczyłam i nie było to ciekawe doświadczenie. Wątpię, aby miał ochotę przeżyć coś takiego jeszcze raz. Ja na pewno nie.

– Tak, ale musisz pamiętać, że on dzieli łożę z ohydną Odile – odrzekła Mathilde z nutą dawnego złośliwego dowcipu. – Ten biedny człowiek z pewnością oddałby wszystko, by jego przebudzenia nie były tak traumatyczne. Osobiście wołałabym ciebie.

Sophie zachichotała, a na twarzy Clementine pojawił się nieśmiały uśmiech. Koniec końców był to przecież jakiś komplement. Zaczęła roztrząsać kwestię dzielenia łóża. Gdyby mogła wypróbować z Benoit to, czego nauczyła się od Hectora...

– Czerwienisz się, Clementine – zauważyła Mathilde.

– Gorąco tu. – Clementine ostrożnie wyślizgnęła się z objęć Edie. – Pomóżcie zanieść mija do łóżka. Chyba położę się wcześniej. Ty też powinnaś iść spać, Sophie. Wyglądasz na wykończoną.

We trójkę wniosły śpiącą dziewczynkę po schodach i położyły ją do łóżka. Przez chwilę spoglądały na blade światło księżyca, które musnęło policzek Edie, rozjaśniając poskręcane pasmo rudych włosów.

Stały tak jakiś czas, pogrążone we własnych myślach. W końcu, życząc sobie dobrej nocy, rozeszły się do pokoi, gdzie czekał je głęboki, pozbawiony marzeń sen. Z wyjątkiem Mathilde. Zaczekała przy drzwiach i kiedy miała pewność, że siostry zniknęły w swoich sypialniach, cichuteńko wymknęła się na schody.

Katastrofa

Była druga nad ranem, kiedy przerażony Świnek wskoczył na łóżko Edie. Choć mały i niepodkuty, wciąż był koniem i jego twarde kopyta natychmiast zbudziły śpiącą dziewczynkę. Kucyk parsknął, potrząsał gwałtownie łbem i cuchnął dymem.

Zaniepokojona Edie usiadła i wbiła wzrok w przeświecający spoza zasłon, niewyraźny blask. Chwilę później wyskoczyła z łóżka i rozsunała gruby materiał. Po drugiej stronie podwórka, zza drzwi winiarni wystrzelił pomarańczowy płomień, liżąc ścianę niczym lubieżny, świetlisty jęzor.

– Mamusiu! – wrzasnęła, wybiegając na zimny korytarz. – Mentine! Pożar w winiarni! Obudźcie się!

Na ułamek sekundy w domu zapadła głucha cisza. Chwilę później rozległo się dudnienie stóp na skrzypiących, drewnianych deskach, a tuż po nim pełen rozpaczony krzyk Sophie i zduszony jęk Clementine, która wybiegła na korytarz w koszuli nocnej. Włosy miała w nieładzie, wzrok nieprzytomny.

Jedyna Mathilde, choć blada, zachowała względny spokój.

– Zadzwoń po straż! – krzyknęła do Clementine. – Nie panikuj, Mentine. Po prostu dzwoń.

Chwilę później, wraz z Sophie, która kurczowo ścisnęła w dłoniach starą, wełnianą marynarkę Oliviera, chwyciła kwilącą Edie, zbiegła po schodach i wyskoczyła na podwórko.

Z początku Mathilde miała nadzieję, że same opanują ogień. Płomienie znikły już z drzwi winiarni i maleńkich okienek wychodzących na podwórze. Na ich miejscu pojawiły się grube kłęby gęstego, czarnego dymu. Przecież to kamienny budynek, myślała Mathilde.

Nie wiedziała jednak, że szalejący wewnątrz ogień nie potrzebował uciekać drzwiami i oknami. Strzelał teraz prosto w górę, żarłocznie liżąc nagie, drewniane bele pod sufitem.

W chwili, gdy Clementine wybiegła z domu, pokryty gontem dach westchnął cicho i w ułamku sekundy stanął w ogniu. Widok był tym bardziej przerażający, że dźwięk, który go poprzedzał,

przypominał zduszony jęk, a oszalałe płomienie skąpały okolicę upiornym blaskiem, który oświetlił każdą winorośl od koryta Marny aż po widoczną w oddali wieżę kościoła.

Sophie niezdarnie przeciągnęła wąż z ogródka warzywnego aż na dziedziniec i krzyczała do Edie, by dziewczynka znalazła i odkręciła kran. Na próżno. Widok nie pozostawiał żadnych złudzeń.

Dźwięk pierwszej eksplodującej butelki był niczym ostrze wbite w serce Clementine. Upadła na kolana i zacisnęła pięści, a bijący od ognia żar parzył jej twarz, sprawiając że rude loki zwinęły się ze współczuciem. Poprzez syk i huk oszalałych płomieni dał się słyszeć trzask kolejnej butelki, chwilę później następnej i jeszcze jednej, aż do chwili gdy zimne, nocne powietrze rozbrzmiało upiorną symfonią pękającego szkła.

Wyobraźcie sobie, jak owa kakofonia brzmiała w uszach Clementine, która walczyła ze łzami za każdym razem, gdy przypadkiem upuściła na podłogę butelkę szampana Peine. Każdy trzask brzmiał jak uderzenie gigantycznych talerzy, które pozbawiało ją tchu i wysysało z jej serca resztki nadziei. Przeszłość i przyszłość Domu Peine ulatywały z kłębamii czarnego dymu – na jej oczach.

Straż pożarna przyjechała szybko, zważywszy na fakt, że ochotników zwoływał Gaston. Ich szybkość i skuteczność nie wystarczyła jednak, by ocalić pięćdziesiąt tysięcy butelek świeżo oczyszczonego szampana. Kiedy przyjechali, Clementine znajdowała się w stanie otępienia, z którego nie były w stanie jej wyrwać ani siostry, ani nawet siostrzenica. Leżała na żwirze, z oczami pełnymi bólu od koszmaru, jakiego była świadkiem, i skórą spękaną wskutek okrutnej kombinacji żaru i chłodu nocy.

Sophie i Mathilde próbowały ją odciągnąć od płonącej winiarni i zaprowadzić do domu, jednak Clementine nie chciała się ruszyć. Nie mogła oderwać wzroku od płomieni, które łapczywie pożerały cztery lata morderczej pracy i Bóg jeden wie, czego jeszcze. W końcu cała czwórka (piątka, jeśli liczyć drżącego Świnka) usiadła na podwórzu, tuląc się pod kocem i obserwując potworny

spektakl.

– Cóż za hałas – zauważyła w pewnym momencie Edie, jak gdyby oglądała film dokumentalny na kanale Discovery. – Nie miałam pojęcia, że pożary wywołują taki hałas.

Opanowanie płomieni zajęło Gastonowi i jego ludziom przeszło pół godziny. Fakt, że życie sióstr Peine obróciło się w ruinę w tak krótkim czasie, wydawał się niemal obraźliwy. Gaston oznajmił, że po tym, jak wino i dach poszły z dymem, niewiele więcej pozostało do zniszczenia.

Niespełna godzinę później, jego szef, komendant straży pożarnej Xavier Martinot, potężny mężczyzna z sumiastym wąsem, odesłał większość ludzi do domu. Dopiero wówczas wyjaśnił Mathilde, że ten pożar wydaje się podejrzany. Według niego ogień pojawił się gdzieś między nowymi, dębowymi beczkami, które Patrie Didier przywiózł na początku tygodnia. Drewno było jeszcze wilgotne i samo z siebie nie mogłoby zbyt łatwo zająć się ogniem, jednak kiedy to nastąpiło, nic nie zdołałoby zapobiec tragedii.

– Ale kto mógłby nam to zrobić? – spytała szeptem Sophie.

– No właśnie, kto? – zastanawiał się Martinot. – Zwykle podpalaczami okazują się członkowie rodziny – mówiąc to, zmierzył wzrokiem oszołomione kobiety – wróg albo ktoś zupełnie przypadkowy. Ci są najgorsi.

– Och, to rzeczywiście daje nam jakiś punkt zaczepienia – stwierdziła Mathilde, jednak sarkazm w jej głosie najwyraźniej umknął uwadze komendanta.

– W rzeczy samej – odrzekł. – Rankiem przyjrę się okolicy. Proszę się nie martwić, znajdę podpalacza. Oni zawsze zostawiają jakiś trop.

Kiedy odjechał, Mathilde próbowała podejść bliżej i przyrzeć się zniszczeniom, jednak została odesłana przez Gastona z powrotem do sióstr. Nawet z tak daleka widziały, jak niewiele ocalało. Nie było już szampana, nie było pras, tylko poczerniały szkielet wózka widłowego stał w miejscu, gdzie zostawiła go Clementine.

Siostry Peine były zdruzgotane, jednak żadna z nich nie przeżyła straty równie boleśnie, co Clementine, która nie potrafiła wykrztusić z siebie nawet słowa. Ani Edie, ani nawet Świnek, który uparcie wdrapywał się na jej kolana, nie mogli wyrwać Clementine z letargu. Kiedy sanitariusz zaproponował, że da jej coś na uspokojenie, Sophie spodziewała się odmowy, siostra jednak bez słowa połknęła tabletkę i powlokła się do łóżka, a potem spała jak zabita.

Po przebudzeniu zastała obok siebie skuloną, śpiącą Edie. Drzemiący na podłodze Świnek leżał tak blisko łóżka, jak tylko mógł. Przez króciutką, lecz jakże piękną chwilę Clementine zastanawiała się, czy wydarzenia ostatniej nocy nie były jednym wielkim koszmarem sennym. Jednak nos miała pełen sadzy, a cały pokój cuchnął spalenizną, toteż natychmiast uświadomiła sobie, że nie śniła, a pożar rzeczywiście zabrał wszystko, co kochała.

Najdelikatniej jak mogła, wyswobodziła się z objęć Edie, przeszła nad śpiącym Świnkiem i odsunęła zasłony. Kamienne ściany winiarni poczerniały od sadzy, a przez zwęglony dach uciekały w niebo radosne, poskręcane smugi dymu. Na szczęście Gaston wciąż tu był – wprawdzie drzemał skulony na składanym krześle, ale miał w pogotowiu wóz strażacki i węże, na wypadek gdyby zauważył kolejne ogniska pożaru. Clementine nie wiedziała tylko, jakim cudem mógłby je dostrzec, mając zamknięte oczy.

Narzuciła szlafrok i zbyt przygnębiona, by otworzyć okno i nakrzyczeć na śpiącego strażaka, zeszła do kuchni. Sophie siedziała przy stole blada niczym duch, a Mathilde paliła papierosa oparta o kuchenny blat, spoglądając przez okno na zwęglone szczątki winiarni.

– Zawsze myślałam, że to zimno doprowadzi nas do ruiny – stwierdziła Clementine, szurając krzesłem po kamiennej podłodze.
– Mróz. Ale nie ogień.

– Jesteśmy skończone? – spytała Sophie, zerkając na Mathilde. Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Mamy jakieś ubezpieczenie? – spróbowała ponownie.

Po raz kolejne odpowiedzią była cisza. Według Oliviera

ubezpieczenia były oszustwem, a Olivier nie wierzył w oszustwa. Mathilde niekoniecznie podzielała ten pogląd, jednak finanse, jakie zastały po śmierci ojca, nie wystarczyły na wykupienie polisy.

– Mogę poprosić George’a o pomoc – zaproponowała Mathilde. – Zapytać, czy nie pomogłoby nam przetrwać miesiąca albo dwóch, ale...

W ciszy, która nastąpiła, każda z sióstr ujrzała oczyma wyobraźni nieliczne posępne możliwości. Ponurą atmosferę przerwało energiczne pukanie do drzwi. Przez chwilę spoglądały na siebie, po czym Clementine dźwignęła się z krzesła i poszła otworzyć.

W progu stała Bernadette, trzymając przed sobą dwa pudełka ciastek i smakowicie pachnącą torbę.

– Ty otwierasz drzwi! – wykrzyknęła.

– A ty do nich pukasz – odparła Clementine. Stały przez chwilę, mierząc się wzrokiem.

– Chcesz wejść? – spytała w końcu Clementine.

– Nie, dziękuję – odrzekła Bernadette. – Ale miło, że pytasz. To dla Sophie – dodała, wyciągając ręce – dla małej Edie i jej matki – no wiesz, tej chudej – i dla ciebie, Clementine. Tak, dla ciebie też.

Z otwartego dachu spalonej winiarni wyfrunęło coś czarnego i usmolonego. Obie kobiety obróciły się, by spojrzeć na dymiące zgliszcza.

– Przykro mi – zaczęła Bernadette, ocierając oczy. – Naprawdę. Nigdy nie byłyśmy... cóż, wiesz, co mam na myśli. Przyjaciółkami. Ale zawsze byłaś dobrą klientką; jedną z najlepszych. I pracowałaś ciężko przez całe życie. To wszystko, co wiem na twój temat. Wiem też, że nie było ci łatwo. – Westchnęła i niezgrabnie wsiadła na rower. Potrząsnęła jeszcze głową, spoglądając z dezaprobatą na Gastona, który spał na swoim krześle, chrapiąc donośnie.

Clementine zaniosiła pudełka prosto do kuchni i otworzyła pierwsze.

Było pełne *pain au chocolat amande*. Wiedziała, że powinna

czuć odrazę na samą myśl o jedzeniu, mimo to ślina napłynęła jej do ust. Z niecierpliwością oblizwała wargi i zerknęła z nadzieją na Sophie, która natychmiast wybiegła przez tylne drzwi i zwymiotowała prosto na krzak lawendy.

– Ale przecież nie ma nawet soboty – jęknęła ze smutkiem Clementine, patrząc na ponadplanowe *pain au chocolat amande*.

Ku jej zaskoczeniu Mathilde roześmiała się ładnym, kobiecym śmiechem, którego Clementine nie słyszała nigdy wcześniej.

Przerażona Sophie otarła usta, a jej duże, fiołkowe oczy wydały się Clementine nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do drobnej, bladej twarzy. Chwilę później parsknęła, zachichotała, aż w końcu wybuchnęła śmiechem. Zanim się obejrzały, wszystkie trzy siedziały dokoła starego, dębowego stołu, rycząc ze śmiechu, jak gdyby miały w nosie cały świat. Zupełnie jakby straciły zmysły.

W tej samej chwili do kuchni weszła Edie i towarzyszący jej, wyraźnie przygaszony Świnek.

– Co was tak śmieszy? – spytała sennie. – Winiarnia ocalała? W całym domu śmierdzi dymem.

Jej dziecięce przygnębienie położyło kres napadowi wesołości. Posępne myśli brutalnie ściągnęły siostry na ziemię. Clementine zakrzętała się, nalegając, by Sophie usiadła z głową między kolanami. Swąd dymu, uznali, był zbyt wielkim obciążeniem dla płuc wychowanych na paryskim smogu. Usiadły z powrotem przy stole i czekając, aż Mathilde zaparzy kawę, wróciły myślami do wydarzeń ubiegłej nocy. Edie miała rację: w kuchni śmierdziało dymem, a woń nieszczęścia czuć było w każdym zakamarku domu. Śmiech w tak dramatycznej sytuacji zakrawał na szaleństwo.

– Nie ma sensu prosić George’a o pieniądze – uznała beznamiętnie Clementine. – Pożyczka nie wystarczy, Mathilde. – Nie było łatwego wyjścia z zaistniałej sytuacji. Po tym wszystkim, co przeżyła przez kilka ostatnich lat, po lekach i cierpieniu, których doświadczyła, pożar całkowicie pozbawił Clementine nadziei. – To koniec – stwierdziła tym samym, beznamiętnym tonem. – Jesteśmy skończone.

– Ale przecież mamy winnice – upierała się Sophie. – Wciąż są nasze. Pożar nie wyrządził im żadnej krzywdy, Mentine. Proszę, nie poddawaj się teraz. Jakoś damy sobie radę.

Clementine spojrzała na nią, a chwilę później na Mathilde.

– Jak?

Mathilde żałowała, że nie zna odpowiedzi.

– Nie wiem, Mentine. Sophie ma rację. Wciąż mamy winnice, ale nawet jeśli nie przerwiemy pracy, upłyną cztery lata, zanim zarobimy pierwsze pieniądze na szampanie. Prawda jest jednak taka, że nie mamy czterech miesięcy, nie mówiąc już o czterech latach.

– Jeśli nie przerwiemy pracy? – spytała Sophie. – Co masz na myśli?

Clementine zamknęła oczy.

– Możemy sprzedać winogrona Moetowi albo Veuve Clicquot – stwierdziła. – Za gotówkę. Z kolejnych zbiorów. Ale nie będziemy w stanie produkować własnego wina. A do tej pory też musimy za coś żyć.

– Nie zapominaj o starym Joliecie – przypomniała Mathilde. – Jestem pewna, że zaraz zaczniesz węszyć, stary drań, ale prędzej wyrwę winorośl gołymi rękami, niż sprzedam mu naszą ziemię.

Clementine z niedowierzaniem spojrzała na siostrę.

– Zrobiłabyś to?

– Oczywiście – parsknęła Mathilde. – Może jestem skąpa i niewrażliwa, ale nie jestem idiotką. Jeśli sprzedamy ziemię, naprawdę zostaniemy z niczym.

– Przecież mogłabyś wziąć pieniądze i wrócić do domu – zauważyła Clementine.

Mathilde zapaliła kolejnego papierosa i przygryzając wargę, wyjrzała przez okno.

– Ona jest w domu – stwierdziła szeptem Sophie. – Wszystkie jesteśmy.

I tak oto, gdy już myślała, że wszystko stracone, Clementine odkryła, że odnalazła w życiu to, co najważniejsze. Zrozumiała, że jej przyszłość nie zależy teraz od szampana, o który się troszczyła

aż do chwili, gdy był gotów, by wyruszyć w świat. Że musujący trunek nie miał z nią nic wspólnego. Jej przyszłość to jej siostry, jej rodzina.

Może nie była to rodzina, o jakiej marzyła, będąc małą dziewczynką, ale kto przy zdrowych zmysłach mógł przypuszczać, że kłótniwa kobieta interesu, sprytny łobuziak i samotna dziwaczka stworzą pewnego dnia w miarę normalny dom (nie zapominając o bystrej, rudej dziesięciolatce i przypominającym świnie miniaturowym kucyku).

Siostry Peine spojrzały na siebie i poczuły pulsującą w żyłach krew przodków, tak wyraźnie, jak gdyby chodziło o masło na świeżo upieczonym chlebie. Chwilę później wszystkie (nawet Mathilde) zabrały się do *pain au chocolat amande*.

– Nie ma sensu głodzić się na śmierć – stwierdziła Clementine, wyłuskując z ciasta kolejne migdały. – Dobra robota, Edie. Zmusiłaś Świnka do zjedzenia francuskiego ciasta. A już myślałam, że przerzucił się wyłącznie na czekoladki.

Nadzieja

Kiedy spałaszowały ciasto, Mathilde zaskoczyła pozostałe, myjąc naczynia, co nie zdarzyło jej się nigdy wcześniej. Odłożywszy ostatni talerz, odwróciła się i przybierając stanowczy wyraz twarzy, stwierdziła, że powinny dokładnie przyjrzeć się zniszczeniom.

– No dalej – ponagliła siostry. – Prędzej czy później i tak musimy to zrobić. Może jest tam coś, co da się ocalić.

– Albo znajdziemy coś, co zaprowadzi nas do podpalacza – dodała Sophie. – Naprawdę myślicie, że ktoś to zrobił celowo?

– Nie bardzo wiem, jak ogień mógł sam się zaproszyć – odparła Clementine – ale nie wiem też, kto mógł chcieć tak bardzo nas skrzywdzić.

– Chyba nie myślisz, że stary Joliet... – zasugerowała Sophie. – Jolietowie od wieków pożądali naszej ziemi – wyjaśniła Clementine. – Jednak nigdy wcześniej nie uciekali się do czegoś takiego.

– Cóż, zawsze kiedyś musi być ten pierwszy raz – zauważyła Mathilde, kiedy zbliżały się do Gastona, który wciąż drzemał na podwórku. Z ust kapłała mu strużka śliny i wsiąkała powoli w sfatygowany mundur ochotnika. – Możemy tam wejść? – spytała go Mathilde, kopiąc w krzesło.

– Po co? – odparł gburowato, mrużąc oczy w wilgotnym zimowym słońcu. – Nawet jeśli nie wszystkie butelki eksplodowały, wino i tak będzie miało fatalny smak. Clementine powinna to wiedzieć.

Nie bacząc na to, że był już w pełni rozbudzony, Mathilde drugi raz kopnęła w krzesło.

– A to za co? – spytał Gaston.

– Bo mógłbyś okazać nam trochę szacunku – warknęła Mathilde. – Właśnie straciłyśmy wszystko w podejrzanym pożarze i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, są przemyślane komentarze takiego próżniaka jak ty!

– Wasz ojciec byłby dumny – mruknął Gaston, kiedy ruszyły w

kierunku winiarni. – Właśnie tego potrzebuje Saint-Vincent-sur-Marne, następnych nieodrodných Peine'ów! Chociaż jedno trzeba przyznać Olivierowi Peine – nigdy nie przesadzał. Był zrędlwym, starym piernikiem, ale zawsze przedstawiał rzeczy takimi, jakie faktycznie były.

Clementine i Mathilde szły dziarsko w kierunku winiarni, jednak komentarz Gastona nie umknął uwagi Sophie.

– Co masz na myśli? – spytała, odwracając się. – Jaka przesada? Kto tu przesadza?

– Ta chuda – odparł, spluwając na ziemię. – Nie straciłyście przecież wszystkiego, prawda? Jest jeszcze piwniczka.

Na dźwięk tego słowa siostry Peine stanęły jak wryte. Nawet Świnek patrzył teraz na Gastona.

– Piwniczka? – powtórzyła głupio Clementine.

– No jasne – odparł Gaston. – Drzwi były zamknięte. Odpływy zatlane. Podłoga ma ponad pół metra grubości. Ogień idzie w górę. Wasi przodkowie dobrze wiedzieli, co robią. Założę się o tygodniowy zapas ciasta, że w* piwniczce wciąż jest dziesięć stopni, a na dole nie ma ani kropli wody.

Clementine puściła się pędem, omijając ziejącą dziurę, która do wczoraj była wejściem do winiarni i pognała w dół podjazdem do ciężkich stalowych drzwi. Mathilde i Sophie podbiegły z drugiej strony i wspólnymi siłami ciągnęły, szarpały, pchały i błagały wrota, by się otworzyły. Kiedy ciężkie podwoje w końcu drgnęły, siostry poczuły na twarzach chłodny powiew najśłodszego powietrza. Clementine wyczuła je natychmiast. Nie musiała nawet wchodzić do środka, by wiedzieć, że Gaston miał rację. Zawartość piwniczki pozostała nietknięta.

Z dudniącym sercem, czując jak kręci jej się w głowie, wślizgnęła się do środka, podeszła prosto do beczek i naląła sobie kieliszek pinot, rocznik 99. Smakował idealnie, absolutnie idealnie.

– Dzięki Bogu! – jęknęła. – Och, dzięki Bogu.

Następnie podeszła do beczki świeżo zmieszanego wina i naląła sobie następny kieliszek. Smak jeżyn był wyjątkowo wyrazisty,

podobnie jak smak maślanego rogalika. A więc jeszcze nie jest najgorzej.

– Nie mogę w to uwierzyć! – Sophie była zachwycona. – Góra spłonęła doszczętnie, ale tu, na dole wszystko wygląda tak, jak gdyby nic się nie stało. Będzie więc dobrze, prawda? Jesteśmy uratowane! Czy to nie znaczy, że jesteśmy uratowane?

Uśmiech zniknął z twarzy Clementine, podobnie jak wyraz ulgi, gdy spojrzała na Mathilde.

– Och – jęknęła, gdy udało jej się uporządkować myśli. – Och!

– Nie rozumiem. – Sophie spoglądała to na jedną siostrę, to na drugą. – Czyż to nie najwspanialsza rzecz, jaka mogła nam się przytrafić?

– Oprócz pożaru, który mógł się nie wydarzyć, a tym samym nie pogrążyć nas? – spytała Mathilde. – Tak. Ale i tak wciąż tkwimy w szambie.

Sophie miała mętlik w głowie. Przepływ gotówki. Zerknęła w dół na łukowatą wnękę, w której leżakował rocznik 2003, czekając na wstrząśnięcie i oczyszczenie.

– A co z tym? – Wskazała na beczki. – Nie możemy go sprzedać? Teoretycznie nie był to najgorszy pomysł. W praktyce jednak miał kilka podstawowych wad.

– Cóż, poprawcie mnie, jeśli się mylę – zaczęła Mathilde, szukając potwierdzenia u Clementine – ale nawet gdyby to wino miało nie leżakować tak długo, jak powinno, i tak musiałybyśmy je wzruszyć, prawda? To osiem tygodni, czyli można przypuszczać, że skończyłybyśmy w okolicach kwietnia. W porządku. Później musiałybyśmy je oczyścić. Ale żeby je oczyścić, musiałybyśmy odbudować spaloną część budynku. To prawdopodobnie zabrałoby nam kolejne osiem tygodni, więc teoretycznie nie byłoby najgorzej. Jest tylko jeden problem. Żeby zdobyć pieniądze na odbudowę, musimy sprzedać wino, które jeszcze nie zostało oczyszczone.

Clementine jęknęła. Spośród wszystkich roczników, musiały polegać właśnie na tym! Jedynym winem, którego nie mogły wypuścić na rynek, był rocznik 2003, jako że było go niezwykle

mało.

– I tak jest lepiej, niż myślałyśmy – zauważyła optymistycznie Sophie. – Musimy w to wierzyć!

– Ale i tak nie jest wystarczająco dobrze – odparła Clementine.

– Zostają jeszcze Moet i stary Joliet – przyznała posępnie Mathilde – albo czekanie na cud.

Clementine osunęła się na podłogę.

– Gdybym zaczęła przenosić butelki wczoraj po południu – jęknęła, kryjąc twarz w dłoniach – może nic by się nie stało. Może sprzedałybyśmy wystarczająco dużo, żeby zdobyć pieniądze na załatwienie wszystkich spraw.

– W takim razie to moja wina! – zawołała załamana Sophie. – Chciałaś dalej pracować, ale mnie się zachciało świętowania. Tak mi przykro, Mentine. Powinnam pozwolić ci skończyć. To moja wina!

– Niewiele by to zmieniło – stwierdziła Mathilde. – Ile butelek byłabyś w stanie przenieść w ciągu dwóch, trzech godzin? Mamy większe problemy niż ten.

W tej samej chwili pojawił się Gaston, w towarzystwie Świnka, który biegał w podskokach dokoła strażaka i idącej nieco z tyłu Edie. Gaston trzymał w dłoni pusty kanister, natomiast Edie niosła z dumą osmalone szczątki damskiego czółenka.

Mężczyzna stanął przed siostrami i potrząsnął pojemnikiem.

– Xavier znalazł to rano, kiedy szedł do was – stwierdził. – Leżał w trawie, na końcu podjazdu. Z kolei wasz pies znalazł to koło wózka. Wygląda na to, że szef miał rację. Pożar nie był przypadkowy i najprawdopodobniej ogień został podłożony przez właścicielkę tego buta.

– To nie pies – zauważyły zgodnie Clementine i Edie, Sophie jednak zerkała na Mathilde. Tylko ona jedna nosiła czółenka na obcasach.

– O, Boże – szepnęła Sophie, patrząc na resztki pantofla i blednąc. – Nie wierzę!

– W co nie wierzysz? – spytała Clementine.

– Ten but, Mentine – szepnęła Sophie, wskazując dłonią

Mathilde.

– Ten but.

– Co z nim? – Clementine znowu zerknęła na nadpalony obcas, a potem średnią siostrę i żołądek jej się ścisnął, gdy pojęła, co Sophie miała na myśli.

Oczywiście, pomyślała, czując jak serce jej lodowacieje: Dla kogoś takiego jak ona, nie ma nadziei. Była głupia, skoro uwierzyła, że Mathilde kiedykolwiek stanie się jej prawdziwą siostrą, że będzie jej na niej zależeć! Przynajmniej na tyle, by nie spalić dorobku jej życia, pozostawiając ją bez pieniędzy i domu, zupełnie samotną.

– Och, Mathilde – szepnęła, czując, jak jej marzenia o szczęściu pękają niczym szkło. – Tak niewiele dzieliło nas od... Jak mogłaś to zrobić? Spalić naszą winiarnię i zrujnować nas. Zrujnować mnie i Sophie.

– I mnie! – pisnęła Edie.

– Ach, wy, istoty małej wiary! – parsknęła Mathilde bez cienia skruchy. – Czy widzicie, jak wielkie kopyta trzeba mieć, by nosić taki rozmiar?

Słyszając to, wszyscy jednocześnie spojrzeli na zwęglony but i szczupłe stopy Mathilde. Spalony pantofel był przynajmniej trzy numery za duży.

– Zatem, czyj to but? – spytała Sophie.

– Właśnie – powtórzył Gaston. – Czyj?

– Gdybyśmy miały pieniądze, założyłabym się, że właścicielką tego kajaka i osobą, która podłożyła ogień, jest Odile Geoffroy – oświadczyła Mathilde. – Nikt inny w okolicy nie ma tak kiepskiego gustu, a to już coś znaczy. Idź tam, Gaston. Przymierz jej ten but i aresztuj Kopciuszka. Wsadź jędzę do więzienia, wyrzuć klucz i kopnij ją solidnie w ten tłusty, nikczemny tyłek.

Gaston miał słabość do pokaźnej pupy Odile, tak więc ucieszyła go możliwość bezpośredniego kontaktu z obiektem pożądania.

– Odile? – Sophie była wyraźnie zmieszana. – o czym ty mówisz?

– Clementine, znienawidzisz mnie po raz kolejny. – Mathilde wzięła głęboki oddech i spojrzała błagalnie na siostrę. – Ale uwierz mi, chciałam jedynie pomóc.

– O czym ty mówisz?

– Ubiegłej nocy, kiedy poszłyście do łóżek – zaczęła Mathilde, jak gdyby wierzyła, że szybkie przyznanie się do winy złagodzi cios – wymknęłam się, żeby porozmawiać z Benoit. Odile musiała mnie widzieć.

Obie siostry jęknęły i zbladły.

– Co takiego? – krzyknęła Clementine. – Znowu? Po tym wszystkim? – Udręczone i przepracowane serce Clementine nie było w stanie znieść więcej. Na świecie nie istniały takie rzeczy, jak szczęście, szczęśliwe rodziny czy...

– Nie! Nie chodzi o to! – Głos Mathilde przerwał jej histerię. – Posłuchaj tylko. Nie poszłam tam po to, po co myślisz. Poszłam ze względu na ciebie. Żeby ci pomóc. Powiedzieć mu o Amelie.

Clementine i Sophie jęknęły i jednocześnie zatkały uszy dłońmi.

– Amelie? – powtórzył Gaston. Zapomniały, że wciąż tu jest. – Jaka Amelie?

– Córeczka Clementine i jej sąsiada Benoit – poinformowała Edie. Tym razem dały się słyszeć trzy westchnienia.

– Chryste! – wrzasnęła Clementine. Kompletnie zapomniały o dziewczynce! – Co jeszcze przyniesie ten dzień?

– Benoit? – Gaston oparł się o beczkę. – Dziecko? – Spojrzał na Clementine, jak gdyby pierwszy raz widział ją na oczy. – Z tobą?

– Co? Nigdy nie widziałeś kobiety uprawiającej seks? – warknęła Clementine. – Nie z takiej odległości. Rozumiem.

Oczy Gastona zdawały się wychodzić z orbit w związku z kolejnymi rewelacjami. Teraz dopiero będzie miał o czym opowiadać kompanom w Le Bois!

– Mentine, może Gaston chciałby się napić? – zaproponowała słodko Mathilde, patrząc znacząco na siostry. Jeśli nie chciały, by ich prywatne sprawy jeszcze przed lunchem stały się publiczne,

musiały kompletnie upić kopiającego groby strażaka. Mathilde miała głowę na karku. Tym razem jednak zszokowana Clementine dotrzymała jej kroku.

– Tak, tak – przyznała, nieco oszołomiona. – Wiem, że Olivier trzymał gdzieś tu swoje słynne Couvee Superieur. To wino na specjalne okazje, dokładnie takie jak ta.

W piwniczce rzeczywiście stała skrzynka lub dwie supérieur, jednak było ono równie niezwykle, jak to, które w czasie wojny matka Oliviera sprezentowała Niemcom. Jakiś czas temu OłMer nakrył niezadowolonego robotnika, który popijał wino z butelek, a potem do nich sikał. Naturalną w tej sytuacji rzeczą byłoby wyrzucić butelki, jednak Olivier zakorkował je i trzymał dla wyjątkowo łakomych gości, takich jak Gaston, którzy oblizywali wargi i zacierali poczerwiałe dłonie na samą myśl o tym, że oto skosztują słynnego Superieur Peine.

– Pomóżcie mi go szukać – zaproponowała Clementine siostram i poprowadziła je w głąb piwniczki. Był to jeden ze starszych korytarzy podziemnej winiarni, ciemniejszy, mniejszy i niższy od pozostałych; jak gdyby przodkowie rodu Peine kurczyli się w miarę kopania. Clementine zdjęła ze ściany lampę i poprowadziła siostry w mrok.

Musowanie

Jak mogłaś mi to zrobić, Mathilde? – syknęła wściekle Clementine, kiedy przycupnęły z daleka od ciekawskich uszu Gastona, na samym końcu korytarza, pośród okrytych ceratą rupieci. – Jak mogłaś powiedzieć Benoit? A teraz nie dość, że jego żona pozbawiła nas jedyne źródła utrzymania, to jeszcze ten idiota Gaston zna moją tajemnicę. A to oznacza, że do wieczora będą ją znali wszyscy w okolicy. Po prawie dwudziestu latach! Nie zniosę tego, Mathilde. W przeszłości myślałam, że moje życie jest koszmarne, ale widzę, że teraz jest coraz gorzej. Kto by uwierzył, że coś takiego się może zdarzyć? Nikt, ot co. Nie mogę oddychać, Sophie. Nie mogę oddychać. Chyba zemdleję.

– Uspokój się, Mentine uspokajała ją Sophie. – Wciągnij powietrze.

– Wiem, że nie będziesz w stanie mi wybaczyć – szepnęła Mathilde. – Przebaczenie nie leży w naszej naturze, ale musisz mi wierzyć, kiedy mówię, że zrobiłam to wszystko w dobrej wierze.

– Cóż, następnym razem, jak będziesz chciała zrobić coś w dobrej wierze – zaczęła Clementine podniesionym głosem – to najpierw wypatrosz mnie tępym nożem albo zastrzel i zostaw, żebym powoli wykrwawiła się na śmierć, a moje ciało zjadły szczury.

– Na litość boską, nie dramatyzuj, Clementine. Tak, popełniłam błąd, duży błąd, który doprowadził do kilku innych, ale nie zapominajmy o konkluzji: tkwimy w tym wszystkim razem.

– Wsadź sobie swoje konkluzje tam, gdzie słońce nie dochodzi – syknęła Clementine. – Dopóki się nie pojawiłaś, nie mieliśmy nawet żadnych konkluzji.

– Słuchajcie, tu jest zimno i cuchnie stęchlizną – wtrąciła Sophie, próbując jak zwykle załagodzić konflikt. – Znajdźmy to, czego szukamy, i chodźmy stąd. Damy Gastonowi wino, czy nie, Clementine?

– Nie, nie damy temu obibokowi prawdziwego szampana Peine. Cóż za marnotrawstwo! Dla takich jak on Olivier

przechowywał coś specjalnego. Jeśli mam przeżyć ten dzień z odrobiną godności, musimy zmusić tę paplę, by wypła wszystko, do ostatniej kropli. Och, Mathilde, dlaczego mi to zrobiłaś? Dlaczego tak się stało? Przeklinam naszego starego ojca za to, że postawił cię na mojej drodze. Ach, jakże musiał mną pogardzać!

– Ależ nie mów tak, Mentine – błagała Sophie. Nienawidziła, gdy siostra szukała ucieczki w złości. – To nie wina Olhdera.

– Właśnie, że tak! – upierała się Clementine. – Spłodził nas i jakkolwiek by na to patrzeć, porzucił każdą po kolei. Co z tego, że z nim mieszkałam, kiedy nigdy mnie nie potrzebował? Założę się, że odczuwałam jego brak bardziej niż którakolwiek z was, ponieważ to ja siadałam z nim przy jednym stole. A on nigdy mnie nie widział, Sophie! Ani razu nie dostrzegł, kim byłam, ani kim mogłam się stać. Nie dał mi nic! Wam zresztą też. Żadnej z nas. Nic!

– Myślisz, że tylko tobie było tak źle, ty głupia krowo? Nie interesował się mną przez siedemnaście lat, później sprowadził mnie tu i nadal ignorował, aż w końcu odesłał mnie do domu i na dobre przestał się mną zajmować. Jeśli chcesz wiedzieć, przez ten czas byłam jeszcze ignorowana przez czterech innych tak zwanych „tatusiów”.

– Przynajmniej znacie znaczenie tego słowa! – oświadczyła Sophie nienaturalnie podniesionym głosem. – Ja nawet nie wiem, jak on wyglądał, jaki miał głos i co sprawiło, że był, jaki był.

– To żalosne! – jęknęła Mathilde. – Powinnaś uważać się za szczęściarę.

– Nie mów o niej, że jest żalosna! – wrzasnęła Clementine. Skulona w ciasnym kącie wyglądała naprawdę komicznie, pomimo malującej się na twarzy wściekłości. – Nie masz prawa! Kompletnie nie masz prawa!

Mówiąc to, oskarżycielsko machnęła palcem, zmuszając Mathilde, by cofnęła się w głąb korytarza. Mathilde uderzyła głową w niskie, rzeźbione sklepienie, straciła równowagę i runęła na przykrytą ceratą górę rupieci. Stare krzesło jęknęło głucho i złamało się pod jej ciężarem; z przegniłej, drewnianej skrzynki

wysypały się kule do gry w *potanque*, a zawartość stłuczonych butelek wyciekła wprost na kamienną podłogę.

– Ty podła więdźmo! – ryknęła Mathilde, próbując stanąć na nogi i zobaczyć, na czym wylądowała. Jednak kiedy stanęła naprzeciwko ściany, z wrażenia aż opuściła bezwładnie rękę, którą masowała rosnący na głowie guz. – Biały krzyż – szepnęła zdumiona. – Patrzcie! To biały krzyż.

– W najczarniejszej godzinie mojego życia gada o krzyżach! – wrzasnęła Clementine. – Gadanie o religii w takiej chwili, to zupełnie w twoim stylu! Cóż za wygoda! Wykończysz mnie, Mathilde! Po prostu mnie wykończysz!

– Nie, nic nie rozumiesz – odparła Mathilde spokojnym głosem. Szczupłymi palcami dotykała ściany za stertą rupieci. – To biały krzyż! Jak czerwony i niebieski. Pamiętacie?

Sophie stanęła obok i unosząc lampę, oświetliła namalowany na ścianie znak.

– Czerwony krzyż oznaczał punkt sanitarny, niebieski miejsce wydawania posiłków, a biały kryjówkę. – Odwróciła się do Clementine. – Właśnie to mówiła La Petite o sieciach tuneli i podziemnych piwnicach w Moet. Pamiętasz, Mentine? Biały krzyż oznaczał sekretny schowek. To z pewnością wygląda jak biały krzyż. Jak myślicie, co oznacza? Myślicie, że ktoś chciał nam przez to coś powiedzieć?

– Tak, nasza dobra wróżka zostawiła tu skrzynię pełną pirackiego złota – fuknęła Clementine, podchodząc bliżej do ściany.

– Patrzcie! Ta ściana chyba nie jest naturalna. Widzisz, Mentine? – Sophie jak szalona tarła krzyż rękawem koszuli. – Ma inny kolor. No i te nierówności, to mogą być cegły.

– Nie bądź śmieszna – parsknęła Clementine, podchodząc jeszcze bliżej.

Sophie miała rację. Ściana, na której namalowano biały krzyż, miała zdecydowanie inny kolor. Pod wierzchnią warstwą coraz tradycyjna francuska gra w kule wyraźniej rysowały się cegły. Clementine wycofała się z korytarza i przyniosła następną lampę.

Sophie i Mathilde tarły wściekle ścianę i powoli odsłaniały miejsca, w których cegła łączyła się z kredą. Po pięciu minutach szaleńczej pracy i odsłaniania coraz większych kawałków ściany siostry cofnęły się i spojrzały na swoje dzieło. Patrzyły teraz na zamurowane łukowate przejście, które z całą pewnością prowadziło do następnego pomieszczenia.

– Cegła po cegle – jęknęła Sophie. – Tak mówiła La Petite. To były jej ostatnie słowa. Pamiętasz, Mathilde? Powiedziała, że niektóre tajemnice muszą być odkrywane cegła po cegle.

Mathilde zadrżała.

– Podzielam teorię Clementine na temat dobrej wróżki – stwierdziła. – Nie sądzę, aby takie rzeczy zdarzały się naprawdę. Z doświadczenia wiem, że tajemnice oznaczają złe wieści, nigdy dobre.

– Też tak uważam – zgodziła się Clementine. – A znając Oliviera, prawdopodobnie pochował tu tuzin innych żon – dodała złośliwie.

– Nie bądź już taka jędzowata! – zawołała Sophie. – Przekonajmy się, dobrze? W jaki sposób usuniemy cegły, Clementine?

– Skąd mam wiedzieć? Jeśli chcesz wiedzieć, to pierwsza zamurowana kryjówka, pełna złota, na którą natknęłam się w życiu. Szczerze powiedziawszy, nie bardzo wiem, jak się do niej dostać.

Inicjatywę przejęła zawsze pragmatyczna Mathilde, w której obudziła się w końcu ciekawość.

– Trzeba znaleźć Cuvee Superieur – oświadczyła – i uraczyć nim Gastona. I tak wie już za dużo, a nie chcemy przecież, żeby wiedział jeszcze więcej. Później musimy przynieść z wozu strażackiego kilof i młot i możemy zacząć rozbierać ścianę.

– Widzę, że mamy tu eksperta w dziedzinie cudownych kryjówek – mruknęła Clementine. Zajrzała za potrzaskaną beczkę i odnalazła skrzynkę zakurzonego, oryginalnie doprawianego szampana.

– Powinnam była się domyślić.

W ciągu godziny Gaston opróżnił pierwszą butelkę („Cóż za delikatny smak, jaki interesujący. Teraz wiem, dlaczego Olivier chciał go zostawić tylko dla siebie”) i zaczynał następną. Siostry uradziły, że Edie zajmie go grą – *wpetanque*, a one w tym czasie przeszukają wóz strażacki i wrócą z narzędziami do piwniczki.

Sophie pierwsza miała uderzyć kilofem, jednak ciężar narzędzia przewrócił ją do tyłu. Tymczasem Clementine i Mathilde z pobłażaniem przyglądały się jej kolejnym próbom. W końcu Clementine wyrwała siostrze kilof z dłoni i jednym uderzeniem rozwalila kawałek muru. Widząc to, Mathilde wysłała Sophie po taczkę i łopatę i gdy Clementine atakowała następne fragmenty ściany, we dwie odgarniały gruz. Po godzinie w ścianie pojawiła się dziura i okazało się, że po drugiej stronie znajduje się pusta przestrzeń. Rzeczywiście natrafiły na coś dziwnego. Przez chwilę siostry walczyły o to, która pierwsza zerknie przez niewielki otwór, jednak gdy się przekonały, że po drugiej stronie czai się jedynie ciemność, Clementine wróciła do pracy i waliła w ścianę tak długo, aż dziura mogła pomieścić małą głowę Sophie. Mimo to niewiele udało się zobaczyć. Sophie stwierdziła, że po drugiej stronie cuchnie stęchlizną i smutkiem (cokolwiek mogło to oznaczać), ale było wciąż zbyt ciemno. Tak więc zziajana Clementine wróciła do pracy i waliła w ścianę aż do chwili, gdy otwór stał się większy. Dopiero wówczas kazała Mathilde iść do wozu strażackiego, po latarkę, aby oświetlić zawartość sekretnego pomieszczenia.

Po powrocie Mathilde wszystkie trzy przyłgnęły do ściany, patrząc w napięciu, cóż takiego pojawi się po drugiej stronie. Znajdowała się tam kolejna wnęka, podobna kształtem do tunelu, w którym stały, choć znacznie mniejsza. Po obu stronach piętrzyły się rzędy butelek szampana.

– Co jest... – Clementine nie wierzyła własnym oczom.

Wiedziała, że wielu winiarzy w Szampanii zamurowywało w czasie okupacji swe najprzedniejsze trunki, jednak większość kryjówek została ujawniona zaraz po ucieczce wojsk niemieckich. Po co Olivier miałby do tej pory ukrywać szampana? To nie

trzymało się kupy.

Zaatakowała ścianę z nową zajadłością, krusząc cegły aż do chwili, gdy Sophie mogła zmieścić się w dziurze.

– Wejź tam – rzuciła Clementine, pchając siostrę w kierunku przejścia.

– Właśnie, wskakuj do środka – dodała Mathilde. Nie ukrywała już swojego zaintrygowania tą tajemnicą, a także miała nieśmiałą nadzieję, że ukryty zapas szampana mógł w cudowny sposób odmienić ich los.

I odmienił – na więcej sposobów, niż mogły się tego spodziewać.

– No dalej – ponagliła Clementine, patrząc jak najmłodsza siostra kuca w ciemności i ostrożnie wyjmując ze stojaka pierwszą zakurzoną butelkę. – Co to?

– O mój... – wykrzyknęła Sophie; poświeciła latarką na etykietkę, i nagle wybuchnęła płaczem. – O mój... Clementine. Nie jestem pewna, ale to chyba... o mój...

– Weź się w garść, dziewczyno – warknęła Mathilde. – Co to? Daj to tu.

Sophie, której twarz w świetle latarki lśniła od łez, podała butelkę Mathilde. Ta otarła ją z kurzu i z otwartymi ustami wpatrywała się w napis.

– O, mój... – powtórzyła i spojrzała na Clementine. – To dla ciebie.

Clementine wzięła butelkę i podniosła ją do światła. Był to rocznik 1961 o nazwie Cuvee Clementine. Zaskoczona obróciła butelkę.

– „Wspaniałe, zmysłowe wino o niebywałej mocy – głosiła etykietka z tyłu. – Ten wyprodukowany na bazie pinot noir, wspaniały, szlachetny szampan, może dla niektórych okazać się zbyt mocny, jednak z pewnością zadowoli tych, którzy pośród wyrazistego smaku odkryją niebywałe ciepło. Wyprodukowany z miłością przez Oliviera Peine’a”.

– Są tu setki butelek – krzyknęła zza ściany Sophie. – Setki. I... o mój... !

W dziurze ukazała się butelka Cuvee Mathilde, rocznik 1970.

– „Wino najwyższej finezji – przeczytała Mathilde, czując jak drżą jej wargi – i niebywalej elegancji. Wyprodukowany na bazie chardonnay, ten szampan odznacza się wdziękiem i klasą, a także wyjątkową delikatnością i dojrzałością, która utoruje drogę kolejnym pokoleniom win musujących. Wyprodukowany z miłością przez Oliviera Peine’a”.

Wzruszona Mathilde spojrzała na Clementine, niezdolna wykrztusić ani słowa.

– Jest tam coś dla ciebie, Sophie? – spytała drżącym głosem Clementine. – Jest twój rocznik?

Usłyszały jęk i pociągnięcie nosem. Chwilę później w dziurze pojawiła się kolejna butelka: z 1979 roku.

– Proszę, przeczytajcie mi – poprosiła szeptem najmłodsza z sióstr.

– „Cudowny szampan o ukrytej głębi – przeczytała Mathilde drżącym głosem. – Pinot noir często bywa niedocenione, jednak w tym połączeniu jego świeży, owocowy smak zostanie dostrzeżony i pokochany przez wszystkich. Naprawdę rzadki klejnot. Wyprodukowany z miłością przez Oliviera Peine’a”.

Sophie wysunęła głowę z dziury. Miała pajęczyny we włosach i kurz na twarzy, jednak nigdy nie wyglądała równie pięknie.

– Nie rozumiecie? – chlupała, przenosząc wzrok z jednej siostry na drugą. – On cię dostrzegął, Clementine. Wiedział, kim jesteś i kim się staniesz. Widział też mnie i Mathilde. Podarował nam coś. Naprawdę nam coś podarował.

Po chwili w podziemnej piwniczce dało się słyszeć płacz trzech córek Oliviera, które wreszcie znalazły dowód na to, że ojciec – chociaż go nigdy nie miały – naprawdę o nich myślał.

Wiosna

Radość

W Dolinie Marny wiosna przyszła wcześniej, roztopiła ziemię i okryła ją lekką, jasnozieloną chustą. Do skostniałych łodyg wróciło życie; znak, że kolejne pokolenie winogron jest już w drodze.

Skoro już mowa o pokoleniach, sekretny skład Oliviera Peine'a oznaczał, że jego córki i wnuki, którym przekazał swe królestwo, będą miały czym się rządzić. Wieść o piwnicznym odkryciu ukazała się na pierwszych stronach gazet w całym kraju. Jak mogło być inaczej, skoro wszystkim dowodziła Mathilde – prawdziwy geniusz PR? Okazało się, że za białym krzyżem czeka około dwóch tysięcy skrzynek cennego trunku i kiedy burza w mediach już trochę przycichła, koneserzy z całego świata wykupili cały zapas za ogromne sumy, oprócz kilkudziesięciu skrzynek, które siostry postanowiły zachować dla siebie.

W ten oto sposób szampan Peine wrócił na pierwsze miejsce list najznamienitszych trunków, zarówno w kraju, jak i za granicą. Do domu w Saint-Vincent-sur-Marne przybył nie kto inny, jak sam Remi Krug, który osobiście zakupił trzy tuziny siostrzanych szampanów i dał się skusić na drożdżowe ciasto Bernadette. Dyrektor banku dostał to, co chciał (naturalnie pieniądze, nie Mathilde), a przyszłość najlepszej wytwórni szampana w Saint-Vincent-sur-Marne została zabezpieczona raz na zawsze, przynajmniej do czasu kolejnej klęski żywiołowej; trzeba pamiętać, że Peine'owie byli przecież rolnikami. W kwietniu przyjechał George i ku swemu zaskoczeniu Mathilde musiała przyznać, że jego widok naprawdę ją ucieszył, tak więc pozwalała się rozpieszczać i dopieszczać na rozmaite sposoby. George naprawę ją kochał – po raz pierwszy to widziała – jednak idea prawdziwej miłości była dla niej zupełnie nowa i sama Mathilde nie odkryła jeszcze, że to samo czuje do niego. Wiedziała jednak, że z pewnością nie wróci już do Stanów. Jej dom był teraz tu, w Szampanii, i pragnęła, by George poczuł to samo, choć wiedziała, że jeśli tak się nie stanie, zrozumie i uszanuje jego decyzję.

George obiecał, że nad tym pomyśli.

Edie cieszyła się z obecności ojca, jednak nie potrzebowała go już tak bardzo jak kiedyś, co było dla George'a powodem do smutku i radości zarazem. Mówiła prawie wyłącznie po francusku, miała mnóstwo przyjaciół i czuła się w starym domostwie Peine'ów lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu. Szampania stała się również jej domem; George to widział. Dlatego nie miał zamiaru unieszczęśliwiać córki i zamiast tego zaproponował jej przyjazd na wakacje do Nowego Jorku.

Zanim wyjechał, w rocznicę śmierci Oliviera cała rodzina odwiedziła jego grób, na którym Edie złożyła bukiet fioletowych hiacyntów i ciemnoczerwonego geranium. Zauważyła też, że matka i ciotki powinny zamówić odpowiedni nagrobek. Wprawdzie Clementine nie myślała o tym wcześniej, przystała jednak chętnie na tę propozycję, pod warunkiem, że nie znajdą się na nim słowa: „Był skomplikowanym człowiekiem. „

– Był skomplikowanym człowiekiem – zaczął ojciec Philippe, kiedy nadszedł czas na krótkie przemówienie. Słyszając to, członkowie rodziny wybuchnęli stłumionym śmiechem. Wielebny, który był mniej zdenerwowany niż przed rokiem, uśmiechnął się do nich przelotnie i kontynuował: – I choć często zmagaliśmy się z samym sobą, by okazać uczucia w – powiedzmy – optymistyczny czy konstruktywny sposób, sam fakt, że były one obecne w jego życiu, powinien stanowić pocieszenie dla jego trzech córek. Olivier Peine sam nie potrafił wyrazić swej miłości i dumy, ukrywając je przed światem. Tym bardziej cudowny wydaje się sposób, jaki wymyślił, aby córki dowiedziały się w końcu o jego uczuciach. Jak mówi Biblia, lepiej późno niż wcale. Amen.

Po wszystkim siostry zaprosiły Gastona, Bernadettę i Christophe'a Paillarda do domu, na specjalne przyjęcie. Otworzyły każdy rodzaj znalezionej szampana i wzniosły toast za Oliviera, by spoczywał w spokoju.

Christophe patrzył ze zdumieniem, jak Clementine, Mathilde i Sophie stukają się kieliszkami. Były inne, całkowicie odmienione.

Posepna niegdyś Clementine zmieniła się nie do poznania. Siedziała dumnie wyprostowana, zeszczupełniała i Christophe mógłby przysiąc, że jej miedziane loki nie były już tak niesforne, gdy miękkimi splotami opadały na plecy. Mathilde przybrała na wadze, co nadało jej twarzy zdrową gładkość, która cudownie harmonizowała z niemal dziewczęcą skromnością. Co do Sophie, przeszła ona długą, długą drogę od delikatnego, małego pisklątka, które obserwował w swoim biurze nie dalej jak rok temu. Tak, teraz wyglądała jak kobieta, która nagle dostała wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła.

Zlizał z ust Cuvee Clementine i nagle przyszło mu do głowy, że Olivier Peine nie był wcale potworem, gdy postanowił połączyć tę wyjątkową trójkę. Wręcz przeciwnie. Ofiarował je sobie, ponieważ wiedział, że doskonale się uzupełniają, a to, czego brakowało jednej, druga miała w nadmiarze. Kiedy więc patrzył na doskonałe trio sióstr Peine, widział, jak cudowny i bezcenny był ów dar. Nie jest to już dom smutku, a radości, pomyślał mecenas Paillard. I choć sam nie miał nic wspólnego z tą cudowną przemianą, był dumny, jak nigdy dotąd.

– Czemu tak się uśmiechasz? – spytał gburowato Gaston, który po cichu stanął obok adwokata. – Jeśli chcesz spróbować czegoś wyjątkowego, poproś, niech otworzą butelkę Superieur. Skąpią go, zupełnie jak ich ojciec.

W następnym tygodniu okazało się, że Sophie – która od jakiegoś czasu była płaczliwa i osłabiona – nie miała niestrawności ani, jak sugerowała Edie, olbrzymiego złośliwego nowotworu, tylko najzwyczajniej w świecie spodziewała się dziecka Hectora.

Pierwszy raz w życiu mężczyzna zostawił jej coś więcej niż tylko czuły uścisk, tak więc gdy lekarz potwierdził ciążę, Sophie dosłownie oszalała ze szczęścia, podobnie jak siostry i siostrzenica.

Jej mały brzusek rozciągał się, rósł i przyniósł im szczęście w najważniejszym miesiącu w roku – w maju, kiedy przymrozki na zimnych ogrodnikach w cudowny sposób ominęły Saint-Vincent-

sur-Marne.

W okresie kwitnienia i dojrzewania Sophie pomagała w winnicach o tyle, o ile pozwalał jej stan. Popołudniami przekazywała pałeczkę Edie. Dolina była pełna świeżych owoców, a podniecenie, które siostry wyczuwały w powietrzu, przycinając i podwiązując pędy, przypominało o nadchodzącym winobranii.

W pewien słoneczny dzień, pod koniec sierpnia, wzięły tort szwarcwaldzki, butelkę wyjątkowego cuvee i urządziły sobie popołudniowy piknik nad rzeką. Leżały nad brzegiem Marny, wyciągnięte na kraciastym kocu i śmiały się z bladej skóry Clementine, sterczącego brzucha Sophie i czegoś, co oprócz skóry i kości pojawiło się na udach Mathilde.

– Nie powiem, żeby były pulchne, ale zawsze to jakiś początek – stwierdziła z aprobatą Clementine.

Kiedy tak leżały i gawędziły, ciepłe promienie słońca, plusk wody i spokój doliny sprawiły, że poczuły się senne.

– No, Clementine, co tam u Benoit? – spytała Mathilde, która z zamkniętymi oczami rozkoszowała się słońcem. – Jesteś z nim, czy nie?

Ach tak, Benoit.

Odile nie została oskarżona o podpalenie. Mimo że Xavier był przekonany o jej winie, nie mógł znaleźć wystarczających dowodów, nawet drugiego pantofla. Co dziwne, dzień po przesłuchaniu Odile opuściła Benoit i na dobre wyprowadziła się do swojego ojca.

Dzień później Benoit przyszedł zobaczyć się z Clementine i w taki oto sposób tych dwoje miało w końcu prawdziwą randkę. Spotkanie nie należało jednak do najprzyjemniejszych, jako że Benoit był rozżalony i długo nie mógł wybaczyć Clementine tego, co stało się z Amelie.

– Ale dlaczego mi nie powiedziałaś? – powtarzał bez końca. – Dlaczego?

Niewiele mogła znaleźć usprawiedliwień, by poczuł się lepiej, zwłaszcza że nie potrafiła dać mu odpowiedzi na tak istotne

pytanie. W końcu wyznała, że wszystko to stało się w najmniej odpowiednim czasie, nie wiedziała, jak mu powiedzieć i przez te wszystkie lata bardzo żałowała swojego milczenia. To była trudna i niezręczna rozmowa, jednak Clementine ucieszyła się, że tak bardzo mu na niej zależało.

– Co teraz zrobimy? – spytał, i choć z jego twarzy emanował smutek, słowo „my” sprawiło, że serce Clementine zabiło mocniej.

Później spotykali się regularnie i choć rozmowy były raczej sztywne, Clementine zrozumiała, że ów przedziwny magnetyzm, który przyciągał ją do Benoit przez cały ten czas i przetrwał prawie dwadzieścia lat rozłąki, wciąż działa.

W końcu udało im się dowiedzieć, gdzie mieszka Amelie, i kiedyś wieczorem napisali list, w którym prosili o spotkanie, jeśli naturalnie ona sama będzie tego chciała.

W ciągu następnego tygodnia wszystkie rozmowy obracały się wokół winogron, winnic i planów na przyszłość.

Clementine zdawała sobie sprawę z tego, że nie będzie łatwo. Zbyt wiele wody upłynęło. Nie byli już parą nastolatków, tylko dwojgiem nieskorych do zmian, niezależnych ludzi. Wiedziała też, że wina nie leży wyłącznie po jej stronie. Benoit nie był idealny. Pozwolił, by zmuszono go do małżeństwa bez miłości, a potem nie zrobił nic, by *się* z niego wyrwać.

Mimo to Clementine podobały się jego niedoskonałości.

– Może – odparła z uśmiechem, kiedy w to słoneczne popołudnie wraz z siostrami leżała nad brzegiem leniwych wód Marny.

– Pewnego dnia pomalujesz kuchnię, Mentine? – drażniła się z nią Sophie.

– I przesadzę to zdrewniałe geranium – odparła Clementine.

– Myślę, że tak właśnie będzie – podsumowała Mathilde i przewróciła się na bok.

– Ja też – przyznała Clementine, obracając się, by spojrzeć na siostrę. Spojrzały na siebie ponad okrągłym brzuchem Sophie i wymieniły porozumiewawcze uśmiechy.

– Chłopiec czy dziewczynka? – spytała Mathilde, patrząc na brzuch Sophie.

– Oczywiście, że dziewczynka – ogłosiła bez wahania Clementine. – Przecież wszyscy wielcy winiarze to kobiety. Oczywiście ten stary piernik Dom Perignon zdobył uznanie za wynalezienie korka, ale jego szampan był mętny – nasz pewnie też pozostałby taki, gdyby nie wdowa Clicquot: to ona wpadła na pomysł z poruszaniem butelek. A zanim wdowa Pommery odpuściła sobie dozowanie i stworzyła *brut*, szampan był obrzydliwie słodki. Wyobrażacie to sobie? Wdowa Olry Roederer pierwsza uparła się, że będzie uprawiać własne winogrona zamiast kupować je od innych właścicieli winnic. Nie możemy też zapomnieć o wdowach Laurent i Perrier. Ich wytwórnia borykała się z wieloma problemami, zupełnie jak Dom Peine, jednak były uparte i nie dawały za wygraną. W ten czy w inny sposób poradziły sobie.

– A zatem wszyscy największy producenci wina zaczynają jako dziewczynki, a kończą jako wdowy – podsumowała krótko Mathilde.

– Ale wiedzą, jak przetrwać, prawda? – zauważyła rozmarzonym głosem Sophie. – To najlepsze, co mogłoby spotkać moją córkę.

– Wypiję za to. – Mathilde pokiwała głową.

– Ja też – dodała Clementine.

Chwilę później usiadła, wyjęła z turystycznej lodówki butelkę szampana, zerwała sreberko, odkręciła koszyczek, delikatnie wyciągnęła korek i rozlała tętniące życiem, złote bąbelki do trzech kieliszków.

– Twoje zdrowie – powiedziały jedna do drugiej i unosząc kieliszki, wypityły za siebie i za przetrwanie.

Sophie wypita pół kieliszka, a Mathilde niewiele więcej. Od szampana dostawała bólów głowy, choć z pewnością nauczyła się doceniać jego smak. Clementine do ostatniej kropli delectowała się więc zawartością kryształowych kieliszków, która pozbawiła ją wszelkich hamulców. Zapominając o zdrowym rozsądku,

podniosła się z koca, rozpięła koszulę i ogłosiła, że zamierza popływać w rzece.

Siostry nie potrzebowały specjalnej zachęty i już po chwili wszystkie trzy biegły nagie w kierunku rzeki. Clementine wskoczyła pierwsza, piszcząc z zimna. Tuż po niej wpadła do wody Sophie, która dosłownie pękała ze śmiechu, i Mathilde, w ogóle nieprzypominająca poważnej kobiety interesu z Manhattanu.

Śmiały się, pluskały, pływały i piszczały.

Siostry Peine były pełne życia. Każdy to widział. A kiedy teraz wychodziły na brzeg, do porzuconych w pośpiechu ubrań, Mathilde wybuchnęła śmiechem. Stała zgięta w pół, śmiejąc się do rozpuku.

– Co? – spytały siostry. – O co chodzi?

– Nasze nazwisko to nie wszystko, co mamy wspólnego – wykrztusiła w końcu, wskazując dłonią wzgórek między udami. – Patrzcie.

W popołudniowym słońcu lśniły, ociekając wodą Marny, trzy identyczne, kręcone, rude trójkąty. Dolina eksplodowała śmiechem.

Ten dźwięk znacznie częściej rozbrzmiewał teraz w winnicy Peine'ów.

Nie było jednak piękniejszego dźwięku niż pełen zdumienia płacz Olivie Josephine Ann Marie-France Peine, która przyszła na świat pierwszego wieczoru winobrania. Miała piękne, wielkie oczy, a na jej małych różanych usteczkach błąkał się nieśmiały uśmiech.

Jej ojciec stał obok, by ją wziąć na ręce, matka ją utuliła, a ciotki płakały, zapominając robić zdjęcia.

W winnicy ciężkie grona prosiły, aby je zerwać. W odbudowanej winiarni czekały zniecierpliwione kadzie. W piwniczce podekscytowane bąbelki poszeptywały cicho, zamknięte w swoich butelkach.

A na podjeździe, przed pomalowaną, masywną bramą stał listonosz i grzebiąc w torbie, podziwiał błękitną, dziecięcą

czapeczkę, którą Edie włożyła Świnkowi.

– Jest – oznajmił w końcu, wyciągając pachnącą kopertę, z ręcznie wypisanym adresem, w którym litery „i” ozdobiono maleńkimi liśćmi winogron. – Dla Clementine. Z Bordeaux. Znacie tam kogoś?

– Mamy nadzieję, że wkrótce poznamy – odparła z uśmiechem Edie. – Następną Peine’ównę. Rocznik osiemdziesiąty ósmy!